

PRZEGLĄD SOCJALDEMOKRATYCZNY

ORGAN SOCJALDEMOKRACJI KRÓLESTWA POLSKIEGO I LITWY.

Kontrrewolucja i klerykalizm.

Listopad 1909.

Jeszcze w lipcowym Nrze Przeglądu Narodowego p. R. Dmowski dowodził potrzeby „współdziałania“ z Guczkowem i z zadowoleniem stwierdzał: „bardzo dobrze się stało, że Polacy wykonali zwrot w kierunku paździenikowców“. W kilka miesięcy później lejeb-organ p. Dmowskiego pisał „W przededniu zwołania Izby“, iż Stołypin poddał się Puriszkiwiczowi i stwierdził, że: „po Stołypinie poddaje się Guczkow“. Jak widzimy, największa partja polityczna w Królestwie razem ze swoim Kołem Polskim coraz mocniej siedzi w samotrzasku, w który wpędziła ją polska reakcja burżuazyjna. Tej niemiłej sytuacji nie mogą już załagodzić nawet komplementy p. Puriszkiwicza, który, według relacji pism rosyjskich, charakteryzując w swoim odczycie partje dumskie, powiedział: „Najbardziej wykształceni są posłowie z Koła Polskiego. Wszyscy są taktowni i wykształceni“. Jeżeli te komplementy mają jakiś sens polityczny, to mogą wyrażać tylko zadowolenie mówcy z Koła Polskiego i nadzieję, że po Guczkowie podda się Dmowski, po paździenikowcach — Koło Polskie.

Ta piękna nadzieja, pomimo całej swej potworności ze stanowiska polskich interesów narodowych, nie jest bynajmniej pozbawiona gruntu. Jeżeli bowiem dzięki współdziałaniu Guczkowa ze Stołypinem burżuazja rosyjska poszła na lewo, jak wykazują ostatnie wybory rosyjskie do Dumy państwowej, a szczególnie wybory moskiewskie w pierwszej kurji szerokobrodych milionerów — kupców i fabrykantów, to „współdziałanie“ Dmowskiego z Guczkowem nie ruszyło burżuazji polskiej z miejsca pomimo wszystkie ciosy, jakie dzięki współdziałaniu Guczkowa ze Stołypinem spadają na najżywotniejsze kulturalne interesy burżuazyjnego rozwoju Polski.

Zapewne, wolelibyśmy, aby to twierdzenie nasze okazało się mylnym, ale nie mogą nas złudzić niedołężne pomruki, które idą ze szpał pism i ze zgromadzeń rozmaitych towarzystw burżuazyjnych. Te pomruki niezadowolonia są wynikiem niustannych szykan rusyfikatorskich, czynionych przez władze szkolnictwa polskiemu, oraz wyrazem rozczarowań w sprawie projektów samorządu lokalnego, w którym reakcja polska pokładała tyle świetnych nadziei na skutek współdziałania Dmowskiego z Guczkowem i Guczkowa ze Stołypinem. I jeżeli widmo gubernji Chełmskiej nie przeszkodziło Dmowskiemu cieszyć się ze „zwrotu w kierunku paździenikowców“, to wszystkie obecne pomruki burżuazyjne są tylko pomrukami niezadowolonia reakcji polskiej z reakcji rosyjskiej. Rusyfikacja była zawsze

murem niezadowolenia, który oddzielał reakcyjną burżuazję polską od rządu rosyjskiego, i kto w samym fakcie obecnego niezadowolenia z nacjonalizmu rosyjskiego chciałby widzieć zwrot na lewo burżuazji polskiej, ten musiałby przyznać, że dawni ugodowcy, którzy nigdy nie byli zadowoleni z russyfikacyjnej polityki rządowej, wyrażali nie polityczną reakcję, lecz polityczny postęp i walkę z rządem.

Tymczasem istnieją tylko objawy, świadczące nie o posunięciu się burżuazji polskiej na lewo, lecz odwrotnie — aż nadto dowodnie świadczące, że polska reakcja nacjonalistyczna zagrożona jest nie przez burżuazyjną postępowość, lecz raczej przez potężniejący z dnia na dzień wojujący klerykalizm katolicki, któremu ta sama reakcja nacjonalistyczna utorowała szeroką drogę w umysłach burżuazyjnej masy ludowej. Mamy mianowicie na myśli zapowiedź utworzenia partii katolickiej — zapowiedź, która tak przeraziła zarówno partję Polityki Realnej, jak i partję Narodowej Demokracji, nie bez słuszności powołujące się na własne zasługi w sprawie wzmocnienia klerykalizmu i nie bez słusznego oburzenia dowodzące na podstawie tych swoich zasług, że nowa partja, czysto katolicka, jest zupełnie zbyteczna. Jeżeli zatem sama ta zapowiedź nie zostanie nawet rychło urzeczywistniona, to przyjęcie, jakiego doznała w organach nacjonalistycznego drobnomieszczaństwa i wielkiej burżuazji, jest wymowną wskazówką, że te klasy, a przynajmniej ich partje polityczne, wolą pozbyć się nowego współzawodnika politycznego nie przez zwalczanie klerykalizmu, lecz raczej nodwrot — przez jeszcze energiczniejsze wysługiwanie się politycznym interesom kościoła, aby w ten sposób pokazać, że utworzenie specjalnej partji katolickiej jest dla samych interesów klerykalizmu rzeczą zupełnie zbyteczną.

Wystarczy zresztą porównać stosunek prasy burżuazyjnej do ciosów, które spadają na resztki szkolnictwa polskiego, aby od razu ocenić reakcyjny charakter owego niezadowolenia, które ogarnia teraz nasze partje burżuazyjne. Nietylko bowiem czarnosecińcy rosyjscy kładą swoje kozackie łapy na polskie zdobycze kulturalne z okresu rewolucji. Po łupy kontrrewolucyjne w dziedzinie życia duchowego Polski sięga z niemniejszą siłą i z daleko większym skutkiem kulturalny obskurantyzm czarnej międzynarodówki. Zaledwie władze carskie zdołały przedsięwziąć nowy atak na szkoły polskie, zamykając towarzystwo wpisów szkolnych, gdy arcybiskup Popiel bezceremonjalnie i publicznie pośpieszył ze swojej strony nałożyć wandalistyczną łapę kościoła na tę kulturalną zdobycz rewolucji, oddając szkoły polskie pod surowy nadzór i jawne szpiegostwo księży katechetów. I jakkolwiek miał do tej napaści na szkolnictwo polskie akurat takie samo prawo kaduka, jakie miały władze rządowe, nie potrzebował osłaniać się nawet cieniem prawa, aby usprawiedliwić swoje prześladowanie wolności szkolnej, jak to starają się czynić władze rządowe. Kontrrewolucja burżuazyjna zdołała tak gruntownie utożsamić polskość z katolicyzmem, że władza duchowna nie miała z tej strony żadnej obawy. I rzeczywiście z wyjątkiem dwóch czy trzech pism postępowych, które były słabym głosem wołającego na puszczy, nikomu nie śniło się protestować przeciw klerykalnemu uciskowi szkoły polskiej. Gdyby rosyjski inspektor szkół m. Warszawy, który ewangelików polskich samowolnie przechrzczył na Niemców, aby ze szkół ich wypędzić język polski, gdyby ten inspektor miał trochę więcej odwagi cywilnej, mógłby na protesty pism burżuazyjnych odpowiedzieć po prostu: tu l'a voulu, Georges Dandin! od was,

nowocześni Polacy i patryjoci, dowiedziałem się, że Polak – to katolik i że poza katolicyzmem nie masz polskości! Najjaskrawszym jednak wyrazem tegoż utożsamienia polskości z katolicyzmem był powszechny okrzyk niesłychanej zgrozy, bezbrzeżnej rozpacz i żałoby, z jakimi wszystkie pisma przyjęły wiadomość o ograbieniu klasztoru Jasnogórskiego, jako o „największym“, „najboleśniejszym“ ciosie, wymierzonym Polsce. I ani jedno z t. zw. „postępowych“ pism polskich nie miało odwagi powiedzieć głośno, że był to najwyżej tylko cios, zadany bałwochwalczym zabobonom ciemnych warstw ludowych, i że raczej rzetelnym ciosem dla Polski było rozdmuchiwanie tego faktu do znaczenia wielkiego nieszczęścia narodowego. Wszystkie klęski, które rzeczywiście spadają na narodowość polską, nie wywołały tyle objawów żałoby na szpaltach pism burżuazyjnych, ile okradzenie Matki Boskiej Częstochowskiej, a miary tego nastroju i akcji klerykalnej dopełnia fakt, że pisma postępowe nie tylko same udawały serdeczną rozpacz, ale kazały płakać kahałom żydowskim nad nieszczęściem Matki Boskiej z obawy przed – pogromem antyżydowskim.

Jeżeli obawa takiego pogromu była rzeczywiście usprawiedliwiona, lub jeżeli chodziło tylko o doraźne zatamowanie pola dla jeszcze większego niż dotąd wzrostu antisemityzmu, to sposób działania naszych postępców był zaiste godzien zwykłego tchórzostwa ich myśli i czynu. Postępowali bowiem tak, jak gdyby sądzili, że najlepszym sposobem zatamowania możliwego wybuchu ze strony sklerykalizowanej i zabobonnej ludności jest rozszerzanie źródła, skąd zdaniem ich płynie zabobon i klerykalizm, i dlatego również „robili“ w klerykalizmie, udając wielką rozpacz i żałotę nad ogołoconą z klejnotów „Królową Polski“. Zapewne, nie liczyli wcale na nagrodę po śmierci, i jeżeli Postępowa Demokracja lub Zjednoczenie Postępowe, widząc niebezpieczeństwo, nie odważyły się na wystąpienie z odezwą publiczną do ludności z wyjaśnieniem przeciw złowrogim słuchom lub podszeptom, jeżeli naodwrot Nowa Gazeta oraz inne naczynia postępu wołały udawać zbołących bałwochwalców katolicyzmu, to kierowało nimi przekonanie, że tu na ziemi odwaga myśli postępowej w spełnianiu historycznej misji liberalizmu wcale nie prowadzi do nagród politycznych i że odrobina klerykalizmu w ciężkich chwilach wraz z ogromem tchórzostwa w każdej okazji lepiej uchroni dziurawą łódź partii postępowej od rozbicia wśród rozhułanych bałwanów polskiej reakcji. Ale tymczasem zachowanie się postępców odkrywa rzeczywiste źródło reakcji klerykalnej w Polsce lub reakcji klerykalnej wogóle.

Antyklerykalizm socjaldemokracji nie ma nic wspólnego z antyklerykalizmem burżuazyjnej wolnomyślności, która walkę klasy robotniczej pragnie zagłuszyć wojną przeciw Panu Bogu, jak klerykali pragną ją zagłuszyć bałwochwalczym kultem Boga. Nie uczuwamy również apetytu wolnomyślnych radykałów burżuazyjnych, którzy według wyrażenia francuskiego pragnęliby codzień jeść na obiad przynajmniej jednego księdza. Religja jest opium dla ludu, jak słusznie wyraził się mówca naszej frakcji socjaldemokratycznej w Dumie państwowej, a świadomość socjalistyczna, walka klasy robotniczej, przesiąknięta duchem marksizmu, jest jedynym skutecznym lekarstwem przeciw zatrutowaniu duszy ludowej wyobrażeniami religijnymi. Z tego jednak nie wynika bynajmniej, aby wierzenia religijne i zabobony były przyczyną obecnego rozrostu reakcji klerykalnej w Polsce,

jak to głoszą radykalni wolnomyśliciele nasi, lub jakoby przyczyną tą był brak kultury materialnej, jak przypuszcza L. Krzywicki, który pociesza się tym, że jak np. rozpowszechnienie piorunochronów usuwa związane z piorunami zabobony, tak rozwój kultury materialnej wogóle, rozpowszechnienie komunikacji kolejowej, maszyn i t. p. odbierze grunt klerykalizmowi. Z tym nietyle materialistycznym, ile grubo materialnym, fizycznym pojmowaniem historii socjaldemokracja ma tyleż wspólnego, co rzeczywista walka z upadkiem liberalizmu i rozrostem klerykalizmu w tych krajach Europy zachodniej, w których nie brak ani piorunochronów, ani maszyn i kultury materialnej wogóle.

Jeśli zaś przewodcy Narodowej Demokracji i Polityki Realnej oglądali w swoim życiu nietylko piorunochrony, jeżeli redakcje *Nowej Gazety* i innych naczyń dziwnego nabożeństwa postępowego też się rozczulają z powodu nieszczęścia Matki Boskiej, to wynika z tego, że nie zabobony religijne stworzyły obecny rozrost klerykalizmu, jak głoszą społeczne zabobony naszych mężów wolnomyślnych. Religja sama przez się taksamo nie odgrywa tu roli sprężyny przyczynowej, jak w dawnej Polsce, w której każdorazowy wzrost lub upadek politycznego wpływu kościoła, przy jednakowej głębokiej religijności Polaków, był wynikiem walk pomiędzy koroną, możnowładztwem i szlachtą, gdy każda ze stron walczących szukała oparcia w kościele, lub zmuszona była występować przeciw kościołowi. I obecny rozrost politycznego i społecznego wpływu kościoła, jego bezceremonjalne opanowywanie jednej placówki życia społecznego za drugą aż do zapowiedzi utworzenia partii politycznej, jest wynikiem nowoczesnych walk klasowych w Polsce i specjalnie ustosunkowania sił klasowych w okresie kontrrewolucji.

Nowy, burżuazyjny nacjonalizm był pierwszym sztandarem, pod którym skupiła się kontrrewolucja polska. Do tego sztandaru przyłączył się kościół, księża zapelnili szeregi Demokracji Narodowej. Burżuazja odebrała temu sztandarowi charakter walki o niepodległość Polski, księża nadali mu wyraz klerykalny a drobnomieszczanstwo uczyniło go sztandarem antisemickim i narodowym. Wspólne niebezpieczeństwo lub wspólny a nieokreślony strach przed rewolucją sprzegły najrozmaitsze klasy i warstwy w jeden obóz. Ale w miarę przedłużania się kontrrewolucji przeciwieństwa interesów socjalnych i politycznych zaczynają rozrywać tę spójnię. Kontrrewolucja zresztą, tak samo jak rewolucja, ma swoją wewnętrzną logikę walki, która pcha do skrajnego punktu rozwoju lub reakcji. Kontrrewolucja pod znakiem nacjonalizmu polskiego, przygotowałwszy grunt dla klerykalizmu, bankrutuje sama wobec tryumfu kontrrewolucji pod znakiem nacjonalizmu rosyjskiego. Te warstwy społeczne, które, występując przeciw rewolucji robotniczej, spodziewały się jednak wolności i polepszenia warunków swego bytu drogą, wytkniętą przez Demokrację Narodową, znalazły się razem z tą ostatnią w położeniu bez wyjścia przy pomocy współdziałania Dmowskiego z Guczkowem, i poddały się rozczarowaniu. Jedne z nich wpadają w apatię, w indyferentyzm polityczny, schodzą z areny walk publicznych; drugie, najciemniejsze, lub ze swoich interesów socjalnych przedstawiające najbardziej podatny grunt dla praktyk reakcji duchowej, niesamodzielne, wahające się ustawicznie pomiędzy rewolucyjną klasą robotniczą a burżuazją i pozbawione punktu oparcia w rozgromionym proletariacie, wpadają pod wpływ kościoła, który w okresie kontr-

rewolucji wcale nie ucierpiał politycznie, bo jeszcze nie występował jako partja, nikogo nie zdążył rozezaraować i bezustannie skupia siły.

Kontrrewolucja rosyjska ma swoje obiektywne granice w najniższych wymaganiach rozwoju kapitalistycznego, taksamo, jak rewolucja ma swoje granice w najwyższych, najbardziej postępowych, demokratycznych wymaganiach tego rozwoju. W tych granicach rozwijać się jeszcze może kontrrewolucja w Rosji i Polsce, aż do nieuniknionego bankructwa, o ile wypadki nie położą jej wcześniej końca. Polska kontrrewolucja doszła w tych granicach do jednego punktu swego doświadczenia empirycznego na polu politycznym: zaczęło się jej bankructwo w formie dotychczasowej, która była formą demokratyczno-narodową. Partja N. D. wyczerpała już cały swój arsenał metod politycznych, ugrzęzła na martwym punkcie i sama pcha do góry realistów na nowy, wyższy szczyt kontrrewolucji. Wyczerpała się jedna partja jako przedstawicielka kontrrewolucji i ustępuje miejsca drugiej, bardziej skrajnej. W tym celu Koło Polskie chciało połowę swych mandatów odstąpić realistom, a gdy to okazało się niemożliwym niezależnie od jego woli, Demokracja Narodowa wszystkie mandaty przy ostatnich wyborach do Rady Państwa dobrowolnie oddała partji Polityki Realnej. Mogła bardzo łatwo mieć większość wyborców, jak twierdzi Głos Warszawski, ale zgóry zrzekła się wszystkich mandatów, pomimo oporu swojej „lewicy”. Jak w postępującej naprzód, rozwijającej się rewolucji partje i warstwy mniej rewolucyjne ustępują miejsca partjom coraz to bardziej rewolucyjnym, a same metody działania stają się coraz bardziej skrajnymi, tak w kontrrewolucji zużytkowują się partje w odwrotnym kierunku aż do najwyższego szczytu reakcji, z którego następuje upadek i połączone z nim bankructwo historyczne oraz nowy bieg wypadków, dopóki nie utworzy się normalne łóżysko spokojnego rozwoju historycznego.

Ale partja realistów, dzięki swej polityce przedrewolucyjnej, jest już poczęści zużyta i w rozwoju kontrrewolucji nie może dlatego odegrać roli dalszego jej kontynuatora. Powtóre, kontrrewolucja, taksamo jak rewolucja, potrzebuje masy, bądź to masy w mundurach wojskowych, któremi rozporządza coraz dalej rozwijająca się kontrrewolucja rządowa, bądź masy ludowej, na której musi się wyłączać oprzeć kontrrewolucja polska. Ale niemożna napędzić masy ludowej do pańskiej partji realistów, reprezentującej interesy wielkiej własności ziemskiej, skojarzonej socjalnie z arystokracją finansową a poczęści i przemysłową. Rolę zużytkowania się i wyczerpania swych metod dla celów kontrrewolucji, którą Demokracja Narodowa wspinałomyślnie ofiaruje partji realistów, spełnić może z daleko lepszym skutkiem historycznym zapowiadająca się partja narodowo - katolicka.

Zaraz po ogłoszeniu manifestu o tolerancji religijnej spłynęła do Królestwa z Galicji i zagranicy czarna fala mnichów, ojców kaznodziejów, którzy stanęli w konfesjonalach i na kazalnicach do walki z rewolucją. Spłynęli tak cicho, ukradkiem, że nikt nie wiedział, kiedy i którą, aż dopiero szmery i protesty religijne, ale rewolucyjnie usposobionego tłumu, zapelniającego kościoły, dały znać o ich agitacji politycznej. Socjaldemokracja w odezwie publicznej, na krótko przed wybuchem strejku październikowego, przyjęła wyzwanie tych nieoczekiwanych agitatorów w sutannach i zwalając na nich winę za zrobienie z kościołów areny walki politycznej, zapowiedziała ze swej strony odparcie ataków w murach kościelnych. To poskutkowało, tym-

bardziej, że rewolucja mas robotniczych rozwijała się z dnia na dzień i odbierała mnichom-agitatorom ochotę do walki. Prawdziwe żniwo klerykalizmu zaczęło się dopiero od chwili zupełnego tryumfu kontrrewolucji. Jak księża w czasie restauracji burbońskiej we Francji, rzucili się na zmęczone, zrozpaczone, rozczarowane masy ludowe, i w 1907 roku zaczęła rozwijać się cała sieć chłopskich związków katolickich, chrześcijańsko-demokratycznych stowarzyszeń robotniczych, katolickich spółek kooperatywnych i sklepów spożywczych, stowarzyszeń rzemieślników chrześcijańskich i katolickich domów ludowych — słowem, klerykalizm okazał tu swoją sprawność organizacyjną, z której dawno słynie kościół katolicki. Zduszenie rewolucyjnych warstw klasy robotniczej, powszechna prostracja polityczna na skutek tryumfów rządowych i orgi krawatu stołypinowskiego, stanowią grunt, na którym wyrasta żniwo politycznej siły klerykalizmu. Z jednej strony chwilowe wyczerpanie energii rewolucyjnego proletariatu oraz tych warstw ludowych, które walka proletariatu pociągnęła za sobą i które bądź poddały się powszechnej prostracji, bądź też rozczarowały się i zdradziły rewolucję, z drugiej zaś strony niemoc burżuazyjnego liberalizmu i postępowego demokratyzmu w Polsce, która jest skutkiem głębokich walk klasowych, i wreszcie ujawnione bankructwo, bezsilność, wyczerpanie metod narodowo-demokratycznych — oto ustosunkowanie społecznych i politycznych sił kontrrewolucji polskiej, którego wynikiem jest z jednej strony ratowanie się Demokracji Narodowej sojuszem z partją realistów, a z drugiej strony wysuwanie się kościoła na czoło kontrrewolucji.

Zapewne, rozwój wypadków nie odbywa się w sposób schematyczny, wyżej nakreślony, i nie myślimy bynajmniej twierdzić, że logika tego rozwoju koniecznie i formalnie postawi kościół, jako partję polityczną, na miejsce, zajmowane dotąd przez Narodową Demokrację. Proces ten odbywać się może w dalszym ciągu w ten sam sposób, w jaki rozwija się już teraz, mianowicie w ten sposób, że dotychczasowe partje reakcyjne będą w coraz większym stopniu orędownikami specyficznych interesów kościoła. Logika tego rozwoju tkwi nie w obłokach i jest nierozdzielnie związana z logiką tych przeciwieństw socjalnych, wśród których rozwija się kontrrewolucja i które krzyżują, tamują lub maskują sam proces rozwoju kontrrewolucji. Jeżeli, na przykład, jednym z wyników ustosunkowania sił społecznych kontrrewolucji były ostatnie wybory do Rady Państwa z kurji wielkiej i średniej własności ziemskiej, przy których narodowi demokraci trzymali strzemiona dla wsadzenia realistów na siodła, to wynik ten nie odbył się bynajmniej bez protestu średniej własności szlacheckiej przeciw wielkiej, czyli bez protestu samych narodowych demokratów, podających strzemiona realistom. Jak wiadomo, w ciągu pierwszego dnia wyborów wyborcy narodowo-demokratyczni, wbrew komendzie partyjnej, uniemożliwili wybranie realistów i dopiero na drugi dzień ulegli, stwarzając im większość. Wybrano więc samych przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, z których każdy jest albo dyrektorem lub członkiem dyrekcji jakiegoś banku, kolei żelaznej, przemysłowego towarzystwa akcyjnego, lub w inny sposób związany jest z interesami arystokracji finansowej. Wyborcy zaś narodowo-demokratyczni, należący do lewego skrzydła swej partji, którzy na swych barakach tak opornie ponieśli realistów do Rady Państwa, byli to przeciwni szlagoni szlacheccy, których „ideał“ maluje teraz Sienkiewicz w swoich „Wirach“: Jest to szlachcic tak „piękny, jak ułan polski pod

Somo-Sierrą, tylko szablę w rękę i na koń!“ i tak pusty jak but w kącie, właściciel średniego majątku, gospodarujący bez rządcy. Przed rewolucją zajmował się nielegalną oświatą i zgwałcił kowalównę, ma we dworze fortepian, ale nie ma biblioteki, na widok dobrze i ładnie zbudowanych kobiet palą go męskie żądze miłości, a na widok strejków palą go klasowe żądze nienawiści, jest sielsko - anielskim patriotą i z całej duszy nienawidzi rewolucji. Podczas ostatnich wyborów do Rady Państwa, jako stojący na lewym skrzydle Demokracji Narodowej, żąda od swojej partii „okazywania antagonizmu w stosunku do realistów“ dla wykazania swego stanowiska „narodowego“, jak poucza G o n i e c. Okazał to demonstracyjnie dnia pierwszego, a na drugi dzień uległ logice kontrrewolucji, podając strzemień realistom.

Najszerszym terenem przeciwnieństw socjalnych, wśród których kontrrewolucja polska wynosi w górę polityczne znaczenie klerykalizmu, jest lud, ta masa ludowa, drobnomieszczańska i włościańska, która w okresie postępowego rozwoju rewolucji w pewnej części szła za proletariatem, a po pierwszych, decydujących porażkach rewolucji dzwignęła nagle w górę Narodową Demokrację. Na tych samych powrotnych falach morza ludowego, właściwie na jego nieruchomej już powierzchni wypływa teraz na widownię polityczna łódź kościoła, jako ostatnia faza kontrrewolucji.

Niesposób ująć statystycznie siły liczebne drobnomieszczaństwa i tymbardziej trudno określić granice jego znaczenia społecznego, powiedzieć, gdzie się kończą jego wpływy na klasę robotniczą i gdzie się zaczynają wpływy klasy robotniczej na drobną burżuazję. Proletariat rolny, uniesiony falą rewolucji robotniczej w miastach, złączył się z nią swojemi własnymi strejkami i swoją jawną gotowością iść z nią ręką w rękę do końca. Proletariat małorolny i po części średnie włościanstwo okazywali swoją solidarność z walką robotniczą, zwożąc bezpłatnie strejkującym w dni październikowe i grudniowe skromne swoje środki żywności. Wreszcie, rozwój rewolucji dał bodźca wogóle włościanstwu posiadającemu, pobajac je do walki. Ale ta walka chłopska nie wychodziła poza horyzont gminy wiejskiej, skupiała się koło samorządu gminnego i skończyła się na wprowadzeniu języka polskiego drogą rewolucyjną. Wkrótce jednak zaczyna się cofanie zamożnego włościanstwa na całą linię, wyrażanie skruchy wobec władz rosyjskich za samowolne wprowadzenie języka polskiego w urzędowaniu i sądownictwie gminnym. W grudniu 1905 roku syte włościanstwo z całego niemal kraju reprezentowane jest przez swoich przedstawicieli na narodowo - demokratycznym zjeździe chłopskim w gmachu Filharmonii warszawskiej. Zorganizowane przez Demokrację Narodową, zostaje rzucone na strejkujących robotników rolnych, dochodząc potem do antirewolucyjnych pogromów, jak w Czemiernikach. Zaczyna się kontrrewolucyjna solidarność zamożnego chłopstwa ze szlachtą rolną, skupianie się „narodu“ na wsi do walki z rewolucją. Socjalne przeciwnieństwa wśród posiadających odchodzą na drugi plan wobec wspólnej obawy. W trop za postępami kontrrewolucji wiejskiej idzie ksiądz, mnich, misjonarz i bierze interesy socjalne chłopca pod swoją opiekę, jak to czyni z powodzeniem na całym świecie katolicko - kapitalistycznym. Czyni to wbrew woli endekujących szlagonów i może to czynić z tym większym powodzeniem, że nie tylko parafalny horyzont umysłowy chłopca ułatwia mu zadanie, ale że interes chłopca nie jest interesem szlagona, choćby ten ostatni był aż tak piękny, jak ów polski ułan z pod Somo-Sierry. Chłopskie

związki katolickie umożliwiają przechodzenie chłopów z pod wpływ Narodowej Demokracji pod wpływ potęgi czysto kościelnej i dlatego zaczynają wzbudzać coraz większy niepokój na łamach pism endeckich. W 1907 z łamów tych rozlegają się coraz częściej ostrzeżenia, że związki katolickie nie powinny się mieszać do polityki, że ta ostatnia jest sprawą narodową, a nie kościelną. Oczywiście, wpływ związków katolickich nie ograniczył się do jednej, zamożniejszej części włościaństwa. Pobudka rewolucyjna z miast zamilkła, żywe prądy walki robotniczej przestały oddziaływać na wieś i całe niemal włościaństwo stało się łupem politycznym, rozdzieranym pomiędzy Demokracją Narodową a Związkami katolickimi.

To samo stało się w mieście. Drobnomieszczaństwo polskie rozdzielane jest przez całą masę przeciwnieństw socjalnych. Wyrósł z nowożytnego handlu i przemysłu Królestwa, jest ono przez to samo przykute ekonomicznie do Rosji, ale konkurencja z wielkim przemysłem, wymiana handlowa z Rosją, czynią je w jednej warstwie usposobionym separatystycznie, gdy odczuwa konkurencję towarów rosyjskich, przywożonych do Polski, albo zostaje mimochodem zrujnowane przez wielki przemysł, rozwijający się dzięki wywozowi do Rosji, a w drugiej warstwie pogodzony z Rosją, o ile samo produkuje lub sprzedaje dla Rosji, albo pośrednio korzysta ze stosunku ekonomicznego Królestwa do cesarstwa. Jest więc nacjonalistyczne bez chęci odbudowania Polski. Dokucza mu konkurencja handlowa Niemiec, więc staje się politykiem „neosłowiańskim“, wydaje hasło bojkotu towarów niemieckich i łączy się z czeskiemi „pobratymcami“. Handel z Niemcami jest przeważnie, prawie zupełnie w rękach Żydów, więc jest antisemickie i klerykalne. Ale jako skupiona masa i jako nowożytna klasa produkcji i handlu jest demokratyczne, potrzebuje swobód i praw dla ludu, gdyż samo jest ludem. Jest więc zarazem klerykalne i wolnomyślne, reakcyjne i postępowe, nacjonalistyczne i „słowiańskie“, antisemickie z frazesem o braterstwie ludów, dziś jest w obozie rewolucji, jutro w obozie kontrrewolucji. Żadna szersza warstwa drobnomieszczaństwa polskiego — oprócz części inteligencji zawodowej i pewnych kół handlowych — nie posiada ustalonej tendencji postępowych i ten względ, obok silnego zaognienia antagonizmu klasowego pomiędzy proletariatem a burżuazją, przyczynia się do niemocy naszej Postępowej Demokracji, która nie może znaleźć punktu oparcia wśród szerokich warstw drobnomieszczańskich. Ale te warstwy stanowią szeroką, żywą masę ludową, która wyciska swe piętno nie tylko na polityce polskiej, lecz na całym życiu duchowym Polski. Ta masa jest przedewszystkiem nacjonalistyczna, i kto jej nie zna, ten wogóle zrozumieć nie może tej trwałej siły, z jaką nacjonalizm tkwi w umysłach burżuazyjnej inteligencji polskiej, ani tego głębokiego upadku kultury umysłowej, który jest charakterystyczną cechą nowoczesnej, burżuazyjnej Polski.

Pierwsze porażki rewolucji zapędziły te warstwy pod sztandar Narodowej Demokracji, który im niósł hasła autonomii krajowej i polityki demokratycznej bez „anarchji“, to jest — bez strejków robotniczych. Cały zresztą bagaż polityczny tej partii, po wyrzuceniu z niego niepodległości Polski, był jakby wyjęty z duszy drobnomieszczaństwa. Walka robotników z chałupnictwem, strejki w warsztatach rzemieślniczych i drobnych fabrykach, zastój w handlu i przemyśle, zwycięstwa rządu — dokonały reszty. Rewolucja wyładowała w drobnomieszczaństwie nagromadzoną w nim energję demokratyczno - rewolucyjną,

porażki rewolucji dały ujście jego tendencjom reakcyjnym i pchnęły je na drogę zdecydowanej kontrrewolucji. Wybory do pierwszej i drugiej Dumy ukazały drobnomieszczaństwo po stronie Narodowej Demokracji. Ale już wybory do trzeciej Dumy, przy kompletnym zwycięstwie rządu, zmniejszeniu liczby posłów z Królestwa, zaniku nadziei, pokładanych w polityce N. D., wykazały rozczarowanie, apatię drobnomieszczaństwa. Widać to z ogromnego upadku liczby wyborców miejskich. Drobnomieszczaństwo wyobrażało sobie, że można prowadzić politykę kontrrewolucyjną i zarazem demokratyczną, ludową, Koło Polskie, zwłaszcza w III Dumie, prowadziło ją w kierunku realistów, po pańsku, zakulisowo, bez niedawnych giestów demonstracji i opozycji. Nastąpiła apatia. Szerokie sfery drobnomieszczaństwa pozostaną w obozie N. D., ale w miarę trwania kontrrewolucji najruchliwsze i najdemokratyczniejsze jej warstwy usuwają się od polityki, a najciemniejsze, socjalnie najbardziej zacofane, wraz z zacofanymi warstwami robotniczymi znalazły się, drogą specjalnych organizacji, pod wpływem ruchliwego, zapobiegliwego kleru, niosącego im uspokojenie, rozrywki, pomoc, protekcję i nieziszczalne obietniczki. Gdy z jednej strony sami robotnicy „narodowi“ odsuwają się od N. D., rzemieślnicze i robotnicze stowarzyszenia chrześcijańskie współzawodniczą skutecznie z „polskimi“ związkami i wpływami narodowo-demokratycznymi.

Porażka rewolucyjnych i świadomych warstw robotniczych, panowanie i rozwój kontrrewolucji ułatwiają ten proces. Z chwilą, gdy socjalistyczny proletariąt będzie miał rozwiązane z kajdan kontrrewolucji ręce, lub przynajmniej trochę wolnego oddechu, proces ten się skończy i zacznie się odwrotny proces wyrzucania warstw robotniczych i ludowych z pod wpływów reakcji. Elementy tego odwrotnego procesu już się nagromadzają w samym facku apatii, która jest wyrazem usuwania się żywych pierwiastków ludowych od polityki czynnej narodowo-demokratycznej. Do tego czasu spełni się misja partii kontrrewolucji. Wtedy zacznie się nowe żniwo akcji socjalistycznej.

Ale do tego potrzeba, aby przedewszystkiem same socjalistyczne uświadomione warstwy proletariatu ocknęły się jak najprędzej z apatii. Każdy dzień stracony powiększa szkody, wyrządzane przez klerykalizm i nacjonalizm na duchu warstw robotniczych i ludowych.

W a r.

Ciężary imperjalizmu a reformy finansowe w Niemczech i w Anglii.

Napisał J. Karski.

„Niechybnie dojść musi do tego, że ludy Europy nie będą w stanie dźwignąć ciężarów zbrojeń... Wojna sama unicestwia wojnę.“ Tak wyraził się już blisko lat temu trzydzieści Moltke, wódz armji niemieckiej. W roku zaś 1898 hrabia Murawjew w okólniku, wzywającym do zwołania międzynarodowej konferencji w Hadze „celem ustalenia pokoju“, pisał: „Ciężary finansowe zbrojeń wzrastają wciąż i godzą w podstawy dobrobytu narodów... Kultura i wytwarzanie dóbr pożytecznych zostają sparaliżowane... System zbrojeń przyczynia się

do kryzysów finansowych... Armje stają się ciężarem, który narody już ledwie dźwignąć mogą". Mądrość tę czerpał zapewne minister carski z przeświadczenia, że Rosja jest na skraju bankructwa, a w części dyktowała ją chęć zrobienia interesu politycznego na propagandzie pokojowej. Nie zmienia to atoli rzeczy, że owe zdania są trafne i świadczą o tym, iż fakt wyniszczania ekonomicznego państw burżuazyjnych stał się jawnym nawet dla dyplomatów. A przecież przeciętny obywatel od czasu do czasu sarka na ciężary podatkowe, lecz znosi z baranym spokojem, gdy jego przedstawiciele parlamentarni uchwalają coraz nowe wydatki na armję i marynarkę.

Przyjrzyjmy się cyfrom. Poniżej umieszczona tablica wykazuje wzrost wydatków na zbrojenia lądowe i morskie od początku wieku 19-go. Wybieramy lata 1820 — 1850 — 1875 — 1890 — 1900 i 1907 dla następujących przyczyn: w roku 1820 wojny napoleońskie przebrzmiały, armje zostały zredukowane do normalnych rozmiarów; do roku 1850 ciągnie się okres względnego spokoju, co umożliwia porównanie „normalnego wzrostu“ wydatków, przynajmniej w tych państwach, które istniały już wówczas w obecnej postaci, z wyjątkiem Austro-Węgier, gdzie dla owego okresu niesposób ustalić cyfr wobec zagmatwanej rachunkowości państwowej. Od 1850 do 1872 roku ciągnie się okres wojen europejskich: wojna krymska, austriacko-pruska, duńsko-pruska, austriacko-włoska, niemiecko-francuska — które powodowały forsowne zbrojenia nawet wtedy, gdy dane państwo nie było wplątane bezpośrednio w wojnę; dopiero w roku 1875 sprawy, związane z wojną niemiecko-francuską, są zlikwidowane, odtąd panuje pomiędzy wielkimi mocarstwami „zbrojny pokój“, przerwany już tylko wojną rosyjsko-turecką. Rok 1907 jest ostatnim, z którego posiadamy dokładne cyfry. — Wykazano tedy w latach pomienionych w milionach rubli wydatków na armję i marynarkę:

	1820	1850	1875	1890	1900	1907
Anglja	156	146	237	297	437	560
Austro-Węgry	—	—	185	243	266	325
Francja	86	148	244	348	408	415
Niemcy	—	—	267	391	417	507
Rosja	61	121	201	282	483	521
Włochy	—	—	75	131	122	154
Stany Zjednoczone . .	21	35	126	134	382	448
Japonja	—	—	11	25	133	194

Cyfry powyższe mogą być miernikiem wzrostu wydatków, lecz nie wykazują bynajmniej ani faktycznych wydatków, czynionych przez państwo, a złączonych z militarystką, ani tym mniej faktycznych ciężarów, jakie ponosi ludność. Co do wydatków, czynionych przez państwo, zauważymy: do wydatków, zawartych w pozycjach powyższych, dodać należy: 1) wydatki na emerytury dla dymisjonowanych wojskowych. Jest to pozycja bardzo poważna. W roku 1907 czyni ona np. w Niemczech 70 milionów rubli, w Stanach Zjedno-

czonych 378 milionów (niema tu armji stałej, lecz wypłaca się pensje byłym wojskowym, z warunkiem, że stawać muszą pod broń na zawołanie; bardzo wysokie emerytury pobierają też wdowy i sieroty po poległych), w Anglii 2 miliony, we Francji 63 miliony, w Rosji około 60 milionów. 2) Wydatki na oprocentowanie długów państwowych, które zostały zaciągnięte prawie wyłącznie na cele zbrojeń, lub na pokrycie niedoborów w budżecie, które to niedobory znów są wynikiem przeważnie nadmiernych wydatków na armję i marynarkę. Wyjątek stanowią pożyczki na budowę kolei, które atoli są znaczne tylko w Rosji, Austrii i we Włoszech, bowiem Anglja i Stany Zjednoczone kolei państwowych nie mają, Francja niewiele, Rzesza Niemiecka prawie wcale (koleje państwowe są dotąd własnością państw oddzielnych: Prus, Saksonji, Bawarii i t. d., więc i dług kolejowy obciąża budżety tych państw, nie zaś Rzeszy; długi Rzeszy zostały zaciągnięte prawie wyłącznie na cele militarne, gdy własnością Rzeszy są tylko koleje w Alzacji i Lotaryngji). Lecz o ile Rosja, Austrija i Włochy zaciągały długi na budowę kolei, budowały te koleje w znacznym stopniu w celach militarnych. Wyodrębniając — o ile to możliwe — długi, zaciągnięte nie na wydatki militarne, otrzymujemy w przybliżeniu następujące wydatki na oprocentowanie długów militarnych w r. 1907.

w Anglii	230 milionów rubli.
w Austro-Węgrzech	110 „
we Francji	240 „
w Niemczech	75 „
w Rosji	250 „
we Włoszech	121 „
w Stanach Zjedn.	45 „
w Japonji	106 „

3) W budżetach państwowych jest mnóstwo wydatków militarnych, ukrytych w innych pozycjach budżetu. Tak np. w Niemczech i we Francji obciążają budżet bardzo znaczne wydatki na kolonie, wśród tych wydatków znów lwia część pochłania utrzymanie siły zbrojnej. W wydatkach na administrację ogólną, na utrzymanie kolei, poczty, telegrafu są pozycje, powodowane li tylko potrzebą armji. Niektóre państwa płacą subsydia przedsiębiorstwom żeglugi morskiej na utrzymanie okrętów o szybkim chodzie, które w razie wojny mają być oddane do dyspozycji marynarki wojennej. Wydzielić wszystkich sum tego rodzaju wydatków z ogólnego budżetu niesposób. W każdym razie jasne jest, że faktyczne wydatki na cele militaryzmu są o wiele większe niż wykazują budżety. Jeżeli uwzględnimy li tylko wydatki na pensje i emerytury oraz na oprocentowanie i amortyzację długów militarnych, otrzymamy następujące zestawienie wydatków na cele militarne (wojsko lądowe i marynarkę) w milionach rubli za rok 1907:

	Budżet wykazuje wydatków	Wydatki na oprocentowanie długu i pensje	Razem
Anglja	560	232	792
Austro Węgry	325	150	475
Francja	415	303	718
Niemcy	507	145	651
Rosja	521	310	831
Włochy	154	141	295
Stany Zjedn.	448	323	771
Japonja	194	141	335

Nadzwyczajnie szybki wzrost wydatków w okresie od r. 1890 do 1907 w bardzo znacznym stopniu należy położyć na karb zbrojeń morskich, będących wynikiem podbojów kolonialnych i najnowszej ery polityki imperjalistycznej. Francja wnet po wojnie z Prusami rzuciła się w wir awantur kolonialnych — podbicie Tonkinu, ciągłe rozszerzanie posiadłości afrykańskich, zdobycie Tunisu i Madagaskaru, — awantur, które bezpośrednio pochłonęły setki milionów, a nadto dały powód do pomnażania wydatków na marynarkę, gdyż „oczywiście“ należało mieć siły zbrojne dla obrony owych posiadłości. Niemcy rozpoczęły podboje kolonialne przez zagarnięcie w roku 1884 kilku pustkowi afrykańskich, które niejako Angli „z nosa spadły“, leżały bowiem w sąsiedztwie posiadłości angielskich, lecz zdawały się niewarte trudu okupacji; po tym w części zagarnięto, w części kupiono od Hiszpanji grupy wysp na oceanie Spokojnym, wkońcu zagrabiono Chińczykom port Kiaoczau z przyległym wybrzeżem. Wszystkie te kolonie niemieckie i dziś nie posiadają wartości prawie żadnej, gdyż są przeważnie bezpłodne i słabo zaludnione, a pomimo to pochłonęły już około miljarda rubli wydatków i dały popoh do forsownego powiększania sił zbrojnych na morzu. Włochy mają również swoją epopeję kolonialną: w roku 1881 zagarnęły port Assaba na afrykańskim wybrzeżu morza Czerwonego i oddadł usiłowały zagarnąć dalekie przestrzenie Erytrei i kraju Somali, co doprowadziło do krwawych wojen z Abisynją i plemionami tubylczymi w roku 1889 i 1894; znów „oczywiście“ trzeba zbrojeń morskich dla obrony tych kolonii. Stany Zjednoczone w roku 1898 wydarły Hiszpanji wyspy Kubę i Filipiny. Anglja w roku 1903 zagrabia po krwawej walce kraj Boerów transwaalskich, a poza tym podejmuje niemal rok w rok większe lub mniejsze wyprawy wojenne dla uśmierzania powstań tubylców w Afryce i w Indjach. Rosja wreszcie parła bezustannie naprzód w Azji, aż wywołała katastrofę wojny japońskiej, a ta polityka „Dalekiego Wschodu“ pochłonęła, poza wydatkami miliardowymi na budowę kolei Syberyjskiej i Środkowo Azjatyckich, wydatki setek milionów na marynarkę, które to miliony zostały potopione w Porcie Artura i pod Cusimą. Wszakże nietylko w bezpośrednich podbojach kolonialnych przejawia się polityka imperjalistyczna, lecz również w „zdobywaniu wpływów“. Chiny, Persja, Azja Mniejsza stały się celem zdobyczy. Bezpośrednie podboje na razie są niebezpieczne, lecz — „należy być

na pogotowiu". Więc idą zbrojenia forsowne na morzu, przy okazji pancerniki urządzają „demonstracje“, lub wysyłają swoje załogi w głąb kraju. Pierwszą wielką próbą a zarazem owocem tej polityki była w r. 1900 wyprawa międzynarodowa przeciw Chinom z powodu powstania bokserów.

Główną przyczyną tej polityki imperjalistycznej — przynajmniej dla państw Zachodu — jest żądza ekspansji kapitału. Nietylko przemysł domaga się coraz nowych rynków zbytu dla towarów, kapitał też łaknie żeru inwestycji w krajach coraz nowych. Miljardy nadwartości gromadzą się w rękach posiadaczy kapitału, coraz trudniej lokować je tak, by dawały nowe zyski, zaciasno się robi w krajach cywilizowanych, za duża jest podaż kapitału, a w produkcji stopa zysku spada. Tam zaś, poza starą Europą, są kraje o gospodarce niekapitalistycznej; narzucić im jarzmo kapitału, sproletaryzować ludność, zmusić ją do wytwarzania nadwartości — oto cel zabiegów. Koleje, kopalnie, przedsiębiorstwa fabryczne dają w Anglii 3—4 procent zysku, w Azji zaś dadzą 25. Więc rozszerzanie „sfery wpływów“, jeżeli już nie można wziąć owych państw azjatyckich w posiadanie, zmuszanie rządów Chin, Turcji, Persji do udzielania koncesji na budowę dróg i na przedsiębiorstwa przemysłowo-handlowe — oto cel zabiegów. A ponieważ o to samo zabiegają rywale, inne państwa „cywilizowane“, należy być na straży, należy mieć na pogotowiu pancerniki i działa. Tak począł się zaciekle wyścig w zbrojeniach morskich ostatniego lat dziesiątka, wyścig, który trwa dotąd.

Zobaczmy, jakie ciężary nakładał on ludom. Wydatkowano na utrzymanie i powiększanie marynarki milionów rubli:

	w roku 1875	w roku 1888	w roku 1898	w roku 1907
W Anglii	101	117	198	300
W Austro-Węgrzech	9	12	29	58
We Francji	63	72	116	125
W Japonji	4	10	64	82
W Niemczech	12	34	65	152
W Rosji	21	41	75	75
W Stanach Zjedn.	43	34	118	196
We Włoszech	13	35	49	58

Rok 1888 wybraliśmy dlatego, że w tym roku wstąpił na tron Wilhelm II i odtąd Niemcy poczęły zapamiętale szafować milionami na marynarkę, a rywalizacja Niemiec pobudzała do forsowania zbrojeń w Anglii i we Francji. Obecnie jesteśmy na początku jeszcze bodaj forsowniejszych zbrojeń. Imperjaliści angielscy rozpoczęli zacieklą agitację o powiększenie marynarki angielskiej i dopięli celu: wprawili burżuazję w stan niesłychanego obłędu, tak, że po całym kraju powstał gwałtowny krzyk o nowe pancerniki. I ten szal ogarnął nietylko samą Anglię, lecz również kolonie angielskie: Australia i Kanada postanowiły budowę olbrzymich pancerników, które mają powiększyć marynarkę metropolji. Pod naciskiem tej agitacji parlament angielski uchwalił budowę ośmiu nowych opancerzonych kolosów.

Z kolei te forsowne zbrojenia Anglii niechybnie wywołają nowe zbrojenia w innych państwach.

Zobaczymyż, jakie jest obecne ustosunkowanie sił morskich. Wskaźnikiem jest tu liczba wielkich okrętów opancerzonych, przeznaczonych do staczania bitwy na otwartym morzu (dla krótkości nazwiemy je pancernikami bojowymi), i krążowników opancerzonych, oraz pojemność tych statków (pojemność przyjęto określać przez objętość wody, jaką wycieśnią statek przy największym pograżeniu pod wpływem obciążenia, miarą zaś jest angielska register ton, równa 100 angielskim stopom sześciennym t.j. 2,8 metrów sześciennych). Zestawienie sił morskich różnych państw w roku 1909 jest takie:

	pancerników bojowych		krążowników	
	liczba	pojemność w tonach	liczba	pojemność w tonach
Anglja	55	822 595	38	475 841
Stany Zjedn.	25	370 585	15	208 993
Niemcy	24	286 402	8	79 980
Francja	16	207 385	18	179 114
Japonja	11	155 244	11	110 170
Włochy	10	124 112	7	55 286
Rosja	6	77 381	4	51 167
Austro Węgry	3	31 800	3	18 800

Dotąd więc przewaga olbrzymia jest po stronie Anglii. Wzrasta ona jeszcze, skoro uwzględnimy również statki mniejsze. Anglja bowiem posiada 204 torpedowców o pojemności ponad 200 ton każdy, gdy Niemcy posiadają ich 87, Francja 67, Stany Zjednoczone 25; kontrtorpedowców (t. j. lekko opancerzonych krążowników, których zadanie pomiędzy innemi polega na ściganiu torpedowców) posiada Anglja 72, Niemcy 29, Francja 18; w końcu łodzi podwodnych posiada Anglja 55, rywalizuje tu z nią tylko Francja—53, Niemcy nie posiadają ich dotąd wcale, inne mocarstwa po kilkanaście zaledwie, tylko w Rosji jest ich jeszcze 33 lecz podobno w rachubę ich brać nie należy. — Dodajmy, że marynarka angielska zdaniem rzeczoznawców nie tylko liczebnie, lecz również jakościowo prym trzyma pod względem doskonałości materiału wojennego i sprawności załogi.

Tymbardziej więc niezrozumiałym jest ów szal.

Tymczasem zbrojenia morskie są rzeczą niesłychanie kosztowną, o wiele kosztowniejszą jeszcze od zbrojeń lądowych, głównie dlatego, że na tym polu postępy techniczne są nader szybkie i powodują bezustanne przewroty.

Za dobrych dawnych czasów żaglowa fregata wojenna największych rozmiarów kosztowała z całym rynsztunkiem niespełna pół miliona rubli. W roku 1854, podczas wojny Krymskiej admirał Popow zastosował po raz pierwszy baterje pływające opancerzone, a w r. 1860 zbudowano we Francji pierwszą fregatę pancerną, poczym Anglicy w tymże roku zbudowali pierwszy rzeczywisty pancernik „Warrior“, który kosztował 3½ miliona rubli. W roku 1886 Włochy za pancernik „Italia“ zapłaciły około 10 milionów rubli, co uważano za cenę strasznie wysoką. Dziś wydaje się ona skromną,

gdyż obecnie wielki pancernik kosztuje około 25 milionów rubli. Tymczasem te kolosy stalowe mają żywot krótkotrwały. W Anglii stało się zasadą, że pancernik po latach 20 jest nie do użycia i zostaje sprzedany za cenę starego żelastwa; nawet statki piętnastoletnie są uważane za zdadne tylko do straży nadbrzeżnej. Jest to wynikiem najpierw walki pomiędzy pancernem a pociskiem: budowano coraz doskonalsze pancerze, a jednocześnie fabryki broni konstruowały coraz nowe działa i pociski dla przebijania tych pancerzy. Obecnie są w użyciu pancerze grubości do 55 centymetrów, składające się z kilku warst stali rozmaitego hartu, co nadaje im wielką elastyczność i sprawia, że pociski wprawdzie przebijają pancerz, lecz nie druzgocą. To miało być ostatnim słowem techniki. Lecz w tym roku uczyniono nowy wynalazek: pancerz, składający się z płyt stalowych i grubych warstw cementu. Zdaniem wynalazców wyższość takiego pancerza polega na tym, że w razie wybicia w nim otworu, można w kilka minut ten otwór zalać cementem. Próby dały podobno dobre rezultaty. — Z drugiej strony zjawiają się coraz nowe wynalazki w innym kierunku. W roku 1875 wynaleziono torpedy, t. j. pociski, wyrzucane z dział tak, że uderzają pod wodą. To zmusiło do zmiany konstrukcji pancerników, gdyż odąd trzeba było opancerzać kadłub okrętu w części podwodnej, podczas gdy dawniej pancerz chronił tylko część, będącą ponad wodą. Torpedowce t. j. statki, przeznaczone do miotania torped, z początku znów były statkami bardzo niewielkich rozmiarów, 8 do 12 ton pojemności, gdyż chodziło o to, aby mogły zbliżyć się niespostrzeżenie do przeciwnika; lecz tak małe statki nie nadawały się do wypraw dalekich, więc poczęto budować statki większe, kładąc nacisk na szybkość; dziś mają one 50 do 100 ton pojemności. Dla ścigania torpedowców poczęto z kolei budować kontrtorpedowce, statki o 250 do 700 ton, uzbrojone w działa szybkostrzelne średniego kalibru i zaopatrzone w maszyny wielkiej sprawności. Torpedowce mają dziś szybkość do 27, kontrtorpedowce do 30 mil morskich¹⁾ na godzinę; ciągle ulepszenia na tym polu trwają do ostatniej chwili. Ponieważ olbrzymie kolosy okrętów bojowych nie mogą mieć bardzo szybkiego biegu, poczęto budować pancerniki lżejsze, uzbrojone w wielkie działa, a obliczone na najwyższą szybkość oraz na to, aby mogły jak najdłużej krążyć po pełnym morzu bez odnawiania paliwa; są to tak zwane „krążowniki“. Obecnie Anglja posiada krążowniki o pojemności 19 000 ton, opatrzone maszynami o sile 45 000 koni parowych, o szybkości 28 mil morskich na godzinę i mogące zabierać paliwa tyle, aby przebyć 20 000 mil morskich bez zawijania do portu. W latach dziewięćdziesiątych przybywa nowa broń straszna — statki podwodne, a odąd wysiłki techników są skierowane ku temu, aby udoskonalić te statki, nadając im pewność ruchu i możliwość przebywania możliwie wielkich przestrzeni. Konstrukcja dział i pocisków przebywa również bezustannie zmiany.

¹⁾ Mila morska = 1855 metrów.

Jeszcze liczniejsze i bardziej doniosłe są przewroty w technice pod względem budowy kotłów i motorów. Należy bowiem zważyć, że dla statku morskiego istnieją specjalne warunki, komplikujące zadanie: przestrzeń jest ograniczona, odnowienie zapasów paliwa utrudnione, powstają więc zadania techniczne takie, z którymi na lądzie nie liczą się, a które decydują w marynarce; trzeba konstruować maszyny o ogromnej sprawności, lecz zajmujące minimum miejsca i zużytkowujące maximum energii, zawartej w paliwie. Te zadania powodują coraz nowe pomysły, a każdy nowy wynalazek sprawia, że okręt bojowy, niezaopatrzone w te ulepszenia, rychło staje się bezużyteczną rudą. Jedną z największych zdobyczy technicznych było zastąpienie koła, wprawiającego w ruch statek, przez śrubę, gdyż ostatnia wymaga mniejszego wysiłku motoru, sam motor może być mniejszych rozmiarów, a ulokowanie śruby u końca kadłubu statku zamiast na środku oszczędza miejsca. Nadewszystko zaś śruba, działająca pod wodą, daje siłę motoryczną ciągłą, podczas gdy koła przy przechylaniu statku na fali chwilami obracają się w powietrzu, nie wykonywując pracy użytecznej; w końcu miarowy ruch śruby nie przyczynia takich wstrząśnięć, co ruch ogromnie ciężkich kół, a wstrząśnienia takie rujną kadłub statku. Ten przewrót dokonał się już w latach siedemdziesiątych. Lecz sama konstrukcja śrub okrętowych ciągle jeszcze ulega ulepszeniom. — Następnie motor: tu ulepszanie przez długi szereg lat polegało na możliwie najdoskonalszym wyzyskaniu siły pary, sama zasada jednakże nie ulegała zmianie, gdyż znaną była tylko maszyna tłokowa. Rezultaty ulepszeń atoli są ogromne. Przed 40 laty najlepsze motory zużywały do wytworzenia siły jednego konia parowego na godzinę 2,5 kilograma węgla, obecnie 1,5 do 1,6 kilograma. Doniosłość tego bije w oczy: jeżeli motor dostarcza siły 200 koni parowych, to na podróż, trwającą 10 dni, dawna maszyna musiała być zaopatrzona w 120 000 kilogramów węgla, obecna w 72 000 do 76 800 kilogramów. Zmniejszono też objętość motoru, miejsce, które zajmuje on w kadłubie okrętu. Lecz od lat kilkunastu motor ulega zasadniczej już zmianie: miejsce motoru tłokowego zajmie turbina parowa. Pierwszą taką turbinę skonstruował Parson w latach dziewięćdziesiątych; wzbudzała ona sensację na wystawie międzynarodowej w Paryżu w roku 1900. Wyższość jej nad motorem tłokowym polega przedewszystkim na tym, że turbina w daleko wyższym stopniu wyzyskuje siłę motoryczną napięcia pary, że niema w niej przeciwdziałania pary zużytej ani punktów martwych i że nie trzeba przetwarzać ruchu prostoliniowego na obrotowy. Dla statków zaś morskich wchodzi jeszcze w rachubę mała stosunkowo objętość motoru. To też zastosowano ten motor niezwłocznie w marynarce; ostatnie pancerniki angielskie i amerykańskie są już zaopatrzone w turbiny. — W końcu kotły. Konstrukcję kotła opalonego węglem doprowadzono niewątpliwie do wielkiej doskonałości, lecz niema prawie roku, aby nie pojawiały się nowe ulepszenia. Chodzi o cztery zadania: zużyć jak najzupełniej ciepłik węgla, zmniejszyć do

minimum rozmiary kotła w stosunku do wytworzonej ilości pary, możliwie uniknąć powstawania dymu, którego smugi zdradzają obecność okrętu na wielką odległość, umożliwić wytwarzanie maximum pary wysokiego napięcia w jak najkrótszym czasie. To też coraz zostaje wypowiedziane „ostatnie słowo techniki“, a po kilku już miesiącach nowy jaki system walczy o lepsze. Więc przed trzema laty nie było kotła nad Babcock-Wilcox o systemie licznych wąskich rur; dwa lata temu prym trzymał system Yarrow o szerokich rurach; obecnie niema, jak kocioł Moshera o świetnie skonstruowanym palenisku. Lecz podczas gdy ci wynalazcy siłą się na rekordy, zjawiają się inni i oświadczają, że kocioł ogrzewany węglem wogóle jest anachronizmem, że należy stosować paliwo płynne, wówczas tą samą na wagę ilością paliwa można zaopatrzyć statek na drogę w dwójnasób dłuższą, w dodatku takie paliwo nie wymaga maszyn i pracy przy przenoszeniu z bunkieru do paleniska, pocieknie samorurami, można zaś je umieszczać w każdym zakamarku kadłubu okrętowego, choćby najmniej dostępnym, a w końcu komin przy takim paliwie wogóle przestanie dymić. Zaczęły się też wraz spory o rodzaj paliwa: nafta, ligroina, benzyna i t. p. Sprawa jest poważna i w różnych warsztatach okrętowych rozpoczęły się próby na wielką skalę. Lecz te wysiłki wskazują znów nowy kierunek: paliwo płynne daje możliwość zastosowania motoru wybuchowego, który pracuje siłą wybuchów rozpylonej i spalanej benzyny (taki motor jak wiadomo stosują w samochodach). Powstaje więc kwestja, czy niebawem turbina parowa, owe „ostatnie słowo techniki“ nie ustąpi miejsca zgoła innemu motorowi.

Na tej walce o motor i kocioł nie kończy się sprawa bynajmniej. Statek każdy, a zwłaszcza statek wojenny, wymaga całego kompleksu maszyn: olbrzymie krany do władowywania i wyładowywania ciężarów wymagają siły motorycznej, działa są poruszane mechanicznie, oświetlenie odbywa się za pomocą lamp elektrycznych. Oczywiście zastosowano tu motory elektryczne. Wobec zawrotnie szybkiego postępu elektrotechniki ulepszenia są tu czynione już nie co rok, a niemal co dnia.

Wobec tego dziwić nie może owo szybkie „starzenie się“ tych machin mordu na morzu. Nietylko już okręt z przed paru lat pozostaje w tyle poza świeżo wykończonym, lecz nawet w czasie budowy już starzeje się taki mechanizm. Najsprawniejsze bowiem warsztaty okrętowe Anglii wykańczają wielki pancernik w ciągu 18-tu miesięcy, a to wystarcza, aby konstrukcje, uznane za najdoskonalsze w chwili rozpoczęcia budowy, były uważane za przestarzałe w chwili, gdy okręt ma wypłynąć na morze. To też faktycznie zdarzyło się w roku 1908, że nowy krążownik niemiecki cofnięto do doków zaraz po spuszczeniu na morze i przerobiono doszczętnie, nie dlatego, że konstrukcja była wadliwą, a dlatego, że chciano zastosować nowe ulepszenia.

Nie dosyć na tym: w miarę jak zachodzą zmiany w opancerzeniu, w działach, w szybkości i sprawności statków, zmieniają się też zasady strategiczne, a to znów wymaga zmian w składzie eskadr

bojowych, w ustosunkowaniu wzajemnym liczby okrętów bojowych, krążowników, torpedowców, kontrtorpedowców. Kilkanaście lat temu wierzono jedynie w okręty bojowe, potem uznano, że przewaga jest po stronie szybkich krążowników; potem znów potępiono te krążowniki jako zdadne do napaści, lecz niezdolne do oporu; obecnie znów są w modzie owe lewiatany, byle miały straż z całego zastępu statków lżejszych. Co będzie jutro — niewiadomo.

Tymczasem nietylko kosztą produkcji tych statków, będących arcydziełem techniki, wzrastają do sum bająskich, lecz i kosztą utrzymania. Maszyny np. doprowadzono do wielkiej doskonałości, wobec czego kolos opancerzony porusza się z olbrzymią szybkością, za to ruch ten wymaga nakładu. Obliczono, że statek, który może płynąć z szybkością 11 węzłów na godzinę, zużywa węgla na godzinę za 138 rubli, lecz statek, poruszający się z szybkością 21 węzłów, pochłonie węgla na godzinę za 720 rubli¹⁾. Dla statków handlowych ten wzrost wydatku okazał się racjonalnym ekonomicznie, gdyż wzmóŜona szybkość ruchu sprowadza oszczędności, przewyŜszające wydatek: statek odbywa więcej podróŜy, wobec czego kapitał zakładowy szybciej się amortyzuje. Natomiast w marynarce wojennej powiększa się tylko wydatek na cele nieprodukcyjne. Nie jest wszak bagatelą, gdy taki pancernik, odbywający spacer po oceanie, zużywa na dobę za 17 280 rubli węgla, t. j. ilość węgla, której starczyłoby na opał przez całą zimę dla kilkuset rodzin.

Wobec tych warunków łatwo zrozumieć ów szalony wzrost wydatków, a rozpoczynająca się kampanja nowych, jeszcze forsowniejszych zbrojeń morskich jest zapowiedzią jeszcze większego ich wzrostu w najbliższej przyszłości. Tymczasem finanse prawie wszystkich mocarstw w chwili obecnej są w stanie, budzącym powszechną trwogę: cięŜary podatkowe wzrastają do granic niemożliwych, a pomimo to budżety raz po raz są zamykane dyficytami.

W Niemczech w roku bieżącym przeprowadzono „reformę finansów“, t. j. parlament uchwalił 500 mil. marek nowych podatków rocznie, gdyż według obliczeń rządu suma ta jest konieczna dla uniknięcia dalszych niedoborów. W Anglii podobna „reforma“ stanowi przedmiot walk parlamentarnych. W Austro-Węgrzech minister finansów ogłosił preliminarz budżetu na rok przyszły, który wykazuje niedobór 151 milionów koron, z czego 109 milionów, spowodowanych zagrabieniem Bośni i Hercegowiny, ma być pokryte pożyczką, a 42 miliony nowymi podatkami. We Francji deficyt wynosi 200 milionów franków. O Rosji niema co mówić: deficyt stał się chroniczny i zachodzi ponowna potrzeba olbrzymiej pożyczki. — Lecz rzecz znamienita: w żadnym z tych państw niema mowy o ograniczeniu wydatków, przeciwnie, parlamenty uchwalają bez opamiętania nowe wydatki na zbrojenia. W roku bieżącym sprawy finansowe stały się osiłą całej polityki wewnętrznej w Niemczech i w Anglii, a walki te nasuwają szereg ciekawych uwag, przebieg ich rzuca wiele światła na

¹⁾ Patrz A. Dix: Auf den Hochstrassen des Weltverkehrs.

społeczne stosunki społeczne i antagonizmy klasowe; warto tedy przyjrzeć im się bliżej.

W Niemczech tak zwana reforma finansowa została ukończona uchwaleniem szeregu nowych podatków przez parlament, lecz w tych zapasach kanclerz Bülow został wysadzony z siodła, a cały układ partji politycznych uległ przetasowaniu. Żeby zrozumieć te zajścia, należy zwrócić uwagę na cały dotychczasowy ustrój finansowy Niemiec. Jak wiadomo, wydatki na wojsko, marynarkę, sprawy zewnętrzne i kolonje czyni Rzesza, podczas gdy wydatki na administrację wewnętrzną, sądownictwo, szkolnictwo, koleje i t. d. ciężą przeważnie na budżetach oddzielnych państw Rzeszy. Nadto gminy mają bardzo wysokie budżety wydatków na urządzenie wewnętrzne miast i na szkolnictwo. Dochody Rzeszy są czerpane prawie wyłącznie z podatków pośrednich i cel, dochody państw oddzielnych z dochodów od przedsiębiorstw państwowych (las, dobra państwowe, kopalnie, koleje), z podatków bezpośrednich i pośrednich, dochody gmin z przedsiębiorstw własnych (gazownie, wodociągi, rzeźnie, tramwaje, stacje elektryczne i t. p.), z dodatków do podatku państwowego od dochodu oraz z podatków pośrednich (dodatki do podatków od piwa, wódki i t. p., podatek od procederu, od gruntów i t. p., gdziekolwiek zachowały się jeszcze myta i cła miejskie). — Przeciążenie ludności podatkami jest ogromne. W roku 1907 pobrano podatków pośrednich i bezpośrednich.

w Rzeszy	1 410	miljonów marek.
w państwach oddzielnych	751	" "
w gminach	1 098	" "
Razem	3 259	" "

Z tej sumy podatki pośrednie i cła wynoszą 2100 m. marek.

Zauważyć przytym należy, że system podatków konsumcyjnych i cel w Niemczech skrojony jest tak, aby różnym kategorjom producentów — mianowicie obszarnikom, przemysłowcom, złączonym w syndykaty, producentom cukru, piwa i gorzałki — zapewnić możność łupienia konsumentów. Przy tym układzie podatków tedy konsumenci opłacają produkty oclone i opodatkowane ponad wartość nie tylko o sumę, pobraną przez państwo, lecz nadto o sumy, złupione przez te uprzywilejowane grupy burżuazji. Naprzykład: cel zbożowych państwo pobrało 213 milionów marek; lecz wskutek cła na zboże zagraniczne podniosła się cena zboża krajowego, konsumenci zapłacili obszarnikom po nad cenę rynku wszechświatowego przeszło 500 milionów marek. Podobnie cła na wyroby przemysłu sprawiają, że przemysłowcy, złączeni w syndykaty, zagarniają zysk dodatkowy wskutek sztucznego wygórowania cen, co obliczam na 900 milionów marek rocznie. W przybliżeniu te sumy zysku dodatkowego, złupionego z konsumentów dzięki cłom i podatkom pośrednim, wynoszą blisko 1 900 milionów marek.¹⁾ W ten sposób

¹⁾ Patrz o tym moją broszurę: *Die Brandschatzung des Volkes durch indirekte Steuern in Deutschland*. Lipsk 1909.

podatki pośrednie i cła ciążą na ludności nie sumą 2,1 lecz 4 miliardów marek. Jak wiadomo, ta forma podatków staje się podwójnie dotkliwą dla ludności niezamożnej, dla proletariatu.

Rząd postanowił tedy „zreformować“ finanse Rzeszy, podwyższając poprostu podatki o 500 milionów marek. Ponieważ kanclerz Bülow opierał się na „bloku“ liberałów z zachowawcami, a z pierwszych część nawet w programie partyjnym oświadcza się przeciw powiększaniu podatków pośrednich, rząd chciał ułatwić tym „wolnomyślnym“ przyjęcie projektu i wskutek tego wniósł projekt, według którego z owych 500 milionów 400 miało być pokryte z podatków pośrednich, a 100 z podatku bezpośredniego, mianowicie z podatku od spadków. Liberałowie przyjęli projekt przychylnie: gotowi byli głosować za podwyższeniem podatków od piwa, wódki i tytoniu, nie wahali się ani na chwilę zwalić 400 milionów nowych ciężarów na konsumentów, byle utrzymać się na stanowisku partyjnej rzadowej. Lecz junkrzy oparli się tym projektom, odrzucili wręcz podatek od spadków. Powstała nowa większość parlamentarna, składająca się z partii junkrów, partii „Centrum“ katolickiego i Koła Polskiego, a większość ta uchwaliła podatki następujące:

podwyższenie podatku od piwa	100 mil. marek.
„ „ „ wódki	80 „ „
„ „ na tytuń	45 „ „
„ „ na wina musujące	3 „ „
„ cła na kawę i herbatę	37 „ „
zaprowadzenie podatku na zapalki	25 „ „
„ „ na lampy żarowe	20 „ „
Razem podatków konsumcyjnych	310 milionów.

Następnie uchwalono szereg podatków pośrednich od obrotów nieruchomości, od papierów wartościowych, czeków i weksli, które mają według obliczeń większości parlamentarnej przysporzyć dochodu 110 milionów. W końcu uchwalono nie obniżać podatku od cukru i od biletów kolejowych, co proponował rząd, i w ten sposób utrzymano dawnych podatków 57 milionów. Razem uchwalono podatków, które przypuszczalnie mają dać dochodu więcej niż dotąd o 477 milionów marek.

Lwią część podatków zwalono zatem na masy ludowe, gdyż one ponieść mają podatki od piwa, tytoniu, wódki, kawy, herbaty, cukru i zapalek. Podatki od papierów wartościowych, obrotów wekslowych i t. p. pozornie nie dotyczą ludności robotniczej, lecz, przy istniejącym w Niemczech układzie stosunków, tego rodzaju podatki nie obciążają bynajmniej kapitalistów, lecz tych, którzy muszą pośilkować się kredytem, a więc przedsiębiorców, kupców, kramarzy i rzemieślników. Podatki te zostały zaproponowane przez partję Centrum, partję, reprezentującą z jednej strony arystokrację katolicką, z drugiej włościan na katolickim zachodzie Niemiec i drobnomieszczaństwo. Partja ta afiszuje się chętnie swojemi antykapitalistycznymi tendencjami i demagogicznie wychwala owe podatki jako cios zadany giełdzie. W przytoczonej powyżej broszurze sta-

rałem się wykazać, że są to frazesy bez sensu, gdyż podatki te w żadnym razie spekulantów giełdowych ani posiadaczy kapitałów pieniężnych nie dotkną. Wskażę tu jeden tylko przykład: nałożono podatek na „talony“, to znaczy na formularze, dodawane do akcji i papierów kredytowych, a zawierające kupony procentowe i kwity na dywidendy. Posiadacze akcji lub papierów kredytowych odcinają te kupony i przedstawiają je w banku celem pobierania dywidendy lub procentów. Pozornie więc opodatkowano posiadaczy papierów, właścicieli kapitałów pieniężnych. W rzeczywistości okazało się co innego: zapłacą podatek nie wierzyciele, lecz dłużnicy. Dowodem to, że zarządy miast postanowiły opłacać z swych funduszków podatek od papierów kredytowych miejskich; a więc nie kapitaliści, którzy zagarniają odsetki od kapitału, pożyczonego miastu, poniosą podatek, lecz poniosą go miasta. To postanowienie zarządów miejskich jest zupełnie zrozumiałe: w Niemczech o kapitały nie łatwo, gdyż przy szybkim rozwoju przemysłu zapotrzebowanie kapitałów przewyższa podaż; a więc istnieje obawa, że przy zaciąganiu nowych pożyczek przez miasto wierzyciele będą stawiali warunki uciążliwe i odbiją podatek, dlatego racjonalniej jest, gdy miasto ponosi podatek i zapobiega tym obniżaniu wartości swych walorów na giełdzie. Lecz zarząd miasta oczywiście musi pokryć ten wydatek, musi szukać nowych źródeł dochodu, a więc zapłacą w końcu ten wydatek mieszkańcy miast, ludność opodatkowana.

W ten sposób demagogiczne frazesy owych obrońców drobnej własności i rzekomych przeciwników kapitału pieniężnego zostały obalone w praktyce. To nie przeszkodzi, aby te same frazesy nie były powtarzane przy najbliższej sposobności i nie znalazły wiary i waloru wśród drobnomieszczańskich wyborców.

Cała owa „reforma“ jest klasycznym przykładem zwalania ciężarów podatkowych, spowodowanych przez militarizm, na klasy pracujące. Od lewicy do prawicy była zgoda na podwyższenie podatków pośrednich od przedmiotów spożycia mas, a cała wrzawa o podatek spadkowy była w gruncie rzeczy tylko wynikiem sporu o wpływ polityczny: liberalna burżuazja zgadzała się na projekt rządowy, ponieważ nakładał on na klasę posiadającą ciężary bardzo niewielkie. Chodziło mianowicie o to, aby opodatkować na rachunek Rzeszy spadki, odziedziczone przez dzieci, podczas gdy dotąd istnieje podatek tylko od spadków, które dostają się spadkobiercom w dalszej linii. Cały dochód z tego podatku miał wynieść 100 milionów marek, sumę dziwnie małą, co tłumaczy się tym, że normy podatku proponowano nader niskie, mianowicie nieprzewyższające 4 procent od spadków milionowych, podczas gdy w Anglii obecnie już podatek wynosi od takich spadków 15 procent. Gdyby podatek był poważny, zapewne nie zgodziliby się nań i liberałowie, czego dowodem, że głosowali przeciw wnioskowi socjaldemokratów o podwyższenie norm podatku.

Drugą charakterystyczną cechą owej „reformy“ było uchwalenie podatków pośrednich w tej formie, że zapewniały one nowe zyski dodatkowe przedsiębiorcom. Nietylko przy podatku wód-

czanym wznowiono „podarunek okowiciany“ (to właśnie było środkiem zwabienia obszarników polskich do sojuszu z junkrami i klechami, o czym patrz Przegląd S. D. Nr. 14/15), lecz zapewniono też zyski właścicielom browarów i fabrykantom zapalek. Mianowicie: podwyższono podatek od piwa, lecz zarazem uwolniono browary od konkurencji, gdyż prawo podatkowe przewiduje podatek dla nowopowstających browarów o 50% wyższy po nad normę ogólną. Podobnie nowopowstające fabryki zapalek zostają obciążone wyższym podatkiem. W ten sposób prawo o podatkach wytwarza monopol, a skutek jest ten, że przedsiębiorcy gorzelni, browarów i fabryk zapalek wnet też postanowili wyzyskać sytuację, podwyższając cenę nie o taką kwotę, jaką wynosi podatek, lecz o wiele więcej. Naprzykład: podwyższenie podatku od piwa wynosi na 100 litrach piwa w przybliżeniu $2\frac{1}{4}$ marki¹⁾, tymczasem syndykaty browarów w różnych miastach postanowiły podwyższyć cenę nie o $2\frac{1}{4}$ lecz o 5 marek, a szynkarze mieli zamiar podwyższyć cenę piwa w wyszynku o 10 fenigów na litrze, o 10 marek na 100 litrach. Zatem podatek podwyższono o $2\frac{1}{4}$ feniga na litrze, a z konsumentów zamierzono zedrzeć 10 fenigów. Podobnie z zapalkami: podatek wynosi $1\frac{1}{2}$ fenigów od pudełka, lecz fabrykanci, złączeni w syndykat, postanowili podwyższyć cenę o $2\frac{1}{2}$ feniga. Jest to niezmiernie ciekawy przyczynek do teorii podatków. Podatki pośrednie zawsze były środkiem zwalania ciężarów państwowych z klasy panującej na masy pracujące, obecnie te podatki stały się środkiem łupienia konsumentów, t. j. tychże mas pracujących, na rzecz przedsiębiorców.

Masy robotnicze zareagowały na taką reformę w sposób bardzo dobitny. Przy wszystkich bowiem wyborach w Niemczech, które odbyły się po tym parlamentarnym zwycięstwie reakcji, ujawnił się olbrzymi, niespodziewany wzrost głosów socjaldemokratycznych. Zaszło to przy kilku wyborach uzupełniających do parlamentu Rzeszy, przy wyborach do sejmów saskiego i badeńskiego oraz do szeregu rad miejskich, zwłaszcza do rady miejskiej w Berlinie.

W Niemczech zatem skutki owej „reformy“ finansów, wywołanej polityką imperjalistyczną, przedstawiają się w bardzo prosty sposób: znalazła się większość nawskroś reakcyjna, junkiersko-klechowsko-szlachecka, która zapewniła rządowi tryumf, umożliwiła łupienie konsumentów na rzecz państwa i na rzecz przedsiębiorców, lecz masy ludowe, a w pierwszej linii proletarijat reagują na to popieraniem jedynek zasadniczych przeciwników militarystyki i niecnego systemu podatków pośrednich.

Inaczej w Anglii. Tu sprawa wikła się: potrzeba szukania nowych dochodów dla państwa doprowadza do konfliktu pomiędzy dwoma odłamami klasy posiadającej, reprezentowanymi przez partję konserwatywną i liberalną, konfliktu, który dziś już przybrał roz-

¹⁾ Dokładne obliczenie jest trudne, gdyż podatek pobiera się nie od gotowego piwa, lecz od ilości siodu, a ilość siodu, użytego dla wyrobu piwa, zmienia się. Nadto jeszcze podatek nie jest równomierny: drobne browary, zwłaszcza folwarczne, płacą mniej, aniżeli wielkie.

miary ogromne i zaostrza się do walki o byt izby lordów; w walce tej robotnicy angielscy będą musieli złożyć niejako egzamin dojrzałości politycznej.

Należy pamiętać o tym, że burżuazja angielska bądź co bądź doprowadziła gospodarkę finansową do wysokiej doskonałości. Ostatni budżet (1907/08) bilansuje się sumą 157 milionów funtów szterlingów; z tego 25 milionów płynie z przedsiębiorstw państwowych, 51 milionów z podatku od dochodu i spadku, a 81 milionów z podatków pośrednich i ceł. Przytym cła tu przyczyniają się tylko do podrażania niektórych towarów przywozowych, jak kawa, herbata, tytoń, wino, lecz nie podrażają wyrobów krajowych; podatki pośrednie — głównie na piwo i gorzałkę — są pobierane w takiej formie, że producenci nie mają możliwości nakładania haraczu na spożywców ponad podatek. Dług państwowy wprawdzie jest olbrzymi, lecz zmniejsza się, a nie wzrasta. W roku 1816 wynosił on 900 milionów funtów. (Anglja przez czas wojen napoleońskich płaciła olbrzymie subsydia przeciwnikom Napoleona, a i własne wyprawy morskie i lądowe, w Hiszpanji, Egipcie i pod Waterloo, kosztowały drogę: stąd dług wzrósł ogromnie), obecnie zaś wynosi 730 milionów funtów. Od lat 25 bowiem rząd prowadzi bardzo zręczną politykę względem dłużników, przeprowadził szereg umiejętnych konwersji, umarza przytym długi i niewiele zaciąga nowych, nawet w latach wojny (np. na wojnę transwaalską zaciągnięto dług 149 milionów funtów — 1 416 milionów rubli), lecz w części pożyczkami krótkoterminowymi, które ulegają szybkiemu umorzeniu. A nadewszystko rząd angielski okroił wierzycielom stopę procentową, płaci bowiem tylko $2\frac{1}{2}\%$, podczas gdy rząd niemiecki płaci 3 do 4, rząd rosyjski 4 do 5%.

Pomimo tej, w porównaniu do innych państw wzorowej gospodarki, nie może wszakże rząd angielski uniknąć deficytów, właśnie wobec szalonego wzrostu wydatków na marynarkę; rok 1907/8 zakończył się np. deficytem 714 000 funtów (6 783 000 rubli). Na przyszłość powstaje nadto poważny wydatek wskutek zaprowadzenia państwowego ubezpieczenia robotników niezdolnych do pracy wskutek podeszłego wieku. Lecz nadewszystko nowe pancerniki, których tak zawzięcie domaga się burżuazja, kosztować będą sumy olbrzymie. A więc i w Anglji reforma finansów stała się koniecznością.

Rząd liberalny, będący obecnie u steru, manewrował niezmierzenie zręcznie. Postawił zasadę, że należy oszczędzać masy ludowe, a więc należy jak najmniej podwyższać podatki pośrednie, a sięgnąć do kieszeni klas posiadających. To też zaproponowano parlamentowi podwyższenie cła na tytoń i spirytualja o 3,5 miliona funtów (33.25 milionów rubli). Natomiast podatki bezpośrednie, od dochodu, od gruntów, od kopalń mają być podwyższone o 12 milionów funtów. W ten sposób partja liberalna osiąga, że wśród mas ludowych powiększenie wydatku na zbrojenie nie wywołało opozycji. Robotnik angielski znany jest z „praktycznego sposobu myślenia“, więc rząd liberalny przewidywał trafnie, że nie będzie on oponował przeciw

budowie nowych pancerników, skoro zapłacić je mają bogacze. Więcej jeszcze: rząd proponuje, aby za jednym zachodem zdobyć przy tej reformie środki na rozległe prace meljoracyjne — budowa dróg automobilowych, osuszanie błot i t. p., co da możność zatrudnienia na szereg lat robotników pozbawionych pracy oraz środki na państwowe subwencje dla biur stręczenia pracy. Więc reforma stała się nawet popularną wśród robotników. Lecz rząd liberalny uczynił jeszcze krok dalej: rzucił rękawicę landlordom, arystokratycznym właścicielom ziemskim. Owe podatki od dochodu i od gruntów mają bowiem dotknąć przedewszystkim rentę gruntową, gdyż w pierwszej linii zostaje pociągnięty do podatku dochód, osiągany ze wzrostu wartości gruntów i dzierżawy. W przeglądzie czasopism przeszłego numeru znaleźli czytelnicy kilka szczegółów w tej sprawie. Minister finansów Lloyd George pozwolił sobie na pewną jeszcze specjalną złośliwość względem dostojnych lordów. Proponuje on mianowicie znaczne podwyższenie podatku od wyszynku piwa i gorzałki. Tymczasem szlachetni lordowie są tu zainteresowani bezpośrednio: są oni nie tylko właścicielami wielkich browarów, lecz nadto szynkarzami na wielką skalę. Na założenie szynku potrzeba koncesji, a więc za grunt, na którym wolno założyć szynk, płaci się bardzo wysoką dzierżawę; właścicielami tych gruntów są po większej części lordowie; skoro atoli skutek wysokiego podatku zmniejsza się intrata z szynku, spadnie dzierżawa na szkodę lordów. Oburzenie szlachetnych i jasnych panów nie ma tedy granic.

Rząd liberalny gra po mistrzowsku swoją partję, gdyż nie może być nic bardziej popularnego w Anglii, jak opodatkowanie renty gruntowej. Ogromna część obszarów jest własnością lordów, nie tylko rola, lecz wielokroć również grunta, na których stoją miasta. Podwyższając bezustannie czynsz dzierżawny, lordowie łupią zarówno farmerów, jak przedsiębiorców, którzy dzierżawią place pod fabryki i składy, w końcu całą ludność, opłacającą komorne. To też gdy Lloyd George lub inny filar stronnictwa liberalnego wykazuje potworność stosunków, przy których „garstka uprzywilejowanych bez pracy i ryzyka zagarnia ogromną część dorobku całego narodu“, przyklaskuje mu cały ogół. W dodatku walka przeciw lordom wiąże się z najlepszymi tradycjami burżuazji angielskiej z czasów, kiedy ta burżuazja była klasą iście rewolucyjną; więc hasło „przeciw lordom“ zostało powitane z niezwykłym zapalem przez drobnomieszczaństwo zwłaszcza, któremu tradycje są drogie.

Lordowie podjęli rękawicę: odmówili sankcji nowym podatkom, jako „opartym na socjalistycznej zasadzie wywłaszczenia“, a tym samym odrzucili budżet, którego część nieoderwalną stanowią te podatki.

Lecz przez to samo lordowie przenieśli kwestję na grunt jeszcze bardziej dla siebie niebezpieczny. Powstaje bowiem pytanie: czy izba lordów wogóle ma prawo unieważniać uchwały izby gmin, dotyczące budżetu? Anglja nie ma konstytucji pisanej, sprawy z zakresu prawa państwowego rozstrzygają się tedy w znacznej części na zasadzie tradycji parlamentu, lecz dotąd nigdy nie było jeszcze wy-

padku, aby izba lordów obalała budżet. Stronnicy lordów są tego zdania, że skoro izba lordów ma prawo potwierdzać budżet, musi mieć również prawo odrzucać go. Przeciwnicy utrzymują, że zatwierdzanie budżetu przez lordów jest tylko zabytkiem, ceremonją uroczystą, z której nic jeszcze nie wynika. Taksamo jak przy uroczystych posiedzeniach parlamentu przewodniczący siada nie na krześle a na wańtuchu z wełną na pamiątkę sławnych posiedzeń „długiego parlamentu“, który, tocząc walkę z rządem królewskim, zebrał się w szopie, taksamo zatwierdzenie budżetu jest tylko ceremonją, przypominającą akt, kiedy lordowie i król jegomość dziękowali izbie gmin za to, że pozwala rządowi jego królewskiej mości ściągać podatki. W rzeczy samej: podstawowe prawo konstytucji angielskiej na tym polega, że wybrani przedstawiciele ludności stanowią o ciężarach podatkowych; lordowie wybranymi przedstawicielami nie są, zasiadają w izbie lordów na zasadzie przywileju, więc nie oni stanowią winni o budżecie. Z chwilą, gdy ci uprzywilejowani roszczą sobie to prawo, powstaje kwestja: czy samo istnienie izby lordów nie jest anachronizmem, czy nie czas uprzątnąć ten rupieć. I rzeczywiście obecna walka wyborcza toczy się poniekąd pod hasłem za lub przeciw zniesieniu izby lordów. Spieszymy atoli zastrzec, że o ile przeciw istnieniu izby lordów piorunują agitatorzy partji liberalnej, jest to czysta demagogja. Oficjalnie partja ta nie stawia takiego hasła, bo też w rzeczywistości nie będzie się kierowała nim nigdy. Zniesienie izby lordów oznacza bowiem, że wszelkie prawa zależeć będą od decyzji parlamentu, a z z chwilą, kiedy robotnicy angielscy zorganizują się w jednolitą partję, do nich musiałaby niechybnie należeć — o ile obecne prawo wyborcze nie uległoby ograniczeniom — większość w parlamencie.

Istnienie dwu izb, z których jedna, oparta na przywileju, jak długo będzie istniała, pozostanie przedstawicielstwem klasy posiadającej, jest więc jedną z nieodzownych gwarancji parlamentarnego panowania burżuazji i ona się go nie wyrzeknie. Gdy dojdzie do rzeczy, partja liberalna, jako przedstawicielka kapitału w przeciwstawieniu do własności ziemskiej, obniży hasło „przeciw izbie lordów“ do „reformy“, która polegać będzie na tym, aby w izbie „wyższej“ znalazło się miejsce dla burżuazji przemysłowej. Tymczasem atoli szulerzy polityczni liberalizmu wyzyskują nastrój radykalny, licząc na to, że okrzyk „przeciz z lordami“ przysporzy im mandatów.

Stronnictwo konserwatywne, zaskoczone tym porywem radykalizmu, usiłuje przenieść zatarg o rentę na grunt zupełnie inny, na grunt walki o protekcyjnizm, który ma jakoby podnieść dobrobyt ludu i zarazem dostarczyć nowych środków na zbrojenia. Już przed laty imperjaliści z Joe Chamberlainem na czele wystawili plan polityczny zwięzły i jasny: „większa Brytania“, a więc zjednoczone Królestwa Anglii, Szkocji i Irlandji wraz z ogromnym imperjum kolonialnym, Indjami, Australją, Kanadą, posiadłościami afrykańskimi i t. d. powinna stanowić jeden olbrzymi układ nie tylko państwowy, lecz również, a nawet przede wszystkim, ekonomiczny, spojony ściślej ziemi niż dotąd węzłami. To znaczy przede wszystkim, że owe

wielkie imperjum powinno oddzielić się od reszty świata murem ceł protekcyjnych, a w granicach tego muru Anglja przy dowozie swych towarów do kolonji ma korzystać w stosunku do innych państw przemysłowych z przywilejów cłowych. Byłby to wówczas układ ekonomiczny, obejmujący kraje we wszystkich strefach, kraje, dostarczające wszystkich bez wyjątku płodów i materiałów surowych, posiadający doskonale zorganizowany przemysł i handel, przestrzenie o bajecznie bogatej glebie i niewyczerpane bogactwa kopalniane, słowem układ ekonomiczny, który pod każdym względem wystarczałby sam sobie; mógłby on obyć się niemal bez przywozu obcych towarów, a świat nie mógłby się obyć bez niego; bogactwa świata całego spływałyby do owej „większej Brytanji“, ona potężna, bogata, wszechwładna dyktować będzie światu swoje prawa. — Takie są „sny o potędze“ konsekwentnych imperjalistów, i nie ulega kwestji, że nęcą one ku sobie znaczną część burżuazji angielskiej. W rzeczy samej: dwaj wielcy rywale dawnej „królowej mórz“ domagają się udziału w ekonomicznym panowaniu — Niemcy i Stany Zjednoczone wtargnęły na rynki nie tylko neutralne, lecz na rynki kolonji angielskich, ba, konkurują nawet skutecznie z fabrykantami angielskimi na wewnętrznym rynku angielskim; pozbyć się tych rywali, zagrozić im dostępami protekcyjnymi, zapewnić sobie panowanie niepodzielne na niezmiernym rynku, obejmującym posiadłości angielskie, to pokusa nielada. Lecz z drugiej strony ta wyśniona potęga dla innej części burżuazji angielskiej okazuje się złudną. Przemysł i handel Anglji wyrosły i spotęgniały przy wolnym handlu; dzięki niemu Anglja ma zawsze najtańsze materiały surowe i korzysta przy wywozie swoich wytworów z najszerzych ulg we wszystkich krajach; to daje olbrzymie korzyści. Weźmy przykład: kopalnie Anglji oddawna już nie dostarczają tyle rudy żelaznej, ile potrzebuje przemysł angielski; rada znalazła się prosta: Niemcy zaopatrują Anglję w surowiec i w półgotowe produkty — płyty, sztaby, blachy żelazne — po cenie tańszej niż otrzymać mogą nawet producenci niemieccy, ponieważ syndykat niemiecki sprzedaje częstokroć te towary w Anglji poniżej kosztów, a pod ochroną ceł zdziera z odbiorców niemieckich ceny, wetujące stratę, poniesioną przy wywozie; z tego taniego żelaza przemysłowcy Anglji wyrabiają okręty, maszyny i narzędzia i pobijają na rynkach neutralnych wytwórców niemieckich, którzy, mając znacznie droższy materiał surowy, drożej też produkują; bywa nawet tak, że towar, zrobiony z niemieckiego żelaza w Anglji, pobija taniością wyrób niemiecki na rynku niemieckim pomimo cła, jakie opłaca przy przewozie do Niemiec. Oczywiście wszystkie korzyści tego rodzaju, wynikające z tego, że Anglja pozostała jedynym krajem o wolnym handlu, znikną z chwilą zaprowadzenia ceł protekcyjnych; materiały surowe w Anglji podniosą się w cenie, warunki dla wielu gałęzi przemysłu pogorszą się. Lecz istnieje inny jeszcze, niemniej ważny wzgląd: kapitał jest międzynarodowy, miliardy angielskiego kapitału są ulokowane w tysiącach przedsiębiorstw całego świata, a w znacznej części w tych właśnie krajach, które konkurują z Anglją, np. w Niemczech i w Stanach Zjednoczonych. To sprawia, że dla licznych grup burżuazji angielskiej podko-

panie przemysłu innych krajów wcale nie jest pojętnym. A nareszcie wchodzi w grę i ten wzgląd: zaprowadzenie cel protekcyjnych w Anglii wywoła represje w innych krajach, a to grozi utratą niejednego rynku. Obecnie np. najgroźniejsi rywale, Stany Zjednoczone i Niemcy, kupują więcej towarów angielskich niż wszystkie kolonie angielskie razem wzięte. To też wśród burżuazji angielskiej zdania co do protekcjonizmu są mocno podzielone: jedne grupy, przyciśnięte konkurencją, przyklaskują, inne, którym wolny handel właśnie zapewnia korzyści, oponują, jeszcze inne wolą wróbla w garści od rajskiego ptaka, obiecywanego przez protekcjonistów.

Wśród robotników angielskich nie powinno właściwie być sporu najmniejszego co do tych kwestji: wolny handel sprawia, że robotnik angielski jest zaopatrywany w tanią żywność. Zboże i mięso bywają w Anglii tańsze niż w jakimkolwiek kraju, gdyż na tym rynku współzawodniczą z sobą dostawcy wszystkich krajów. Z chwilą zaprowadzenia cel protekcyjnych to współzawodnictwo zmniejszy się, ceny wszystkich towarów pójdą w górę, a czy w tym samym stopniu podwyższona zostanie płaca, to więcej niż wątpliwe. Pomimo to propaganda protekcjonizmu czyni postępy wśród niektórych grup robotniczych, mianowicie wśród pracujących w takich gałęziach przemysłu, które upadają. Tym robotnikom bowiem wmawiają protekcjoniści, że z chwilą zaprowadzenia cel ochronnych dźwignie się przemysł i zwiększy się zapotrzebowanie na ich pracę.

Tak stały sprawy dotąd. Obecnie konserwatywni rzecznicy protekcjonizmu nadają swemu staremu programowi nieco nowe oblicze. Stronnictwo liberalne, głoszą oni, chce nałożyć podatki na rentę gruntową w celu zdobycia nowych źródeł dochodu, my zaś proponujemy w tym celu lepiej „opodatkować zagranicę“; z chwilą bowiem, gdy Anglja nałoży cła na towary zagraniczne, dochody z tych cel pokryją wydatki na wielekroć większe jeszcze zbrojenia; zaprowadźcie cła, a starczy na pancerniki bez liku. Ten argument właściwie obala wszystko, co dotąd prawili protekcjoniści imperjalistyczni o znaczeniu owej „większej Brytanji“: albo owa „większa Brytania“ będzie starczała sama sobie, wówczas dochody z cel będą minimalne, albo będzie ona musiała pomimo wszystko sprowadzać towary obce, wówczas nie będzie korzyści, jakie wyniknąć mają z powstania takiego układu ekonomicznego. O te sprzeczności nie wielce wszakże troszczą się agitatorzy wyborczy, według starej recepty chodzi bowiem nie o uświadomienie, a o tumanienie wyborców. W każdym razie robotnicy angielscy wiedzą teraz czego się trzymać: według zamiarów konserwatystów koszt zbrojeń mają być pokryte z cel. Że te cła zapłaci „zagranica“ jest wierutną bajką, gdyż jak uczy doświadczenie wszystkich krajów, cła opłacają spożywczy krajowi, przyczem cła — jak wszystkie podatki pośrednie — ciążą zwłaszcza na masach robotniczych.

Czując atoli, że argumenty protekcjonizmu szwankują, [stronnictwo konserwatywne w toku kampanji wyborczej chwytą się przede wszystkim środka najbardziej przystępnego: podjudza instynkty szowinistyczne, straszy najazdem niemieckim, od którego jakoby może

uchronić Anglię jedynie dbający o armję i marynarkę rząd konserwatywny. Sztuka stara i zużyta, stosowały ją z większym lub mniejszym powodzeniem przy wyborach partje konserwatywne wszystkich państw, zwłaszcza zaś Niemiec.

Wobec więc takich zatargów losy walki wyborczej stają się niepewne; obecnie jeszcze niewiadomo, na którą stronę przechyli się większość wyborców burżuazyjnych: na rzecz imperjalizmu, z protekjonizmem Chamberlaine'a, co oznaczałoby zwycięstwo lordów, czy też na rzecz imperjalizmu, zachowującego wolny handel, a zwalającego ciężary tego imperjalizmu chwilowo na rentę gruntową. Decydować będą robotnicy. I tu niestety mścić się zaczyna brak wyrobienia politycznego robotników angielskich, brak jednolitej rewolucyjnej partji robotniczej. Przedstawiciele parlamentarni najliczniejszej partji socjalistycznej, t. z. „Niezależnej Partji Pracy“, grają starą grę: usiłują wytargować możliwie dużo drobnych korzyści doraźnych dla robotników, wyzyskując w tym celu zatargi pomiędzy dwiema partjami klasy posiadającej. Na razie oddali się w zupełności na usługi rządu liberalnego i popierają energicznie reformę. To sprawia, że zasadnicza kwestja: za czy przeciw imperjalizmowi, za czy przeciw popieraniu militarizmu z dalszym wzrostem ciężarów na zbrojenia zesła i dla robotników z widowni. Tymczasem ta właśnie kwestja wymaga rozwiązania, ona jest najbardziej paląca. Czy obecnie uda się przycisnąć lordów, czy nie, czy okroi się nieco rentę, czy nie, to ma znaczenie przemijające. Złudzeniem jest bowiem, jakoby klasa posiadająca zechciała ponosić trwale te ciężary; prędzej czy później zwałą się one na masy pracujące. I dlatego polityka imperjalizmu, polityka podbojów i gwałtu, służąca tylko rozpowszechnieniu panowania klasy kapitalistycznej na kraje odmiennej, niekapitalistycznej kultury, oznacza obok wzmożenia militarizmu powiększenie ucisku politycznego i wyzysku mas przez państwowo burżuazyjne. W każdym razie zatarg o to, kto ma ponieść kosztą polityki imperjalistycznej, oznacza dla Anglii szereg walk politycznych olbrzymiej doniosłości, które muszą się przyczynić do uświadomienia klasowego robotników angielskich. Dla nich niema zbawienia w obozie liberałów; tylko własna, proletarjacka polityka, niepozwalająca na posługiwanie się proletarjatem przez istniejące partje klasy posiadającej dla ich celów, może uczynić zadość interesom robotnika angielskiego.

Początki i koniec ruchu szkolnego.

(Przyczynek do dziejów rewolucji u nas).

Napisał Z. Leder.

Najściślejczy związek ruchu szkolnego z r. 1905 z powstaniem proletariatu Rosji i Polski pod wrażeniem rzezi petersburskiej jest faktem powszechnie znanym i uznanym. Bez względu na hasła, jakie młodzież szkolna tu lub gdzieindziej formułowała, obiektywne znaczenie, które, jak zwykle, nie jest i w tym wypadku identyczne

z subiektywnymi życzeniami aktorów dramatu dziejowego, — sens polityczny wystąpień młodzieży szkolnej był w całym państwie jeden i ten sam. Był nim protest przeciwko szkole carskiej, protest przeciwko jednej z tych instytucji, które stanowiły nieodłączny składnik całego systemu absolutystycznego, protest, który tym samym był jedną tylko falą w wielkim potoku powstania ludowego przeciwko absolutyzmowi. I mogli sobie nacjonałiści wszystkich odcieni — aż do socjalpatryjotów włącznie — czynić wszelkie możliwe wysiłki, by ruchowi szkolnemu w Polsce nadać piętno „ruchu specyficznie polskiego“, wyodrębnić go od ruchu ogólnopanstwowego, nie pozwolić mu zlać się w jeden potok z rosyjskim — ruch szkolny z stycznia 1905 r. był w równie małej mierze ruchem tylko o szkołę polską, jak strejk styczniowy proletariatu polskiego był „przyśpieszeniem przygotowywanej przez P. P. S. akcji przeciwko mobilizacji“, jak o tym zapewniała jedna z jej humorystycznych odezw styczniowych.

Istota i motywy ruchu szkolnego w Rosji zostały jasno sformułowane w tysiącnych listach otwartych i zbiorowych, zamieszczonych w pismach rosyjskich przez profesorów i kształcącą się młodzież, w setkach uchwał zgromadzeń. Wszystkie one jednym i tym samym rozbrzmiewały tonem: „Tak dalej żyć nie można...“ Z istniejącym systemem szkolnym na podkładzie biurokratyczno-policyjnym pogodzić się niepodobna... Przyłączając się do głosu całej uczciwie myślącej Rosji, a w szczególności do głosów profesorów wyższych zakładów naukowych, należy oświadczyć, że losy szkoły średniej są nierozzerwalnie związane z nieodzowną reformą polityczną¹⁾.

Reforma polityczna — oto motyw przewodni żądań nauczycieli szkół średnich, rodziców, profesorów wyższych zakładów naukowych. I nic w tym dziwnego. „Kto ma szkołę w ręku — ma rząd dusz“, powiedziano kiedyś. Kto ma rządy dusz w ręku — ma rządy w swych rękach, dodajmy. Walka ludu z samowładztwem o rządy w państwie musiała objąć w myśl powyższego, jak to zachodziło już nieraz w walce politycznej, między innemi walkę o szkołę ludową w miejsce szkoły carskiej; walka o szkołę demokratyczną musiała stać się szczegółem i podporządkować się walce politycznej z caratem, walce o rządy w państwie. Jedna forma walki spłotła się w okresie rewolucji z drugą nierozzerwalnie.

Jeśli w Rosji związek między walką z caratem a walką z szkołą carską był tak jasny, że nie mógł ulegać żadnej wątpliwości, to w Królestwie Polskim zjawisko ruchu szkolnego przedstawiało się w sposób bardziej złożony. Tutaj na ruch szkolny nałożył bardzo wcześnie swe piętno ruch czysto „narodowy“, wywołany przez sam tylko ucisk narodowościowy, a stąd cechujący się skrajnym nacjonalistycznym zacieśnieniem. Podczas gdy w Rosji ruch w wyższych zakładach szkolnych, począwszy od r. 1899, znajdował się w stanie ciągłego rozwoju i stopniowo przeobrażał się

1) Z listu nauczycieli szkół średnich. Cytuję według artykułu w Ogniwie „Czego chcą oni?“ Nr 13, 1905.

z ruchu akademickiego, zawodowego w ruch rewolucyjny, polityczny, w Królestwie Polskim ruch ten tylko na chwilę w r. 1899 zdołał pociągnąć za sobą studenterję. Już bezpośrednio jednak potem do uniwersytetu i politechniki warszawskiej wtargnęła tak silna fala nacjonalizmu, że solidarne wystąpienia rewolucyjnej części młodzieży polskiej wraz z młodzieżą rosyjską zostały uniemożliwione przez opór młodzieży nacjonalistycznej¹⁾. Podobnie się rzecz miała i ze szkołami średnimi. I tutaj mieliśmy przed rewolucją taki ruch szkolny, jak strejk w Siedlcach i Białej. Ale ruch ten nosił charakter jeszcze ciśniejszy, aniżeli w wyższych zakładach szkolnych: chodziło tylko o język przy wykładzie religii; poza tym ruch nie posiadał żadnego zabarwienia politycznego.

Dwa prądy, istniejące w ruchu szkolnym w Królestwie Polskim, odpowiadające dwóm prądom w naszym ruchu społeczno-politycznym wogóle: narodowemu, nacjonalistycznemu oraz demokratycznemu, socjalistycznemu, stały się w chwili wybuchu rewolucji. W okresie rewolucji zwycięstwo przypadło czasowo w udziale demokratycznemu i socjalistycznemu ruchowi proletariatu. Tym samym o charakterze polskiego ruchu szkolnego zdecydował charakter ruchu polskiego proletariatu. I dlatego najzupełniej niezależnie od faktu, że jedne z petycji lub oświadczeń, które młodzież szkolna składała wówczas dyrektorom i rektorom szkół, podkreślały bardziej lub prawie wyłącznie żądanie spolszczenia szkół, inne wysuwały na czoło żądanie szkoły wolnej i demokratycznej, przez to samo więc i narodowej, — ogólny charakter polskiego ruchu szkolnego, jego obiektywne znaczenie było także samo, jak charakter i znaczenie rosyjskiego ruchu szkolnego. Był nim protest przeciwko szkole carskiej, przez carat stworzonej i jego narzędziem będącej, była to walka o szkołę ludową, którą stworzyć miał na gruzach caratu sam lud.

P. P. S. dała wyraz swemu stosunkowi do rewolucji szkolnej „dzieci“ i sposobu jej likwidacji przez ojców w odezwie z 12 marca

¹⁾ Autor artykułu w Przedświcie (Nr 11) „Pierwszy wspólny Zjazd młodzieży polskiej“, wspominając o zaburzeniach warszawskich z r. 1899 i 1903, ubolewa, że „o wprowadzeniu polskiego języka wykładowego nikt wtedy nie wspomniał, chociaż sprawa ta powinna daleko bardziej leżeć na sercu studentom warszawskim, niż wywalczenie różnym Filewiczom i Ziłowom prawa wybierania z pośród siebie rektora, który musiałby być takim samym, jak oni łajdakiem“. Autor tłumaczy „powyższe niezrozumiałe zjawisko tym, że między większością studenckich pepeesowców a esdeków, „postępowców“, nawet bundowców i sjonistów różnice były dość nieznaczne“. „Byli to opozycjoniści, niemający żadnego określonego poglądu na sprawy polityczne i narodowe, a idący za wiatrem, który zwykle dmuchał w Rosji“. W rzeczywistości było inaczej. Mrozący mózgi młodzieży warszawskiej „wiatr“ nacjonalizmu „dmuchał“ z łamów Przedświtu (por. np. w r. 1899 artykuły Tomaszewskiego) i innych Przeglądów Wszechpolskich oraz wszelakich Tek już w owych latach. I to dmuchał z taką siłą, że młodzież ta awanturowała się o zagwarantowanie jej prawa urządzania szowinistycznych szopek antiniemieckich bez obijania jej przy tej okazji boków przez carskie stupajki, ta sama młodzież jednak nie chciała walczyć wraz ze studenterją rosyjską o wolności polityczne w państwie, ponieważ tu chodziło o sprawę „niepolską“.

1905. Spotykamy w niej tak charakterystyczną dla socjalpatriotów spekulację na „rewolucyjność” inteligencji oraz burżuazji polskiej obok nieodłącznego rewolucyjnego wulgaryzmu i specyficznych drobnomieszczańsko-nacjonalistycznych iluzji. Odezwa P. P. S. uznaje wystąpienie rodziców w sprawie Szkolnej za „otwarte i śmiałe”. „Wiec rodziców wypowiedział się otwarcie i śmiało, że dość ma już ogłupiającej i upadającej szkoły carskiej”. Niedosć na tym: P. P. S. nie miała ani słowa potępienia a samo tylko uznanie dla tej akcji „czynnych obywateli kraju, walczących z uciskiem najezdniczego rządu” w przedpokojach sług carskich w Petersburgu, przed którą cofnął się nawet jeden z pierwotnych jej uczestników, Świętochowski. „Obywatele! — głosiła odezwa P. P. S. — uczyniliście już wiele w sprawie walki o uczciwą i polską szkołę... Nie będziemy Wam przypominali Waszych obowiązków obywatelskich — spełniliście je, odbierając (? Z. L.) dzieci Wasze ze szkół carskich, spełniliście je, agitując niemordowanie (? Z. L.) za bojkotem szkół rządowych, zbierając tysiące podpisów na petycjach, wysyłając do Petersburga delegatów z żądaniami. Przy tej pracy pokojowej widzieliście w swoich szeregach i naszych przedstawicieli”. Następują wnioski, godne zarówno promotorów taktyki wysadzania mostków kolejowych i obrywania kawałów muru z gmachów rządowych, jak nacjonalistycznych demagogów, którzy ongi obiecywali, że powódzie w kraju naszym ustaną, gdy tylko „najazd” z niego zostanie wypędzony. „Nie zawahajcie się (zwraca się odezwa do młodzieży akademickiej) użyć siły i kija względem opornych ojców...” „Tak-samo, jak po długim strejku zdobyliśmy znaczne ulgi, tak i ten strejk szkolny (sic!) musi dać naszym dzieciom rzetelną naukę w naszym rodowitym języku prowadzoną, musi dać przynajmniej urzędową gwarancję (ze strony biurokracji carskiej! Z. L.), że reforma szkolna w najbliższym czasie będzie rozpoczęta” (pod ciałem! Z. L.).

Zgola inne stanowisko w stosunku do akcji rodziców w petersburskich przedpokojach, do tej „pracy pokojowej” którą, jak widzieliśmy, P. P. S. uznała i za swoją, zajęła Socjaldemokracja. Zgola inaczej oświeciła ona również perspektywy zasadniczego problemu — rozwiązania sprawy szkolnej w Królestwie Polskim. Stanowisko swoje Socjaldemokracja jasno sformułowała w dwóch odezwach, wydanych w marcu r. 1905. „System szkolny — stwierdzała pierwsza z tych odezw — we wszystkich państwach burżuazyjnych jest zależny od całokształtu stosunków społecznych. Demokratyzacja szkoły jest najściślej związana ze sprawą demokratyzacji ustroju politycznego państwa, usunięcie systemu policyjno-spiegowskiego z usunięciem państwa policyjnego”. Z przesłanki powyższej Socjaldemokracja wyprowadzała odpowiednie wnioski w stosunku do szkoły carskiej w Królestwie. „Robotnik zdecydował już dawno, że szkoła, kierowana przez czynowników, pijaków i łapowników, szpiclów i złodziei; że gimnazjum, skąd usunięto dzieci „nizkiego pochodzenia”, gdzie ograniczono odsetek dzieci żydowskich,

gdzie wychowawcą jest znowu ten sam łotr-czynownik, a własny język dzieci ścigany jest jak przestępstwo; że wyższa uczelnia, gdzie największa część wysiłków władzy szkolnej idzie na tępienie wśród młodzieży chęci do nauki, na tępienie zdrowych proletariackich żywiołów, — robotnik zdecydował, że szkoła ta uleczona być może tylko przez obalenie caratu,... zdobycie ustroju demokratycznego, zapewnienie sobie zupełnej swobody rozwoju kulturalnego przez pozyskanie dla Polski samorządu“. Określiwszy w ten sposób stosunek polskiego proletariatu do sprawy szkolnej, odezwa charakteryzuje dalej stosunek polskiej burżuazji do niej. „Gdy inteligencja rosyjska orzekła, że prowadzenie nauki w dzisiejszych warunkach politycznych jest niemożliwością, Wy orzekliście, że wystarczy zażądać od caratu szkoły polskiej; gdy jeszcze przed rokiem inteligencja rosyjska orzekła, że przekładanie żądań rządowi carskiemu jest prózną stratą czasu — Wy ślecie deputację i błagacie cara o darowanie Wam szkoły carskiej! Gdy proletariąt popiera swe żądania głodem setek tysięcy, ofiarą z życia setek — Wy powołujecie się na manifest cara Aleksandra II, manifest, który dowieśćby mógł Wam najdowodniej, gdybyście tylko lepiej byli w stanie treść dziejów odczytywać, jak złudną, jak reakcyjną jest nadzieja pogodzenia caratu ze szkołą narodową; gdy proletariąt polski woła wraz proletariatem petersburskim: „nie mamy cara! precz z carem-mordercą!“ — Wy wraz z hrabiami Tyszkiewiczami, moskiewskimi wilkami giełdowymi i ciemnymi kułakami wielkorosyjskimi wołacie: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy! Daj nam, o daj z łaski swojej, Panie, szkołę polską!“ I za takie nadanie ruchowi szkolnemu „programu polskiego“, że użyjemy wyrażenia p. Dmowskiego, — odezwa piętnuje naszą „narodową“ burżuazję bez ogródek: „Hańba Wam za to, panowie! hańba Wam, jako Polakom; hańba, jako rodzicom tych dzieci, co po bohatersku walkę ze szkołą carską podjęły; hańba, jako współrodakom tych robotników, co w walce z caratem, w walce o wolność, w walce o swobody narodowe, w walce o szkołę trupami swemi ulice zaściełali!“

W drugiej z odezw swoich w sprawie szkolnej partja nasza niemniej stanowczo niż w pierwszej zaznaczała swój pogląd na sposób rozwiązania sprawy szkolnej. „Plwał Wam w oczy sługa carski, gdy pouczał Was o tym, czegoście Wy, krótkowzroczni, nie pojmowali, że kwestja szkoły polskiej, jak wogóle kwestja polska może być rozwiązana tylko przez rewolucję, tylko po zaprowadzeniu w państwie rosyjskim republiki demokratycznej, a u nas w Polsce samorządu krajowego...“ Jednocześnie, podnosząc znaczenie ruchu szkolnego, odezwa jasno określała granice tego znaczenia: „I choć strejk szkolny nie jest niczym innym, jak tylko jednym ze środków walki ze samowładztwem, a nie środkiem zdobycia polskiej szkoły pod absolutyzmem, choć w potężnej walce, jaką podjął z samowładztwem proletariąt, środek ten jest tym, czym ostrzeliwanie z muszkietów twierdzy, do której wałą działa armatnie, jednak strejk ten powinien być prowadzony dalej — aż do zwycięstwa!“

Porównanie dwóch powyższych dokumentów historycznych, z których przytoczyliśmy wyciągi, dzisiaj w świetle wypadków łatwo przekona, która z obu partji prawidłowo ujmowała i oceniała znaczenie ruchu szkolnego i sposób rozwiązania u nas, jak i w całym państwie, kwestji szkolnej, której taktyka w tej sprawie była zasadniczą i rewolucyjną zarazem: czy Socjaldemokracji, dowodzącej, że kwestja szkolna może być rozwiązana tylko przez rewolucję, tylko na gruzach absolutyzmu, i w myśl tego piętnującej burżuazję za to, że walki rewolucyjnej młodzieży i proletariatu nie popiera, lecz zwalcza lub w najlepszym razie tamuje — czy P. P. S., wyrzekającej się tym razem, by nie straszyć burżuazji, „Niepodległej Polski“, i zapewniającej, że „strejk szkolny musi dać naszym dzieciom rzetelną naukę w naszym rodowitym języku prowadzoną, a przynajmniej urzędową gwarancję, że reforma szkolna w najbliższym czasie będzie rozpoczęta“ — to wszystko oczywiście pod absolutyzmem! — P. P. S., przywołującej do „użycia kija“ względem opornych rodziców, a uznającej za swoją akcję antiszambrowania w pałacach petersburskich ministrów! Paradoks znowu stał się rzeczywistością: partja wulgarnego rewolucjonizmu, chcąc w imię dążeń „socjalistycznego“ nacjonalizmu skupić pod swym przewodnictwem w rewolucyjnej akcji cały „naród“, stoczyła się po pochyłej równi nacjonalizmu aż na posadzkę przedpokojów petersburskich ministrów.

Lecz był to zaledwie pierwszy etap w rozwoju ruchu szkolnego. „Synowie“ mieli wkrótce ustąpić miejsca „ojcom“. Rozpocząć się miała walka o nadanie tego lub innego charakteru i znaczenia politycznego ruchowi szkolnemu — między socjalizmem a nacjonalizmem. Walkę tę Dmowski w swej cytowanej już na łamach Przeglądu książce o kwestji polskiej charakteryzuje jako walkę nie tylko o kierownictwo ruchem, lecz i o nadanie mu tego lub innego charakteru, o to mianowicie, czy ruch ten miał zostać „rewolucyjnym strajkiem młodzieży“ lub też stać się „bojkotem szkoły rosyjskiej, rusyfikacyjnej przez społeczeństwo, żądające szkoły polskiej“. W jeszcze bardziej stanowczy sposób i z zupełną słuszością podkreślił krańcowe przeciwieństwo, istniejące między ugodowym dążeniem „społeczeństwa“ do spolszczenia szkoły a rewolucyjnymi dążeniami proletariatu i młodzieży publicysta sfer ugodowych Erazm Piltz.

„Ojcowie“ nie omieszkali więc dokonać zamachu na kierownictwo ruchem szkolnym. Udało im się to do pewnego stopnia dzięki czynnej pomocy władz carskich, które umożliwiały tchórzliwe, „opozycyjne“ wystąpienia burżuazji, lecz krwią i ołowiem tłumiły głos proletariatu. Na wiecu, odbytym w Warszawie dn. 19 lutego 1905 r. za pozwoleniem ówczesnego kuratora okręgu warszawskiego, a obecnego ministra oświaty Szwarca, „ojcowie“ przejęli kierownictwo ruchem szkolnym z rąk „dzieci“ w swoje własne. Ów wiec „ogólno-narodowy“, na którym słyszeliśmy przedstawicieli wszelkich kierunków, od Krzywickich, Heryngów, Niemojewskich do Libickich, Nowodworskich, Pełowskich, zlikwidował faktycznie rewolucyjny charakter ruchu młodzieży, pozbawił ruch szkolny jego dawnego charakteru poli-

tycznego ruchu, skierowanego przeciwko samowładztwu, a nadał mu charakter ruchu, dążącego na gruncie samowładztwa do spolszczenia szkoły. Kızıwiczki ze łzami w oczach utyskiwał na owym wiecu — w tonie moskiewskiego profesora z pierwszych lat ruchów studenckich — nad tym, że szkoła „rosyjska“ uczy dzieci polityki, Libicki powoływał się na żądanie szkoły polskiej w memorjale Tyszkiewicza, Peplowski namawiał Szwarca, by zasłużył się przed własnymi swymi rodakami i podjął starania o przywrócenie polskiej szkoły, Nowodworski powoływał się na monarszy reskrypt z r. 1864 i zapewniał obecnych, że nawet zła szkoła może być lepsza niż żadna; wszyscy zaś obecni — w liczbie więcej niż tysiąca osób — rodziców i opiekunów — uznawszy, że ruch młodzieży szkolnej jest wynikiem całego systemu istniejącego szkolnictwa, wyprowadzili z powyższego praktyczną wskazówkę, że należy „w możliwej w obecnym położeniu formie“ wystąpić za pośrednictwem Kuratora Okręgu Naukowego o przywrócenie szkoły polskiej. Jeden tylko głos rozległ się na wiecu, podnoszący, że żądanie szkoły polskiej musi być oparte na pewnych gwarancjach, a te może dać tylko „reprezentacja swobodnie wybranych przedstawicieli kraju“. Lecz głos ten nie został podtrzymany na wiecu absolutnie przez nikogo: „ojcowie“ przejmowali od „dzieci“ ciężar „polityki“, którego dźwiganie przez nich budziło tyle współczucia w Krzywickim, ale sami go nie ponieśli, bo, wyrzekając się „polityki“, pozostali — na gruncie ustaw obowiązujących z mocy manifestu Aleksandra II. „Uczciom dzieci — jak mówił Nowodworski — położyć nie byli w stanie tamy“; gdyby spróbowali, „zerwaliby — jak słusznie zauważył Peplowski — wszelką łączność z dziećmi“. Obrali więc drogę zgodnie ze wskazówkami, udzielonemi im na wiecu przez Szwarca. „Działania zbiorowe („skopom“) są niedopuszczalne... Rady pedagogiczne nie mogą się zgodzić, by dzieci urządzały ekscesy w szkole... Szkoła za ekscesy musi karać (wzyskiwać)“. Uspokoić dzieci winni rodzice; oni winni wpłynąć, by dzieci nie występowały z żądaniami („zajawlenjami“). Powinni to uczynić dorośli.“ „Społeczeństwo polskie ma drogę przed sobą w kierunku wypowiedzenia swoich żądań, — taką, jaką wybrali ludzie poważni, przedstawiając memorjał hr. Tyszkiewicza... Prowadźcie dalej sprawę tak, jak została ona rozpoczęta przez memorjał powyższy oraz przez znany memorjał dwudziestu trzech“. Ja zaś — dodawał w duchu chytry sługa caratu, odpowiadać będą na memorjały memorjałami i skutek nie będzie podlegał wątpliwości¹⁾! Tak radził Szwarz i tak „ojcowie“ uczynili.

„Ojcowie“ poszli drogą, wskazaną przez Szwarca i Dmowskiego. „Politycy polscy ujeli ruch w swe ręce, dali mu program polski,

1) Protokół obrad wiecu w sprawie szkoły polskiej w Warszawie d. 19 lutego 1905 (Kraków 1905) oraz Sprawozdanie organu młodzieży „Iskra“, przedrukowane w książce Bonarowicza: „Strejk młodzieży szkolnej“. Por. też odpowiedź Szwarca na memorjał Spasowicza, Baranowskiego i in.: „Memorjał kuratora warszawskiego okręgu naukowego Szwarca w sprawach szkolnych i t. d“. Kraków 1905.

odjęli mu charakter rewolucyjnego strejku młodzieży, a uczynili z niego bojkot szkoły rosyjskiej, russyfikacyjnej". Rodzice uspokoili dzieci, wybijające szyby w carskich szkołach oraz popełniające inne „ekscesy“, zaprzestając je posyłać do szkół, sami zaś jęli się składania petycji na ręce ministrów, utwierdzeni przez Szwarca w przekonaniu, że ostatecznie „dojdą do porozumienia między sobą“ („stołkujutsia“). Rozpoczęły się pamiętne pielgrzymki „ojców“ do przedpokojów Głazowów i Wittów, zakończone moralnym kopnięciem petentów, którzy przyszli „stołkować się“ z sługami krwawego cara: niedość uprzejmi kontrahenci wyjaśnili petentom, że jeśli i nadal chcą sprzedawać caratowi swe usługi, to synowie ich muszą znać „język państwowy“. A więc — szkoła musi i nadal pozostać rosyjską.

Wiec z dn. 19 lutego 1905 oraz pielgrzymka do przedpokojów petersburskich stanowiły faktyczne zlikwidowanie ruchu szkolnego „dzieci“ przez „ojców“. „Bezrobocie“ szkolne nie było samo przez się i być nie mogło środkiem, który byłby w stanie wywrzeć bezpośredni nacisk na posiadających władzę. Było ono nim tylko o tyle, o ile wносиło pewien ferment rewolucyjny do tej sfery życia, która go nigdy dawniej nie znała, do sfery życia burżuazji. „Ojcowie“, którzy ujrżeli przed sobą całą przyszłość swych „synów“ postawioną na kartę, zmuszeni byli działać — co wobec ówczesnej abstynencji politycznej naszych klas burżuazyjnych było już samo przez się pewnym plusem. Jak działali — wiadomo. W rezultacie — brutalna odprawa ze strony władz carskich i szydlerza obietnica Szwarca, który raczył uznać, że polskie społeczeństwo może i ma prawo domagać się szkoły polskiej (we wspomnianym memorjale nazwał te domagania się „zuchwałą próbą poniżenia rosyjskiej szkoły rządowej“), i zapowiedział, że wobec tego „być może jeszcze coś („koje czto“) się zrobi“ dla Polaków.

Lecz strejk szkolny posiadał w owym okresie inne jeszcze znaczenie. Był on objawem walki rewolucyjnej o tyle, o ile, zrodziwszy się z walki proletarjackiej, wsiąkał w nią, że tak powiemy, zlewał się z nią i na niej się opierał. Owo ciągłe zlewanie się strumienia ruchu szkolnego z potokiem walki ludowej — „rewolucji“ szkolnej i rewolucji proletarjackiej, przybierało formy wzajemnego oddziaływania bezpośredniego, szczególnie wtedy, gdy chodziło o młodzież wyższych zakładów naukowych. Rozpraszała się ona po kraju i od ławy uniwersyteckiej, z laboratorium technicznego przechodziła do szeregów partii, walczących na czele ruchu politycznego, zarówno rewolucyjnych, jak i kontrrewolucyjnych, stawała do ich usług w charakterze pracowników, gotowych do wszystkiego, i w ten sposób bezpośrednio oddziaływała na rewolucję. Niemniej i „rewolucja“ szkół średnich wsiąkała w rewolucję proletarjacką, jak i ta ze swej strony do niej przenikała. Wtedy, gdy „ojcowie“ likwidowali „rewolucję“ szkolną przez składanie petycji w przedpokojach Wittów, Głazowów, znajdowała ona czynne poparcie w agitacji partii rewolucyjnych. Ale tutaj już znajdujemy zasadniczą różnicę w stosunku do sprawy szkolnej obu

odłamów socjalizmu polskiego: socjalpatriotycznej P. P. S. i antynacjonalistycznej S. D.

Ale powróćmy do dziejów dalszego rozwoju samego ruchu szkolnego. Jak powiedzieliśmy, wiec szkolny w Warszawie z dn. 19 lutego 1905 był likwidacją ruchu szkolnego, jako samodzielnego ruchu młodzieży szkolnej. Z chwilą przejścia przez „rodziców“ kierownictwa akcją, ruch szkolny potoczył się nowemiłożyskami: z jednej strony ugodowej i serwilistycznej akcji burżuazji polskiej, z drugiej — rewolucyjnej walki proletariatu. Likwidacją formalną pierwszej były uchwały komitetu ministrów z dn. 21 czerwca. Pokazały one, jakie może dać rezultaty akcja szkolna burżuazji pod absolutyzmem — jakkolwiek i te nawet rezultaty nie byłyby osiągnięte bez walki rewolucyjnej proletariatu. Pokazały one dalej, że rozwiązanie swego sprawa szkolna oczekuje (jak to twierdziła Socjaldemokracja jeszcze w marcu) od rozwiązania rewolucji. A rewolucja ta miała przed sobą jeszcze dni październikowe, grudniowe, dni Sweaborgu, Kronsztatu.

W tym okresie stwierdzić możemy znowu stanowczą różnicę, zachodzącą między ruchem młodzieży szkolnej w Rosji a u nas i warunkami zewnętrznymi, w których jeden i drugi się rozwija — różnicę, wypływającą z odmienności całokształtu stosunków społecznych oraz położenia politycznego. Młodzież rosyjska otrzymała w uczelniach wyższych autonomję uniwersytecką, młodzież polska pozwolenie mówienia w murach szkolnych poza lekcjami w języku ojczystym oraz w uniwersytecie lekturę języka polskiego i katedrę literatury polskiej z polskim językiem wykładowym. Podczas gdy ruch młodzieży polskiej, jakeśmy już zaznaczyli, po wiecu 19 lutego rozpląnął się z jednej strony w ugodowej akcji burżuazji polskiej, z drugiej w rewolucyjnej walce proletariatu, ruch studenterji rosyjskiej zachował swe znaczenie siły samodzielnej — acz tylko pomocniczej dla proletariatu — aż do dni październikowych: po otrzymaniu w końcu września autonomji uniwersyteckiej młodzież otworzyła na oścież dla mas ludowych audytorja uniwersyteckie dla wielkich wieców i w ten sposób oddała niepoślednią przysługę w przygotowaniu i rozszerzaniu się wielkiego strejku październikowego. I — rzecz charakterystyczna dla obu ruchów, polskiego i rosyjskiego: gdy w Rosji „wybitne przysługi w ruchu wolnościowym jedynej w świecie co do swej zdolności do poświęcenia się“ rosyjskiej studenterji mogły być czczone 31 października na placu moskiewskim przez rektora uniwersytetu przed olbrzymim tłumem, świętującym pierwszy dzień wolności¹⁾, u nas jako zasługę studenterji nie zdołano w tymże czasie wynaleźć nic ponadto, że wydała z pośród siebie Kunickiego i Feliksa Kona!²⁾ Tam — masy młodzieży, stanowiącej samodzielny oddział ruchu wolnościowego, tu — jednostki, ginące w ruchu mas poszczególnych klas. Oto cechy ruchu młodzieży szkolnej w Rosji i u nas.

¹⁾ Kolcow, Pamiati pawszich, cyt. w książce Wydrina: Osnownyje momienty studienčeskago dwiženja w Rossii Moskwa 1908.

²⁾ Ogniwu, r. 1905, Nr 44 — 46 „Student w rewolucji“.

„W dni październikowe — pisze słusznie autor wyżej cytowanej pracy o ruchu studenckim w Rosji ¹⁾ — ruch studencki jako ruch wyłącznie polityczny osiągnął najwyższego punktu swego rozwoju, poczym — wyczerpał niejako sam siebie... Gdy we wrześniu r. 1906 studenterja rosyjska powróciła do uniwersytetów, miała ona po za sobą zduszone moskiewskie powstanie i rozpędzenie Dumy, a przed sobą sądy polowe oraz stany wojenne. Jeśli rok temu powstawało pytanie, czy otworzyć lub nie otworzyć uniwersytet, to obecnie dla każdego studenta stawało się jasnym, że uniwersytet powinien zostać otwarty. Nie wyzwoiliwszy się od wrażeń ubiegłego burzliwego roku, studenterja oświadcza na wiecach, że otwiera uniwersytet dla rewolucji. Lecz w nieodpowiedniej atmosferze społecznej hasło: „uniwersytet dla rewolucji“ okazuje się pustym dźwiękiem. Ta rola, którą uniwersytet odgrywał w dniach październikowych, odpowiadała przygotowawczemu okresowi rewolucji rosyjskiej. Z chwilą gdy okres ten się skończył, studenterja nie może w dalszym ciągu pełnić starej roli. Rewolucja, a jeszcze bardziej zbliżająca się reakcja polityczna przyczyniły się do szybkiego zróżniczkowania partyjnego samej młodzieży uniwersyteckiej. Wielu gorących rewolucjonistów otrzeźwiło się i zbliżyło się do „umiarkowanych ojców“. Obok partii socjalistycznych w środowisku studenckim poczyną pozyskiwać wpływ coraz bardziej i bardziej ideologja liberalnej demokracji burżuazyjnej. W uniwersytecie grupa studencka, która przyswoiła sobie tę ideologję, we wszystkim naśladuje swych „ojców“, prowadzących politykę poza murami uniwersytetu. Wysunąwszy hasło „oszczędzać uniwersytet, jako ognisko kulturalno-oświatowe“, liberalna studenterja spieszy zabezpieczyć spokojny bieg zajęć akademickich przed jakimikolwiek wstrząśnieniami. Podobnie jak i profesorowie, studenterja ta mniemała, że ruch przyszedł wreszcie do cichej przystani akademickiej autonomji i że czas walki już minął. W przeciwstawieniu do tego poglądu skrajne partje „lewicy“ usilnie zalecały studenterji prowadzenie w dalszym ciągu walki o ustalenie jej położenia w uniwersytecie. Przez cały ruch studencki r. 1906 ciągnie się walka tych dwóch kierunków wśród studenterji“.

To, co nastąpiło w Rosji dopiero po dniach grudniowych, po rozpędzeniu Dumy, stało się w naszym ruchu studenckim wcześniej, bo jeszcze przed rewolucją. Rozszczepienie całej studenterji na większość „narodową“ i mniejszość socjalistyczną jeszcze przed rewolucją uniemożliwiło wszelkie rewolucyjne wystąpienia studenterji jako całości. Pozbawienie Polski nawet tych swobód, które pozyskała szkoła wyższa w Rosji, nie stworzyło podstawy nawet do iluzji, że młodzież, wracając do uniwersytetów, otwiera je „dla rewolucji“: „rewolucja“ w polskiej szkole wyższej była mrzonką. Tak ruch młodzieży szkolnej załamał się i wyczerpał u nas znacznie wcześniej niż w Rosji. Jeśli w najwyższym stanie fali rewolucyjnej strejk szkolny był, według trafnej charakterystyki cytowanej już wyżej odezwy naszej partji „tym, czym jest ostrzeli-

1) Wydrin, l. c.

wanie z muszkietów twierdzy, do której wałą działa armatnie“, to z chwilą, kiedy mauzery Moskwy i działa Libawy, Sewastopolu, Sweaborgu padły, zdoławszy w twierdzy poczynić tylko wyłomy, „ostrzeliwanie jej z muszkietów“ stało się tragikomedją, potępioną w swej śmieszności przez historję, usprawiedliwioną w swej tragiczności tylko przez psychologję zwyciężonych.

Ze strejkami szkolnym zaszło coś podobnego, jak nieco wcześniej z bojkotem Dumy. Strejk szkolny okazał się chybionym z chwilą, gdy losy rewolucji, które zdawały się ważyć jeszcze długo po powstaniu grudniowym między porażką a zwycięstwem, zostały rozstrzygnięte po rozpędzeniu II Dumy: pomimo to cała sytuacja usprawiedliwiała go jeszcze przez czas dłuższy. Studenterja rosyjska, gdy wyrzekała się strejku uniwersyteckiego, pozyskała autonomję uniwersytecką, a więc pewną podstawę walki, naogół wystarczającą jej interesom zawodowym. W Królestwie wszystkie ustępstwa i zdobycze były pozorne — tym trudniejsze i pozornie mniej uzasadnione wyrzeczenie się dawnej taktyki. Lecz akcja szkolna zbyt ściśle była związana i zbyt silnie jest zależna od ruchu proletariatu, by nie musiała podkopać samej siebie przez pozbycie się wszelkiej treści politycznej wraz z porażką rewolucji. Podobnie jak konsekwentny nacjonalizm „socjalistyczny“ przez wyrzeczenie się solidarnej walki z proletariatem rosyjskim o wspólne cele, a między innymi podjęcia wraz z nim w okresie kontrrewolucji walki na gruncie Dumy, skazał sam siebie na taką akcję „rewolucyjną“, jak konfiskata kas monopolowych i t. p. — tak bojkot szkoły carskiej w Polsce, pozbawiwszy się wszelkiej treści przez opróżnienie szkół, które stoją otwarte, skazał sam siebie na ujawnianie swej żywotności przez sztubackie wybryki, korygowane następnie przez wysoki i najniższy serwilizm. „Narodowy Związek Robotniczy“ — to nacjonalistyczne wydanie „socjalistycznej“ Frakcji Pseudorewolucyjnej — podejmuje akcję, zalecaną niegdyś przez P. P. S.: akcję kija i pięści w stosunku do studentów-Rosjan, którzy uczęszczają do uniwersytetu warszawskiego. W rezultacie otrzymujemy ugodową akcję wszystkich „poważnych“, t. j. burżuazyjnych, stronnictw polskich, udających się do Skąłona z zapewnieniem, że w dążeniu do zaspokojenia swych potrzeb narodowych i rozszerzenia swych praw potępiają wszelkie „środki niekulturalne“, a tymbardziej „gwałt w każdej formie i w każdej dziedzinie“. Ruch szkolny, wszczęty przez „dzieci“ w myśl przekonania, że szkoła narodowa i demokratyczna zdobytą może być tylko w walce i tylko drogą siły, pogrzebany zostaje przez „ojców“, zapewniających, że jedna tylko zostaje droga do szkoły polskiej — „zgoda z losem“ i czołganie się na brzuchu przed zwycięzcami. A w kilka miesięcy później, przy głosowaniu nad etatem ministerjum oświaty, Koło Polskie stwierdza, że „ideały dobra i prawdy“, które „ojcowie“ chcą szczepić dzieciom w szkole polskiej i w których imię zawarli ugodę z Skąłonem, są ideałami von Anrepa, „miłość ziemi ojczystej“, w której chcą wychowywać dzieci w tej szkole — miłością jednej z dziedzicznych posiadłości Romanowów. I pozbawiony swej rewolucyjnej treści, „bojkot szkoły rosyjskiej i russyfikacyjnej“, zostaje uzupełniony

w Zakopanym przez odrzucenie ze strony bojkotującej młodzieży wniosku, by potępić anrepowską politykę „ojców“...

* * *

Dzieje polskiego ruchu szkolnego — szczególnie w zestawieniu z dziejami ruchu w Rosji oraz u nas przed rewolucją — wyraźnie odślaniają linię jego rozwoju i rolę w nim odegraną przez poszczególne żywioły społeczne; jednocześnie pozwalają one jasno ująć znaczenie bojkotu w chwili obecnej.

Ruch szkolny jest składową częścią ogólno-rosyjskiej rewolucji — oto prawda najprostsza, dostępna nawet dla burżuazyjnych „postępowców“. Co więcej: jak zupełnie słusznie stwierdzała młodzież z „lewicy“ P. P. S. na zjeździe w Zakopanym, „tatyka, forma i tempo walki młodzieży szkolnej — znajdują się w ścisłej zależności od stanu ogólnej walki rewolucyjnej“. Bojkot, niebędący „rewolucyjnym strejkem“ (według terminologii p. Dmowskiego), to znaczy niebędący na całej przestrzeni państwa walką przeciwko szkole carskiej, staje się w równie małej mierze akcją rewolucyjną, jak mało była nią „akcja“, do której nawoływała rekrutów P. P. S. w r. 1904 podczas wojny z Japonją: uciekania przed branką poza kordon. Tam, gdzie bojkotowana szkoła istnieje, gdzie bojkot absolutnie nie podkopuje jej istnienia, tam staje się on nie protestem i nie walką, lecz usuwaniem się od możliwej walki. I w tych warunkach niezbędnym jego uzupełnieniem stają się ulicznicko-szowinistyczne wybryki nacjonalistów z Narodowego Związku Robotniczego — taksamo, jak eksproprowacje są niezbędnym „uzupełnieniem“ braku wszelkiej ideowej i politycznej roboty rewolucyjnej u nacjonalistów z t. zw. Frakcji „Rewolucyjnej“. Że jednak olbrzymia większość młodzieży zupełnie słusznie odrzuca takie sztubackie wybryki, więc bojkot jest dla niej niczym innym, jak zamaskowanym powrotem do abstynencji politycznej i wyrzeczenia się walki politycznej pod osłonką nacjonalistycznego frazesu. Tak jak ongi nacjonalistyczna młodzież polska nie chciała brać udziału w walce studenterji rosyjskiej pod pretekstem, że chodzi tu o sprawę „niepolską“, że musi ona zachowywać swe siły dla walki „narodowej“, tak obecnie daje ona posłuch „rewolucyjnemu“ hasłu Frakcji Pseudorewolucyjnej P. P. S. uciekania z Polski pod pozorem prowadzenia w ten sposób walki o „spolszczenie“ szkoły.

Lecz samo żądanie „spolszczenia szkoły rosyjskiej i rusyfikacyjnej“ bez walki o demokratyzację ustroju państwowego jest poszczególnym objawem ogólnego separatyzmu nacjonalistycznego, który wzmacnia się i słabnie w odwrotnym stosunku do wzrostu ruchu rewolucyjnego i demokratycznego w państwie. Hasło to odpowiada w zupełności w dziedzinie szkolnej dawnemu hasłu naszych partji „narodowych“ w dziedzinie kwestji polskiej: zarówno żądaniu ugodowców spolszczenia absolutyzmu, jak i dążeniu Narodowej Demokracji w pierwszym okresie rewolucji do uzyskania autonomji Królestwa Polskiego nie na gruncie rewolucji, lecz w sojuszu z siłami kontrrewolucji i dzięki ustępstwom z jej strony. W idei bojkotu szkoły rosyjskiej, jako środka walki o szkołę polską, propagowanej przez

młodzież, mamy zarazem do czynienia z ideą starego inteligienckiego, utopijnego nacjonalizmu: z ideą rewolucyjną daje ona się równie mało pogodzić, jak idea nacjonalizmu w jego dzisiejszym stadium rozwoju wogóle nie daje się pogodzić z ideą rewolucyjnego socjalizmu.

Dalej. Dzieje ruchu szkolnego podczas rewolucji wykazują znamioną walkę w ciągu całego trwania ruchu dwóch dążących do opanowania go żywiołów — nacjonalizmu i socjalizmu. Dominujący wpływ socjalizmu w pierwszym okresie ruchu nadawał mu treść rewolucyjną przez powiązanie go z ogólno-rosyjską walką rewolucyjną — dawał mu charakter walki przeciwko szkole carskiej. Nacjonalizm przeciwnie: od najsłabszej prawicy do najsłabszej, rewolucyjnej „lewicy“ P. P. S., dążył do nadania jej „programu polskiego“ — przy najmniej w tej formie, jak to czyniła cytowana wyżej odezwa P. P. S., która nie wiązała walki o szkołę polską ani z obaleniem caratu, ani z „Odbudowaniem“ Polski, bo jedno zarówno jak drugie jest wykluczone przez program nacjonalizmu ugodowego i póługodowego. W miarę tego, jak rząd i partje burżuazyjne biorą górę nad rewolucją proletariacką, a nacjonalizm nad socjalizmem, nacjonalistyczny giest, opozycyjny lub „rewolucyjny“ — obok ugodowego, serwilistycznego czynu, w najlepszym razie — brak czynu zastępuje sam rewolucyjny czyn, który znikł wraz z usunięciem się z widowni socjalizmu, wraz z zapędzeniem w podziemia rewolucji. Jak ongi Narodowa Demokracja „bojkotowała“ instytucje rządowe, nie walcząc przeciwko nim, jak później głosić poczęła „dążenie do Odbudowania Polski“ bez walki o nie, tak w okresie kontrrewolucji nacjonalizm głosi bojkot rosyjskiej szkoły wyższej, w niczym nie podkopując i nie osłabiając swym opozycyjnym lub rewolucyjnym giestem podstaw istnienia tej szkoły. I jeśli nacjonałiści wszelakiego kierunku, od prawowiernych zwolenników Narodowej Demokracji do wyznawców Frakcji „Rewolucyjnej“ P. P. S., dopatrzili się w bojkocie wyższej szkoły rządowej jednego z objawów „walki o wyzwolenie narodu polskiego“, to ów „objaw walki o wyzwolenie“ postawić można tylko na jednej linii z takimi „objawami walki o Niepodległość Polski“, jak wysadzanie mostków kolejowych w r. 1905, a rabowanie kas rządowych w r. 1908. W rzeczywistości zaś bojkot w teraźniejszej swej formie jest nie dalszym ciągiem rewolucyjnego strejku, podjętego przez młodzież szkolną w r. 1905 pod wpływem ruchu proletariatu, jest on, przeciwnie, natchniony ideą Narodowej Demokracji — „bojkotu szkoły rosyjskiej, rusyfikacyjnej bez tykania caratu“ a więc dalszym stosowaniem tego środka walki, który w r. 1905 miał być odtrutką przeciwko strejkowi rewolucyjnemu.

Jak zauważyłem wyżej, mają zupełną słuszość „wyróżniający się jednolitością wychowania politycznego i nieprzejednania“¹⁾ zwolennicy „lewicy“ P. P. S., gdy stwierdzają, że ruch szkolny jest skła-

¹⁾ Por. K. Zalewski: S'jezd polskiej młodzieży (Głos Socjaldemokrata Nr. 16—17).

dową częścią ogólnorosyjskiej rewolucji, że więc młodzież szkolna musi taktykę, formę i tempo swej walki stosować do ogólnej walki rewolucyjnej — i że bojkot w chwili obecnej w zależności od upadku ruchu rewolucyjnego słabnie i zanika. Lecz tutaj pojawia się z „drugiej strony”: bojkot trzeba prowadzić dalej, ponieważ „wniesie on ożywienie do środowiska burżuazyjnego społeczeństwa i... pobudzi walkę proletariatu”. W rzeczywistości pogląd taki jest jedynie odbiciem tego „choć — ale”, „z jednej strony — z drugiej strony”, które tak jaskrawie cechuje „jednolity światopogląd” lewicy P. P. S. oraz „socjaldemokratów” lewicowego nabożeństwa w rodzaju K. Zalewskiego¹⁾. W rzeczywistości jedni i drudzy — i „fracy” i „lewicowcy” — zgodnie okłamują młodzież polską co do znaczenia bojkotu: jedni przypisując mu rewolucyjne znaczenie bez zastrzeżeń, drudzy z zastrzeżeniami „z jednej strony”, „z drugiej strony”. I w tych warunkach za najbardziej rewolucyjny czyn uważać należy: powiedzieć to, co jest, — powiedzieć młodzieży, że bojkot dzisiaj jest pozbawiony wszelkiego znaczenia, że jest rewolucyjnym giestem, który równie dobrze może ukrywać brak wszelkiej treści rewolucyjnej, jak być osłonką dla reakcyjnego usuwania się od możliwego terenu walki. Z bojkotem szkoły wyższej w Królestwie ma się sprawa obecnie jak z przegranym strejkem: giest rewolucyjny w postaci przedłużania strejku, wtedy, gdy stał się on bezcelowym lub szkodliwym, nie nada mu treści rewolucyjnej. Bojkot, któremu towarzyszy idea nacjonalistów lub socjalistów w nacjonalistycznym wydaniu, jakoby był on „częstką walki o „odbudowanie” jest co do wpływu na samą młodzież szkodliwy, bo wnosi w umysły nacjonalistyczne kłamstwo miast rewolucyjnej prawdy; bojkot, któremu towarzyszy zamęt myśli co do jego znaczenia — jak u studentów „lewicowców” — jest nie mniej akcją szkodliwą, bo połączoną ze złudzeniem, jakoby był on tylko trwaniem przy starym sztandarze. A znaczenie bojkotu z punktu widzenia jego wpływu na postępy kontrrewolucji lub naodwrot na losy walki wolnościowej, na ruch opozycyjny burżuazji lub na walkę rewolucyjną proletariatu jest żadne.

* * *

Więc wnioski praktyczne? Daleką nam jest niewątpliwie myśl agitowania za uniwersytetem lub politechniką warszawską, jako rozsądnymi prawdziwej wiedzy teoretycznej lub praktycznej. Jeszcze dalszą naturalnie jest od Socjaldemokracji myśl przywoływania młodzieży do „łamistrejkostwa”. Ale musi ona bezwzględnie i bez wszelkich osłonek lub ogródek wykazywać istotną wartość bojkotu. A młodzież socjaldemokratyczna, spełniając w ten sposób i przynajmniej w tej mierze swoje rewolucyjne zadanie, czy to nad

¹⁾ Słuszność nakazuje stwierdzić, że „lewica” prędzej spostrzegła fałszywość takiego stanowiska, aniżeli służący jej za trabanta politycznego na łamach prasy rosyjskiej „socjaldemokrata” Zalewski. (Por. Robotnik Nr. 218). Ciury myśli wloką się zawsze w tyle.

Wisłą czy to nad Sprewą, Sekwaną i Limatem, winna się gotować do czynnego udziału w walce proletariatu.

Albowiem „rewolucyjny” bojkot wyższych szkół w Warszawie wobec porażki rewolucji długo ciągnąć się nie będzie i skończy się w ciągu paru lat — rewolucyjna walka proletariatu polskiego, w tej czy w innej formie, trwać będzie nadal i prędzej czy później wywalczy dla społeczeństwa polskiego szkołę narodową i demokratyczną.

Oświata robotnicza.

Napisał Henryk Schulz.

(Tłumaczone z niemieckiego rękopisu).

„Socjaldemokracja jest w najwyższym znaczeniu tego słowa partją oświaty” mówi Liebknecht w znanym swym dziełku „Wiedza to potęga, potęga to wiedza”. Dlatego Socjaldemokracja już oddawna dokonywała olbrzymiej pracy kulturalnej przez uświadamianie i ćwiczenie klasy robotniczej.

W ostatnich jednak latach klasa robotnicza wszystkich krajów zajmuje się gruntowniej i obszerniej niż przedtem swemi zadaniami oświatowemi. Poszukuje ona nowych środków, ponosi wielkie ofiary pieniężne, bierze do rąk literaturę naukową z gorętszym zapalem i większą chęcią, niż kiedykolwiek.

Następujący artykuł ma za zadanie przedstawić przyczyny, które wywołały potrzebę oświaty robotniczej wogóle i wzmożony dla niej w ostatnich latach zapal w szczególności; zarazem zaś dać rzut oka na praktyczną pracę oświatową, dokonaną przez Socjaldemokrację niemiecką.

* * *

Postawmy na czele naszych rozważań kwestję oświaty wogóle. Oświata równie nie jest niczym absolutnym, ustalonym raz na zawsze, jak wszystkie inne objawy społeczne.

Niestety w skutek tradycji tysiącleci jesteśmy zbyt skłonni uważać za właściwe wykształcenie tylko rozwijanie umysłu, lekceważyć zaś pracę ręczną, jako zbyt grube zajęcie. Zapomina się przytem, że podział pracy społecznej na umysłową i cielesną, na teorię i praktykę był dopiero wynikiem rozwoju społecznego. Przez długie wieki pierwotnego komunizmu podział ten nie istniał; panował wtedy jeszcze najściślejszy związek pomiędzy pracą fizyczną a potrzebnymi do niej, jakkolwiek bardzo skromnemi, funkcjami mózgowemi, zarazem jednak i pomiędzy pracą fizyczną i umysłową jednostki a jej niezbędnością dla ogółu.

Ta pierwotna jednolitość wykształcenia zarówno jednostki, jak społeczeństwa zatraciła się, gdy powstanie własności prywatnej zrodziło klasy i państwo. Rody panujące zwały ciężkie i mozolne, a więc fizyczne zatrudnienia na barki niewolników, dla siebie zaś

pozostawiały czynności przyjemniejsze, przeważnie umysłowe, związane z panowaniem i kierownictwem. Wskutek tego pracę fizyczną coraz bardziej poniżano i uważano ją za niegodną wolnego męża. Natomiast rozwój władz umysłowych, zajmowanie się nauką i sztuką stawały się coraz bardziej przywilejem klas panujących.

Jeżeli za czasów pierwotnych kształcenie dorastającego pokolenia — o ile wogóle o kształceniu mogła być mowa — odbywało się w najprostszy i najnaturalniejszy sposób, przez przykład i naśladowanie, w bezpośrednim związku z każdorazowym celem, to w nowych warunkach metoda ta już nie wystarczała. Młode pokolenie klasy panującej było narazie zupełnie obce jej celom i zamiarom, młodzieży tej do przyszłych jej zadań władców niemożna już było przysposabiać zapomocą współpracownictwa i przykładu, stwarzano więc dla niej specjalne instytucje, szkoły, w których zapomocą określonych metod rozwijano zdolności duchowe przyszłych władców, organizatorów i wodzów. Szkoły zatem od pierwszej chwili swego powstania są środkiem panowania, narzędziami w rękach klasy panującej, zarazem zaś środkiem, uprzyjemniającym życie panujących, pozwalającym im brać udział w życiu naukowym i artystycznym.

Podobnie jak dzisiejsze społeczeństwo stoi jeszcze w znaku prywatnej własności środków produkcji i sprowadzonych przez nią następstw społecznych, w tej samej mierze i dziś jeszcze panuje nierówny podział wykształcenia pomiędzy różne klasy społeczeństwa. Wprawdzie podział ten zmienił się w wielu ważnych i nieważnych szczegółach w ciągu tysiącleci, które upłynęły od gospodarki niewolniczej starożytnych Greków do rozwiniętego kapitalizmu naszych czasów, istoty jednak szkoły zmiany te nie dotknęły.

Być może, na pierwszy rzut oka powstanie i istnienie szkoły ludowej zdaje się temu przeczyć. Ale górnolotna nazwa szkoły ludowej nie powinna nas skłaniać do fałszywej oceny jej celów i środków. W kraju, w którym szkoła ludowa ma poza sobą najdłuższy i na pozór najpoważniejszy rozwój, w Niemczech, powstała ona w średniowieczu, a więc nie jako szkoła ludowa, ale jako szkoła dla młodego pokolenia rzemieślników miejskich, którzy coprawda w miastach stanowili wtedy właściwy lud. Lecz o wiele liczniejszy lud poza miastami, stan włościański, proletarjat wiejski, przez całe stulecia jeszcze nie miał szkoły ludowej: brakło mu bowiem przesłanek gospodarczych, które powołały do życia tę szkołę. Drobny rzemieślnik, który pod względem gospodarczym stał na własnych nogach, a i jako klasa zdobył sobie w miastach pewną niezależność, potrzebował dla swej egzystencji osobistej i społecznej pewnego stopnia elementarnego niemieckiego wykształcenia (nie łacińskiego, jakie otrzymywali patrycjusze miejscy w szkołach łacińskich) i dla zaspokojenia tej potrzeby stworzył sobie szkoły ludowe. Gdy w dalszym przebiegu rozwoju gospodarczego przesłanki te znikły, gdy samodzielny rzemieślnik wpadł w poddańczą zależność od kapitalisty, a niezawisłość miast ulec musiała zwierzchnictwu terytorjalnemu samowładnych książąt, obiecujące początki szkół ludowych pochy-

liły się do upadku. Kapitalizm w początkach okazał się wrogiem oświaty mas.

Zdawałoby się wprawdzie, że twierdzeniu temu zadaje kłam polityka szkolna nowożytnego państwa. Jeżeli jednak rzeczywiście w drugiej połowie XIX wieku daje się stwierdzić skromny postęp szkolnictwa pod względem ilościowym i jakościowym, to w pewnej tylko drobnostkowej części można to przypisać bezpośredniemu wpływowi rozwoju kapitalistycznego: o tyle, o ile dla różnych gałęzi i odłamów produkcji kapitalistycznej potrzebny jest lub przynajmniej pożądanym pewien poziom elementarnego wykształcenia; przytym szerokie koła kapitalistyczne mają interes w tym, aby wzrastała siła kupcza i chęć kupowania wśród mas, do czego rozwój umysłowy znacznie się przyczynia. W daleko jednak większej części skromny swój postęp szkolnictwo zawdzięcza naciskowi z dołu, nieustającej inicjatywie uświadomionego klasowo proletariatu.

Ale i dzisiejsza szkoła ludowa, w swej nawet najbardziej rozwiniętej formie, nie daje właściwej oświaty ludowej, a to już chociażby z tej prostej przyczyny, że jest instytucją klasową. Klasa panująca stara się jedynie zużytkować w swym interesie te miliony, które wkłada w szkolnictwo ludowe. Ogranicza ona do nikłego minimum materiał naukowy, który zresztą jest nędznym odpadkiem jednostronnie umysłowego wykształcenia burżuazji; możliwy zaś wpływ tego minimum na rozwój umysłowy masy stara się jeszcze uszczuplić przez sposób udzielania go, przeplatając go i wypaczając legendami dogmatyczno-religijnymi i dynastyczno-patriotycznymi.

Z tych samych powodów i dobrowolna praca oświatowa burżuazyjnych idealistów i polityków socjalnych nie ma żadnej prawie wartości dla klasy robotniczej. W gruncie rzeczy dąży ona do utrwalenia lub w najlepszym razie do skromnego i niewinnego rozszerzania pośledniej i błędnie orjentującej wiedzy, dawanej przez szkoły ludowe. Jak jednak ta nie stwarza oświaty ludowej, tak też nie potrafi jej stworzyć nieznaczna i bezplanowa działalność burżuazyjnych apostołów oświaty, ich popularne kursy uniwersyteckie i stowarzyszenia oświatowe.

Robotnicy muszą pracę nad umysłowym swym wyzwoleniem ująć we własne ręce, podobnie jak i wyzwolenia materialnego i politycznego spodziewają się tylko po własnych siłach. Jeśli więc każdorazowa forma szerzenia oświaty ściśle i przyczynowo wiąże się z każdorazową organizacją gospodarczą, to dla klasy robotniczej może to oznaczać tylko, że wyzwolenie jej umysłowe nastąpi jedynie po wyzwoleniu ekonomicznym, że prawdziwa i powszechna oświata ludowa możliwa będzie wtedy dopiero, gdy będzie jeden tylko lud, a więc żadnych klas, gdy urzeczywistnią się ostateczne cele socjalistyczne proletariatu. Gdy każda jednostka posiędzie największą wolność i samodzielność, jaka jest wogóle możliwa w stanie uspołecznionym, gdy zapanuje zwierzchnictwo ludu, gdy ogół ludu będzie się sam rządził ekonomicznie i politycznie, — wtedy dopiero koniecznym się stanie dać wszystkim członkom społeczności ludzi wolnych i równych jednakową możliwość wykształcenia,

która każdej jednostce pozwoli brać całkowity udział w życiu kulturalnym.

A więc wyzwolenie ekonomiczno-polityczne ludu musi poprzedzać wyzwolenie umysłowe? Biorąc ogólnie i zasadniczo — tak! Zdobyć władzę polityczną przez zaciętą i nieubłaganą walkę klasową pozostaje więc najważniejszym zadaniem proletariatu również ze względu na jego wyzwolenie od ucisku i poddaństwa duchowego.

A zatem praca oświatowa jest dla dzisiejszego walczącego proletariatu zbyt ciężkim i bezowocnym trudem? W żadnym razie; idzie tylko o to, jakie są cele i środki tej pracy.

Gdyby oświata robotnicza polegała tylko na jakim takim wypełnianiu zięjących luk w wykształceniu początkowym, aby jednostka mogła lepiej nieco ukryć swe braki umysłowe, niż jej pozwalają nędzne ochłapy wiedzy, dawane przez szkołę ludową, to rzeczywiście nie opłacałoby się tracić na to sił. Tego rodzaju praca oświatowa w najlepszym razie mogłaby przynieść pewną korzyść jednostce i jej stanowisku w teraźniejszości. Walce klasowej niewielką oddałoby to przysługę. Bardzo często takie bałamucenie oświatowe, najgoręcej uprawiane przez burżuazyjnych profesorów i doktorów, staje się zaporą dla walki politycznej, bo niejedyn robotnik dostaje zawrotu głowy od tej odrobiny wyczytanej lub wysłuchanej przypadkowej wiedzy i zaczyna kręcić nosem na mało zajmującą niekiedy i niezbyt wesołą, lecz mimo to srodze potrzebną poziomą orkę powszedniej pracy politycznej.

Dlatego prawdziwa i pożyteczna oświata robotnicza powinna wytknąć sobie inne cele. Powinna ona oddać się wprost na usługi walki klasowej, wspierać ją i pogłębiać, podnosić siłę rewolucyjną walczącego proletariatu: takie są jej zadania.

Zdolny do kształcenia się robotnik otrzymuje przytym wcale niemało. W walce klasowej idzie nie o zdobycie powierzchownych korzyści doraźnych, lecz o najwyższe cele ludzkości. Światopogląd proletariatu otrzymuje wyraz w jego walce o wyzwolenie i właśnie o jego przeprowadzenie toczy się bój. Kto więc chce być dobrym bojownikiem, musi żyć się z proletariackim poglądem na świat; nawet prosty szeregowiec na jakiejkolwiek placówce, na której go stawia walka klasowa, będzie mógł tym lepiej i sumienniej spełnić swój obowiązek, im gruntowniej i pewniej zrozumie teorię socjalistyczną.

Atoli teoria ta tkwi głęboko korzeniami w wynikach wiedzy; dla zdobycia jej trzeba pilnej, niezmordowanej pracy. Wymaga ona w szczególności poznania całokształtu rozwoju społecznego ludzkości; z tej zaś wiedzy wyrasta zrozumienie współczesnej epoki gospodarczej, kapitalizmu wraz z jego prawami rozwojowymi, wykrytymi przez Marxa. Obok ekonomii politycznej do zrozumienia ruchu socjalistycznego prowadzi i historia; w zakresie zaś ogólnej historii szczególnie dzieje teorii społecznych i socjalizmu. Aby pojąć rozwój historyczny w duchu światopoglądu socjalistycznego, trzeba obznajmić się z materialistycznym pojmowaniem dziejów, tą niezrównaną doktryną, dzięki której wszystkie procesy rozwojowe i zdarzenia dziejów ludzkości otwierają się dopiero w swych prawdziwych przy-

czynach. W drugim rzędzie można udać się i do innych nauk dla wyświetlenia sobie teorii socjalistycznej. Tak np. nauki przyrodnicze mogą dać początkującemu właściwsze pojęcie o naturalnym rozwoju i jego prawach, niż to czyni nauczanie szkolne, trzymane umyślnie w duchu zacofanym; to zaś znowu ułatwia zrozumienie praw rozwoju społecznego.

Im bardziej robotnik zgłębiać będzie te dziedziny, tym dojrzalsza stawać się będzie jego znajomość teorii socjalistycznej, z tym większą pewnością będzie się umiał orjentować w tysiącnych przypadkach praktyki walki klasowej. Pod względem ilości wiedzy robotnik wprawdzie nigdy nie dorówna uczonemu profesorowi. Ale też ilość nie nie znaczy; idzie głównie o to, aby nabyta wiedza stawała w jednostce harmonijny, zwarty światopogląd i zdolność do działania w każdej chwili na rzecz tego światopoglądu. Pod tym względem atoli najprostszy klasowo uświadomiony robotnik o wiele przewyższa burżuazyjnego uczonego, choćby najsprytniejszego. Najnowszy przykład, świadczący o prawdzie tego twierdzenia, daje zachowanie się robotników i profesorów uniwersytetu w Halli przy dopiero co ukończonych wyborach do parlamentu ¹⁾.

* * *

Ten rodzaj oświaty robotniczej, z gruntu odmienny od t. zw. „oświaty ludowej“, uprawianej przez burżuazję, oddawna już z zapalem jest prowadzony przez walczącą klasę robotniczą.

Nawet Marx, aczkolwiek wcale nie był mówcą, nie odmówił wystąpienia wobec robotników (w Brukseli) i wygłoszenia dla nich dłuższej serji wykładów z ekonomji politycznej. Działalność agitacyjna Lassalla jest znana. Nikt inny jak on oderwał robotników niemieckich od postępowania za orszakiem liberalnych przyjaciół proletariatu i filistrów oświaty i skłonił tych robotników do zdania się na własne siły. „Sojusz nauki i robotników, tych dwu przeciwnych biegunów społeczeństwa, które gdy się obejmą, zgniotą w swych żelaznych ramionach wszystkie przeszkody, tamujące kulturę“, ten sojusz Lassalle uznawał za cel, któremu postanowił poświęcić całe swe życie, póki tchu w piersiach. A gdy usta jego nie mogły już oświe-

¹⁾ Podczas odbytych ostatnio wyborów uzupełniających w Halli, rektor miejscowego uniwersytetu powołał studenterję w ostantacyjnym ogłoszeniu do pracy pomocniczej przy wyborach — na korzyść „partji patrijotycznych“, tj. burżuazyjnych, przeciw Socjaldemokracji. Studenci pomagali więc partjom burżuazyjnym przy rozpowszechnianiu odezw wyborczych, rozdawaniu kartek przed lokalami wyborczymi, wleczeniu wyborców do urny, jak to już zresztą zachodziło przy wyborach w r. 1907, — z wyraźnym pogwałceniem głoszonej w Niemczech zasady „neutralności politycznej“ nauki uniwersyteckiej, w imię której to zasady studenci - socjaldemokraci narażeni są na prześladowania i muszą starannie ukrywać swe przekonania polityczne. Pomimo tego sukcesu ze strony „bezsronnej nauki“ proletarijat odniósł świetne zwycięstwo i kandydat Socjaldemokracji Kunert pobił na głowę cały złączony obóz reakcji burżuazyjnej.

cać i zapalać robotników niemieckich, robił to jeszcze swojemi pismami w ciągu całych dziesięcioleci. Właśnie przemówienia i pisma Lassalla, w których siła analizy naukowej łączy się z porywającym patosem płomiennego bojownika, były dla robotników niemieckich najważniejszą literaturą propagandystyczną socjalizmu w latach siedemdziesiątych i w ciągu całego okresu ustawy przeciw socjalistom. Wówczas i później przybyła obok prac specjalnych pewna ilość dobrych książek wielkich i małych, obszernych i podstawowych. Z wszystkich tych dzieł niemiecka klasa robotnicza, a wraz z nią klasa robotnicza wszystkich innych narodów kulturalnych, wyprowadziła potężny wciąż wzbierający potok wiedzy, na którym niezliczone okręty żeglują z przyjaznym wiatrem ku morzu przyszłości. Kierując się niechwiejnie dalekowidzącą teorią socjalistyczną, międzynarodowa socjaldemokracja w ciągu paru dziesięcioleci stała się największym ruchem kulturalnym, jaki kiedykolwiek widziała historia.

Ale szybki wzrost ruchu socjalistycznego kryje w sobie pewne niebezpieczeństwo, przed którym po raz pierwszy ostrzegł Kautsky w r. 1894 „Największą trudnością dla naszej partii, — pisał wtedy w *Neue Zeit* w artykule z powodu rozpraw agrarnych, — jest dzisiaj nie zbytnia powolność, lecz zbytnia szybkość jej wzrostu. Od r. 1890 (upadku ustawy przeciw socjalistom. H. S.) napłynęły do nas tak masowo nowe żywioły, że dawni towarzysze zgola nie wystarczają do uświadomienia ich i wykształcenia, zwłaszcza że i zadania polityczne olbrzymio wzrosły i pochłaniają wyćwiczone siły. Brak nam nie początkujących, lecz dobrze wyrobionych towarzyszy partyjnych. Liczba ich staje się względnie coraz mniejszą. Zapobieżenie temu brakowi jest dzisiaj jednym z najważniejszych, a może wprost najważniejszym z naszych najbliższych zadań. Do jego rozwiązania nie przyczyni się przyciąganie nowych żywiołów, które o ostatecznych naszych celach nic nie chcą słyszeć, ani też polityka homeopatycznych dawek“.

Napomnienie to Kautsky wypowiedział już w roku 1894; ale wówczas przebrzmiało ono bez żadnego odgłosu. Zamiast tego rozpoczęła się wkrótce krecia robota rewizjonistów, starająca się właśnie przyciągnąć żywioły, u których ostateczne wielkie cele socjaldemokracji wywołują tylko uśmiech pobłażania. Przez dziesięć lat niemal trwały spory teoretyczne, którym położył kres drezdeński zjazd partyjny swą niedwuznaczną rezolucją taktyczną. Bądź-co-bądź debaty te, jakkolwiek bardzo niebudujące w pewnych szczegółach, miały swoją dobrą stronę. Zbudziły one masy z obojętności dla teorii socjalistycznej, wszczepiły znowu w ich umysły świadomość, jak niezbędne jest zrozumienie zasad teoretycznych socjaldemokracji nawet dla prostych robotników, o ile ci nie chcą, aby przy rozstrzyganiu poważnych zagadnień spornych teorii traktowano ich jako wielkość podrzędną i pozbawioną wagi. W ten sposób zjazd drezdeński stał się nie tylko ostatnim rozdziałem pewnych swarów teoretycznych, lecz zarazem i punktem wyjścia nowego wielkiego i płodnego ruchu, zmierzającego do pogłębienia i ugruntowania zapatrywań teoretycznych niemieckiej klasy robotniczej.

Z początku nowej tej działalności przeszkadzało olbrzymie wydarzenie współczesne, które płomiennym językiem głosić zaczęło robotnikom niemieckim nieodzowną potrzebę poznania historycznego: rewolucja rosyjska zwróciła na siebie oczy międzynarodowego proletariatu, dowiodła nanowo słuszności marksistowskiego pojmowania dziejów, zbudziła nowe i żywe zainteresowanie dla wielkich przyczyn i powiązań rozwoju historycznego.

Na jesieni roku 1906 Socjaldemokracja niemiecka z właściwą sobie gruntownością zabrała się na zjeździe w Mannheimie do dzieła, aby wytknąć cele i wskazać drogi nowozbudzonemu zapałowi klasy robotniczej do kształcenia się. Zanim jednak mogła przystąpić do wykonania nowych planów, stanęła jej znowu na drodze przeszkoda: niespodziane rozwiązanie parlamentu i nowe wybory w styczniu 1907 r.

Niepomyślny wynik tych wyborów jest dość znany i nie wymaga tu żadnego dłuższego rozwodzenia się. Atoli właśnie ten wynik musiał dać potężnego bodźca dopiero co rozpoczętej pracy oświatowej; wykazał bowiem, jak mało liczyć można na wszystkie żywioły, które tylko w czasach wyborów myślą o polityce. Należało wyćwiczyć wielką armję obojętnych i niedbałych; socjalistów uczuciowych trzeba było przeobrazić w jasno myślących, wyrobionych towarzyszy partyjnych, jak tego żądał już Kautsky przed dwunastu laty, uznając to za najważniejsze zadanie partji.

Od tego czasu nowoorganizowana praca oświatowa, jak wielka, zapładniająca fala, zlewa się na proletariąt niemiecki a przezeń na proletariąt innych krajów, pobudzając wszędzie do nowej pracy, do wyężonej nauki, do nowych środków uświadamiania.

* * *

Socjaldemokracja niemiecka podjęła pracę oświatową z dwu różnych punktów wyjścia. Zastosowała ona jednocześnie metodę intensywną i ekstensywną. Wydaje ona stosunkowo wielkie fundusze na instytucję pozornie niezbyt obszerną: na szkołę partyjną, na szerokie zaś masy niemieckiej klasy robotniczej wpływa zapomocą licznych wydziałów oświatowych z centralnym wydziałem oświatowym na czele.

Szkoła partyjna jest czymś zupełnie nowym w polityce; żadna inna partja nie miała i nie ma dotychczas podobnej instytucji.

Corocznie z miljonowej armji Socjaldemokracji niemieckiej wybiera się dwudziestu kilku lub trzydziestu inteligientnych i uświadomionych działaczy i sprowadza ich się na półroczny kurs do Berlina. Tutaj otrzymują oni systematyczne wykształcenie w gałęziach wiedzy, najpotrzebniejszych dla bojownika socjalistycznego, zwłaszcza w ekonomji politycznej, socjologii i historii. Oprócz tego udziela się im najpotrzebniejszych wiadomości z prawoznawstwa, nauk przyrodniczych i polityki komunalnej. Do wyćwiczenia formalnego służą lekcje piśmiennego i ustnego wypowiedzania myśli, krasomówstwa i techniki dziennikarskiej. W żadnym dziale niema jałowego wkuwania wiedzy, nigdy nie wymaga się ślepej wiary w słowa mistrzów; wszędzie zachęca się do samodzielnego myślenia i pilnego czytania;

większość nauczycieli stosuje rozwijające metody nauczania, które uczniowie — począłsi osiwiiali ludzie — bardzo chętnie i z sympatią przyjmują.

Uczestnikom szkoły półrocze upływa z nadzwyczajną szybkością; w końcu kursu wielu z nich pragnie najgoręcej, aby praca dopiero się rozpoczynała. Wracają znowu do miejsc rodzinnych — część na dawne stanowiska partyjne lub związkowe, część do dawnej pracy z kielnią, pilnikiem lub heblem w ręku, — wszyscy jednak pokrzepieni półroczną metodyczną pracą umysłową, wewnątrznie umocnieni głębszym zajmowaniem się teorią socjalistyczną, pełni zapału do wypróbowania w praktycznej walce nowo zdobytej wiedzy.

Skutki szkoły partyjnej nie mogą się naturalnie ujawnić natychmiastowo w sposób, dający się ująć w liczby; musi przejść parę lat, zanim się pokaże — i to tylko pośrednio, — że cicha, ale intensywna praca szkoły partyjnej ma nieoszacowaną wartość dla wewnętrznego skonsolidowania Socjaldemokracji niemieckiej.

Zapewne, szkoła partyjna w dzisiejszej swej formie nie jest doskonała. Zdają sobie z tego sprawę również instancje kierujące i odpowiedzialne. Z roku na rok instytucja doskonali się i rozwija. Lecz w szeregach partji wszyscy najzupełniej się zgadzają, że nowa instytucja już nie upadnie. Najgorętszymi jej orędownikami i przyjaciółmi są na szczęście ci, którzy ją i jej pożytek najlepiej znają: dawni uczniowie szkoły partyjnej.

Wydział oświatowy został założony przez zjazd mannheimski. Składa się on z kolegjum 7 towarzyszy (pomiędzy niemi jedna towarzyszka. Klara Zetkin), którzy kilka razy do roku zjeżdżają się na naradę. Właściwa praca znajduje się w rękach sekretarza (Geschäftsführer).

Wydział oświatowy ma za zadanie dawać impuls do pracy oświatowej w całym kraju, unikając jednak szablonu i tłumienia samodzielnej inicjatywy poszczególnych miejscowości. Część przeto jego pracy idzie na użytek tych tylko miejscowości i okolic, którym zbywa na własnych środkach i siłach. Druga natomiast część ma jednakowe znaczenie dla wszystkich miejscowości.

Do zadań pierwszego rodzaju należy organizowanie ruchomych kursów naukowych. Z chwilą powstania ruchu oświatowego robotnicy niemieccy zrozumieli natychmiast, że dotychczasowy najważniejszy środek propagandy, pojedynczy odczyt, nie wystarcza do dania słuchaczom gruntowniejszych wiadomości. Za pożyteczniejszy uznano cykl kilku odczytów z jednej dziedziny, za najpożyteczniejszy jednak — kurs naukowy, który od cyklu odczytów różni się tym, że zazwyczaj obejmuje więcej wieczorów a mniej słuchaczy (30—50) i prowadzony jest w formie pogadanek (przez pytania i odpowiedzi). Atoli w większości miejsc brakło wykwalifikowanych sił, któreby miały czas i zdolności do podjęcia się takich kursów i cyklów. Aby wypełnić tę lukę, wydział oświatowy zobowiązał szereg towarzyszy, wykształconych naukowo i posiadających dar pedagogiczny, aby przez dziewięć miesięcy do roku stale podróżowali i urządzali kursa w najrozmaitszych miejscowościach Niemiec,

od Królewca do Sztutgartu i od Wrocławia do Düsseldorfu. W ruchomych tych kursach brało dotychczas udział około 15 000 robotników i robotnic niemieckich. Większość kursów traktuje o historii gospodarstwa narodowego, zasadniczych pojęciach ekonomji politycznej, dziejach socjalizmu, programie erfuckim, materjalizmie dziejowym, a ostatnio i o tematach przyrodniczych. Koszta kursów w pierwszych dwu latach ponosić musiały zupełnie poszczególne miejscowości; ostatnio zarząd partyjny uznał i zarazem spotęgował wielkie znaczenie kursów, przejmując na siebie większą część wydatków na miejscowości, mniej zasobne finansowo.

Obok kursów ruchomych, które wydział oświatowy uznaje za najważniejsze swe zadanie, stara się jeszcze i innemi sposobami przyjąć z pomocą dążności robotników do oświaty.

Tak np. Wydział corocznie wydaje t. zw. program zimowy, zawierający jak najbardziej szczegółowe rady i wskazówki co do pracy oświatowej w poszczególnych miejscowościach.

Dalej wydział podjął się wielkiej i mozolnej pracy przejrzenia wydawnictw dla młodzieży. Niemieccy nauczyciele ludowi od wielu już lat dzielnie pracowali na tym polu, wyszukując rzeczywiście dobre i nieposzlakowane pod względem estetycznym książki wśród masy bezwartościowego śmiecia, zalewającego specyficzną literaturę dla młodzieży. Ale światopogląd nauczycieli niemieckich jednak różni się zasadniczo od światopoglądu proletariatu, tak że w spisie, przez nich sporządzonym, figuruje wiele książek, które robotnik niechętnie dałby swemu dziecku do rąk.

Dlatego wydział oświatowy w ciągu paru lat przejrzał do tysiąca rozmaitych książek, ściślej mówiąc, dał do przejrzenia znającym się na rzeczy towarzyszom i towarzyszkom, a to w ten sposób, że każdą książkę czytały trzy osoby. W roku obecnym wykaz książek dla dzieci zawiera już 355 tytułów.

Aby przyjąć z pomocą robotnikom przy układaniu bibliotek, wydział oświatowy wydał katalogi wzorowe, w których zestawił najważniejsze książki dla dziesięciu różnej wielkości bibliotek, poczynając od 10-markowej do 500-markowej.

Wydział oświatowy popiera także w rozmaity sposób dążenia robotników do wykształcenia estetycznego, wychodząc przytym z założenia, że podniesienie potrzeb robotników i w tej dziedzinie przyczyni się do wzmożenia ich dążności polityczno-rewolucyjnych.

Wydział udziela rad i wskazówek wszystkim organizacjom robotniczym, które się do niego zwracają, przedewszystkiem jednak utrzymuje stałe i ścisłe stosunki z miejscowemi wydziałami oświatowemi. Są to komisje, złożone w większości wypadków z delegatów od miejscowych organizacji związkowych i partyjnych, a zajmujące się na podstawie celowego podziału pracy pełnieniem funkcji oświatowych dla ogółu zorganizowanych robotników.

* * *

Wszędzie kipi działalność i dążenia oświatowe! Ale dzieje się to nie w celu przyjemnego zabijania wolnego czasu, lecz w świa-

domym i dojrzałym zamiarze przyniesienia przez to pożytku walce proletariatu o wyzwolenie. Socjaldemokracja niemiecka, a wraz z nią partje robotnicze innych krajów, w szczególności zaś Socjaldemokracja austriacka, starają się przeprowadzić w czynie tylekrotnie cytowane, ale niezawsze dobrze rozumiane słowa Liebknechta: Wiedza to potęga! Liebknecht też rozumiał przez wiedzę nie bezplanowy bigos i pstrokatą przeplatankę, lecz chciał planowego kształcenia robotników gwoili potrzebom politycznej walki o wyzwolenie, do użytku „agitacji politycznej i społecznej“.

I tylko taka wiedza wlewa w proletariąt nowe siły, uczy go rozumieć i miłować swe ideały i znajdować w walce o nie najwyższe i najwznioślejsze zadowolenie.

Z pamiętników więźnia.

(Ciąg dalszy).

6 czerwca. Dziś widzenie miałem i pozdrowienia. Otrzymałem prześliczne kwiaty, owoce, czekoladę. Widziałem Stasię i Wandzię. Stałem na widzeniu tym, jak nieprzytomny, nie mogłem myśli ani siebie zebrać, jakby urwało się tam coś, jakbym przestał być czymś jednym; fizycznie to czułem i nie rozumiałem dobrze, co do mnie mówią i co ja odpowiadam, słyszałem tylko: „jak ty dobrze wyglądasz“ i jak ja mówiłem: „strasznie tu“, a potem prosiłem o książki jakieś, o bieliznę — niepotrzebną mi. A potem wróciłem do celi z kwiatami — i tak dziwnie się czułem: żadnego bólu, żadnej skargi, nudziło mnie tylko, jak przed wymiotami. A kwiaty śliczne — coś mi mówiły — czułem, lecz nie rozumiałem ich słów. Potym z sądu ktoś wrócił i słychać było z korytarza głos jego twardy i równy: „stryk“ i ochryply, zły głos żandarma: „Niewolno mówić“. Zrana, gdy byłem na spacerze, żołnierze wynosili z cel śmiertelnych całe fury słomy; widocznie tylu stracono, że nie miano dla nich sienników i łóżek, a teraz miejsce przygotowują dla 8-miu Radomiaków, skazanych wczoraj. Dziś Hanka cicha i smutna. Prosiła „dobrego“ wachmistrza, by wziął dla niej ode mnie kwiaty — odmówił. To dziwne uczucie, które opanowało mnie po widzeniu, — teraz już przeszło. Hanka mi je rozproszyła. Na górze gdzieś kwili dziecko, tu urodzone niedawno. Do Hanki towarzysze jej z korytarza, oczekujący sądu i stryka, posyłają gorące wyznania miłosne — a ona się gniewa i mówi, że pokłóciła się z niemi o to, że nie zna ich tak blisko, by mogli posyłać takie wyznania.

7 czerwca. Dziś u Hanki był adwokat. Sprawa będzie w przyszły czwartek. Mówił jej, że stryk pewny. Teraz niecierpliwa, czeka tego dnia i nie może miejsca w celi znaleźć, zabić czymkolwiek czas; dziś nie śpiewała wcale, porywa ją „pasja szewska“, że tak długo — 4 dni — czekać trzeba. Udało mi się kwiaty jej

posłać, mówiła, że pójdzie na szubienicę z niemi. Wieczorem zandarmi w ogrodzie hałasowali i grali na harmonji. „Jaka ja naiwna i głupia jestem. to ich rozrywka jedyna, ale śmiechy te i muzyka strasznie mię drażnią i zdaje mi się, że to naumyślnie chcą nam dokuczyć” — pukała. Radomiak skazany — jeden z 8-iu — krzyknął nam dziś: Zamienili na katorgę.

12 czerwca. Wszystkim Radomiakom zamienili na katorgę. Mówiono mi też, że Hance napewno stryk zamienia. Od paru dni dano jej towarzyszkę. Śmiech nieustanny i śpiewy teraz z jej celi prawie przez cały dzień rozlegają się po korytarzu. Gniewa się, że prawie wcale nie pukam. A dla mnie zaczyna ona być jakby obcą. I wiem, że gdybym ją poznał bardziej — gdyby nie była „abstrakcją” dla mnie — powiałby chłód na nią ode mnie. Zresztą przez ten tydzień cały, pomimo widzenia, książek — czuję się jakoś dziwnie. Jakbym czuł powiew blizkiej śmierci, jakbym już był u kresu i wszystko już pozostawił poza sobą — wewnątrz pustka, która mnie przeraża, a obojętnieć każe i żal wzbudza, że pozostały jeszcze niepozrywane nici. Czuć się wolnym, zupełnie wolnym, przestać istnieć...

28 czerwca. Nie pisałem dawno. Hanke ode mnie zabrano, jest teraz naprzeciwnko mnie. 18-go, w czwartek, miała sprawę o Skałona, była pewna przez dwa dni, że powieszą. Adwokat obiecał, w razie gdyby zmieniono, przyjść i nie przyszedł. Zamieniono na wieczną katorgę. Teraz był u niej przed dwoma dniami i mówił, że Skalón zmienił tylko dlatego, że mu wstyd było za siebie potwierdzić, lecz przy innej sprawie — zatwierdzi. Jutro, zdaje się, ma sprawę, gdzie stryk pewny — o rzucenie bomby w Markach, przyczem zabito trzech strażników. Prócz tego jeszcze 6 spraw. Twardą ma duszę — przy konfrontacji ze Skalónem podobno mu w oczy plunęła, a gdy jej oznajmiono, że wyrok zmieniony, nie zgodziła się na zmianę i była przez drugie dwa dni pewna, że ją stracą. Teraz już z inną towarzyszką siedzi, tamtą wysłano już stąd — ma wieczną katorgę (za monopol — 9 rb. i 2 kop. zabrali). Obok mnie od dwóch dni siedzi Kielczanin. W czwartek miał sprawę — dostał stryk, zamieniono na 15 lat, — za 2 tygodnie będzie miał drugą sprawę o zabójstwo 2 strażników. Przed nim kilka dni siedział Lublinianin, był pewny, że wyślą go za granicę: niedawno przed kilku dniami zakomunikowano mu, że poznał go prowok Edmund Tarantowicz i że jest oskarżony o zabójstwo pocztyljona i 5 żołnierzy. Ma stryk pewny. Prowok ten wydał podobno całą organizację Frakcji i jest tak zajęty teraz poznawaniem i składaniem zeznań, że sędzia śledczy musi kolei czekać na niego. Radomiacy przez ten czas mieli jeszcze 2 sprawy, jeszcze dwa razy wyrok śmierci i dwa razy zmieniono go na katorgę.

2 lipca. 29 czerwca zabrano od nas Hanke. Widuję już ją tylko ukradkiem przez lufcik, gdy spaceruje. Sprawę miała 30-go. Zdaje się, stryczek dostała, tak mi pokazywała ruchem ręki po

szyi. Zabrano ją stąd, a kilku wpakowano na 3 dni do karceru ciemnego za podanie prokuratorowi „zajawlenia“ w ostrym tonie, że tu żandarmi źle obchodzą się z kobietami oraz żądania przewiezienia ich do kobiecego więzienia. Jednych wsadzono do karceru, innych do innych cel, by nie mogli nadal się komunikować. Obok mnie już niema nikogo. Kielczanin siedzi teraz z kimś innym w innej celi. Ma on 17 spraw (21 lat) — gdy mu przychodzą odczytywać akty oskarżenia, już ich nie słucha, powiada, że już naprzykrzyło się słuchać, że i bez tego może pójść na łono Abrahama. Żałuje tych 20 lat, których mu nie dadzą już przeżyć, zapytując: ileżbym wtedy miał spraw, mając lat 40. Znowu jest bardzo wielu w kajdanach — na innych korytarzach; słyszę i widzę ich tylko, gdy spacerują. Kilku to dzieci — mali, bez zarostu, blade, wyglądają na lat 15—16. Jeden z nich nie może chodzić w kajdanach, widocznie nogi ma pokaleczone — ledwo się rusza. Przez cały krótki czas spaceru siedzi na ławce. Inny znowu nie podtrzymuje łańcucha pasem i tak łańcuch za nim się wleczce. Inni za to przeciwnie: noszą te kajdany z dumą, śmiało patrzą i wyprostowani chodzą, pobrzękując. — W tych dniach miałem małą rozrywkę: byłem w „ubornej“, żandarm zapomniał i puścił Radomiaka. Jakież było nasze zdziwienie, gdy tam spotkaliśmy się! Miał już trzy wyroki śmierci, za każdym razem zamieniano mu na 20 lat katorgi, oczekuje jeszcze 2 wyroków po 15 lat katorgi za udział w podkopie pod więzienie i za należenie do P. P. S. lewicy. Dostał te wyroki wszystkie, pomimo iż nie brał żadnego udziału w zarzucanym mu zabójstwie rotmistrza żandarmów i innych — w tym czasie wycofał się już z roboty. Drugi, z którym siedzi, a który też wyrok stryczka otrzymał, jest to prawowity lewicowiec i był przeciwny zabójstwom. Żandarm zauważył, lecz nie rozpędził nas, tylko uśmiechał się, gdy wracałem już do celi. Wszystkim nam na korytarzu smutno teraz bez Hanki, bez jej śpiewu, bez jej figlów z fijołami. Daje jednak nam znać o sobie, bo jej śpiew dolatuje do nas, choć już stłumiony, daleki, ledwo dosłyszalny.

3 lipca. Dziś po obiedzie otworzono mi całe okno, będę mógł teraz otwierać codziennie od godziny 4—5, gdy spacer już się kończy przed 8 rano. Teraz widzę już zielen, wielki kawał nieba, wciąż świeże powietrze. Stałem długo przy oknie o kraty oparty, świeże powietrze odurzyło mnie i smutno mi. Wspomnienia, tęsknota, i czuję niewolę — tu w Warszawie samej mnie więżą, tu ich cytańdela — i panują z niej. Jakiś Kałmuk żołnierz chodzi z karabinem, pilnuje i przygląda mi się bacznie. Niedaleko gdzieś lokomotywa gwiżdże, pociąg pędzi — ludzie wolni jadą — wiele ich, wiele, nas tutaj garść tylko. I otucha wraca, chociaż smutno mi samemu teraz tutaj w celi, w tym domu.

6 lipca. Dziś Hankę zabrano już z X pawilonu. Przechodząc koło mojej celi, krzyknęła: „Do widzenia, już mnie ze wszystkim zabierają stąd“. Żandarm krzyknął: „małczy, razgawarywał nie-

lzia" — i już przeszli na inny korytarz, dalej. Na mój korytarz przybyło 3-ch: anarchista Waterlos, ma 15 lat katorgi — w kajdanach: ma jeszcze sprawę; cudzoziemiec widocznie, z wymowy i nazwiska sądząc; był 3 dni w karcerze za skargę do prokuratora. Z nim siedzi żydek z Ostrowca za rzucenie bomby do fabryki podczas aresztów. Obok mnie — niewiasta Sulima, nie wiem, co za jedna, bo od dziś siedzi i puka bardzo źle. Prócz tych: 2 Radomiaków, oficer (Bielokopytow) z Zambrowa gub. Łomż., młodziutki jeszcze i różowy jak panienka — artylerzysta, za to, że nie doniósł na tow. swego, który jakoby należał do Wszechr. Zw. Oficerów; siedzi od 1 stycznia 1908 r. Z nim siedzi niejaki Klim od 1 listopada 1907 r., oskarżony o bojówkę Frakcji. (Sypie go niejaki Sztubak). Dalej 2 robotników, o których nic nie wiem, wreszcie zdrajca Wolgemut, który posłał na stryk podobno już do 30 osób, a z nim jakiś żydek z Białegostoku — który zapewne też jest zdrajcą, bo go kilkakrotnie uprzedzano, kim jest Wolgemut, a jednak siedzi z nim wciąż razem.

7 lipca. Dziś okropny dzień. Zrana ktoś stukał gwałtownie w bocznym korytarzu i krzyczał na żandarma, lecz to krótko trwało. Zaraz potem Waterlos począł pukać, żądając naczelnika. Obiecywano mu, że zaraz przyjdzie, i nie przychodził przez dzień cały. Stukał z przerwami cały dzień — a wreszcie o g. 9-ej wyszedł na korytarz i powiedział, że tu będzie czekał. Zbiegło się moc żandarmów i żołnierzy — zaczęli prosić go, grozić, by wszedł do celi. Odpowiadał, że nie pójdzie, że już cały dzień żąda naczelnika i że go zwodzą. Wreszcie schwycono go i wepchnięto do celi — a on krzyczał „towarzyszczi!“ Z cel zaczęto walić w drzwi. Potym Waterlos z celi zaczął stukać okropnie rozwścieczony. Dopiero teraz w parę minut przyszedł naczelnik. Rozmawiali cicho po niemiecku. Słyszałem tylko, że żądał, by zabrano od niego jego towarzysza (przed karcerem siedział z doktorem Sachsem, który też był w karcerze, a teraz sam siedzi) i by ukarano żołdaków za gwałt nad nim uczyniony. Zaraz potem przeniesiono go do innej celi. Podczas tej awantury żołnierze biegali koło okien i straszili, że zaraz zabiją go, lecz potem pytali sami, co to było i wypowiadali się życzliwie. Potym słyszałem, jak któryś żandarm podbechtywał ich przeciwko nam, a oni słuchali i milczeli. Hanka jest tu jeszcze, widziałem ją na spacerze. Sąsiadki mojej ojciec podobno został powieszony, matka w więzieniu umarła a brat na wysyłce. Żydek, z którym W. siedzieć nie chciał, wczoraj miał sąd i dostał 3 lata więzienia, a drugi 8 lat katorgi, chociaż wcale nie był winny. Jeden z Radomiaków, Muszalski siedzi w karcerze za zażalenie: zabrano go, mówiąc, że idzie do kancelarii. Waterlos do karceru nie chciał dobrowolnie iść i położył się na łóżku; podobno tak z łóżkiem wyniesiono go do karceru.

9 lipca. Zabrano Kl., Radomiaków (Muszalski i Garbowski) i żydkaz Ostrowca. Jedna cela pusta; przeniesiono tu 2-ch nowych:

Boruckiego i Majewskiego, Radomiaka. Waterlos powtórnie napisał po odsiedzeniu karceru zażalenie do prokuratora i prokurator znowu za obrazę kazał go na 7 dni wpakować do karceru. Jeszcze nie zabrano go — widocznie karcery są zajęte. Nademną siedzi niewiasta. Dowiedziałem się już, że nazywa się Aniela Grycendler. Była już skazana na osiedlenie i puszczona za 2 tys. na wolność, potem znowu ją aresztowano. W Piotrkowie głodziła się 23 dni: są tam podobno straszne warunki dla kobiet.

23 lipca. Wczoraj 14-tu zakuto; jeden z nich, idąc do kuźni, z gorzkim śmiechem mówił do prowadzących: „ostatnie kroki wolne“. Dziś 5-ciu innych rozkuto, zdaje się z prowincji na sąd przywiezionych. Sąsiadka moja Sulima strasznie biedna, chociaż mówi, że dobrze się czuje i po całych dniach śpiewa. Powieszono jej ojca, matka w więzieniu umarła, jeden brat w siedleckim więzieniu, drugi w czwartym forcie w cytadeli, jeden tylko 14-letni niedawno został wypuszczony — on sam jeden teraz w domu. Z nią razem od 10 dni siedzi stróżka, oskarżona o współudział w podkopie pod więzienie radomskie. Po całych dniach się modli. Jutro będzie sprawa. Waterlos odsiedział w karcerze 7 dni, lecz jest już w innej celi — nie wiem gdzie. Na górze w Nr. 20 — głodzili się dni kilka o jedzenie; wczoraj przestali. Przedtem tu wszyscy otrzymywali dobre jedzenie (37 kop. na więźnia) lecz od września z. r. zmieniono — tylko dla politycznych zostawiono 37 kop. a dla kryminalnych zredukowano do 11 kop., lecz do kryminalnych zaliczają kogo chcą, tak np. Radomiaków (Muszański i Garbowski głodzili się 4 dni; trochę im polepszo strawę, lecz bardzo nieznacznie), b. żołnierza z Zambrowa Ruczkiną, który teraz na naszym korytarzu siedzi, a którego nie oskarżają nawet o zabójstwo polityczne, lecz o należenie do organizacji — i innych. Jedzenie marne, w niedostatecznej ilości — są wciąż głodni.

26 lipca. Dziś w niedzielę 2-ch zakuto, widocznie jutro wysyłają ich. W sprawie podkopu 5-ciu uniewinniono (jeden z nich na naszym korytarzu — Wierzbicki — dotychczas jest tu), reszcie dali po 3—4 lata więzienia lub rotę aresztanckie. Ruczkinowi zmieniono jedzenie na 37-kopiejkowe. Hanka siedzi teraz z Owczarkówną, którą oskarżała o zdradę. Widocznie kłamała i teraz nie wierzę, by i inne jej opowiadania nie były przesadzone. A jednak widocznie sama wierzyła w te swoje opowiadania. Siedzą teraz we trzy (trzecia Niewiadomska). W pierwsze dwa dni na spacerze Hanka była podniecona, wesoła, teraz chodzi smutna i znudzona. Dziś liczyłem spacerujących — było ich 60 tylko na naszym podwórku, a więc jest tu około 120 więźniów. Z pośród tych 60 — 10 kobiet, 4 oficerów artylerzystów (Biełokopytow, Krukowiecki, Zapolski i Pankow) i jeden konnicy — Kalinin. Nazwiska kobiet: H. Marczewska, Helena Niewiadomska, Zofja Owczarek, Konstancja Sulima, Franciszka Hawelka, Rudnicka, Pranchił z Ostrowca, An. Grycendler, Róża Kahan (s. d.), Smerdzyńska. W dwu celach sie-

dzą po 6, w jednej 5, w jednej 4, w 2-ch po 3. Na górze dawne gabinety badań przerabiają na cele. Podobno siedzą tu nie tylko pod śledztwem, lecz wielu też odbywa tu karę. Tych, którzy mają nie więcej niż 8 lat katorgi, nie wysyłają podobno na Syberję, bo tam wszystkie więzienia przepełnione, lecz rozsyłają po więzieniach Rosji Europejskiej i Królestwa.

29 lipca. Dziś we wszystkich celach zamknięto okna i gwoździami na zawsze mocno poprzybijano. Teraz znowu cela jak grób się zamknęła i nie widać ani nieba, ani drzew, ani jaskółek. Nawet świeże powietrze nam zabrano. Zamknięto podobno dlatego, że więźniowie korespondowali pomiędzy sobą przez okna, spuszczać listy na sznurku. Podobno przybył znowu nowy „zawiadowca“ (niedawno była już zmiana) i nie chciał przyjąć pawilonu z oknami otwartymi. Wczoraj pozwolono otwierać, dziś gwoździami pozabijano. U nas na korytarzu przez te kilka dni przybyło 4-ch nowych; współlokatorkę sąsiadki mojej zabrano do Radomia, a na jej miejsce przyprowadzono nową z Piotrkowa (Kalat). Dziś ciężko. Niejeden myśli o proteście, o walce i może wyniknie jeszcze awantura, chociaż już nic nie pomoże, okna będą pozabijane.

7 sierpnia. Na naszym korytarzu od kilku dni siedzi niejaki Kac. Aresztowano go w Berlinie 25 czerwca, nazajutrz po zebraniu, na którym był; trzymano go tam 2 tygodnie i tak pilnowano, że nikomu nie mógł dać znać o swym areszcie. Potym wywieziono go do Wierzbowa w kurjerskim pociągu i tam wydano rosyjskim władzom. Z Berlina aż do Kowna miał kajdany na rękach i nogach. Podobno minister spraw zagranicznych depeszował policji berlińskiej, by go odesłano do warszawskiej cytadeli do X Pawilonu. W Kownie był dzień tylko i stamtąd przywieziono go tu. Oskarżają o należenie do anarchistów. Prócz niego przybyło jeszcze 2-ch: bandyta Walewski i robotnik z Pabjanic (Stanisławski) oskarżony o należenie do fraków — jutro ma sąd.

16 sierpnia. Stanisławskiego podobno uniewinniono. Malewskiego sąd był w piątek — on i dwóch innych otrzymali stryk, a jeden 20 lat katorgi. Wczoraj przez cały dzień był jak w gorączce, mówił nam po sądzie, że jest niewinny; dyżurny żandarm mówił mu, że mu zamienił gien. gubernator na 15 lat katorgi, lecz przytym tak się uśmiechnął, że Mał. nie wierzył; sędzia mówił mu, że ma prawo w przeciągu 24 godzin podać kasację — a on nie wiedział, czy ma czekać na adwokata, czy co ma robić, czas upływał, do matki wysłał depezę, by przyjeżdżała starać się o zamianę. Dziś już spokojny. Zdaje się, złagodzono mu wyrok. Przed paru tygodniami był też sąd warszawskiej bojówki fraków — wszyscy zdziwieni są łagodnym wyrokiem: wielu (5-ciu) uniewinniono, jeden Montwiłł — 15 lat katorgi, kilku po 8 lat katorgi (Zipko, Jastrzębski, Piotrowski). Jednemu 2 lata 8 mies. katorgi zamieniono na 6 mies. więzienia, Mańkowskiemu osiedlenie podobno zamieniono

na jeden miesiąc więzienia, jak również i jednej niewieście. Wszyscy zdumieni, niektórzy już wyobrażają sobie, że okres represji minął.

Z powodu zamknięcia okien niektórzy (właściwie niektóre) projektowali wytluc wszystkie szyby, lecz ta myśl upadła zaraz. Inni proponowali głódówkę, żądając jednocześnie zrównania dla wszystkich jedzenia po 37 kop. porcja, lecz i ta myśl upadła — żaden prawie strejk głodowy nie doprowadził do zwycięstwa. Waterlos we wrześniu zeszłego roku głodził się 23 dni (15 i 8); dawano mu słowo honoru, że wszystko spełnią i nic nie spełniono; Kiłaczycki 2 razy się głodził, żądał zdjęcia kajdan; na 6 ty dzień głódówki zdjęto mu, lecz po tygodniu znowu zakuto. Strejki już nie robią na nich wrażenia.

Wiedzą zresztą doskonale, że taki strejk nie może długo potrwać i być powszechnym. Wytrwalsze tylko jednostki dłużej znoszą głód, lecz same za to pokutować muszą. Nowy zawiadowca podobno „dobry”. On to wymyślił sposób, by wilk był syt i owce całe: okna pozostały zamknięte, lecz podczas spaceru drzwi celi są otwarte na korytarz; jedzenie polepszył, pozwalając zamożniejszym więźniom nie brać całej porcji, a oddawać część tym, którzy otrzymują 11 kopiejkową strawę. Zapewne działał tu w dobrej myśli i wątpię, by w tym składzie władzy naszej, jak teraz, okradano nas przez to więcej lub nadużywano; lecz rezultatem tego z czasem może być, że wszystkim zmniejszą porcję i będą kraść więcej. Teraz nie szykanują nas i dobrze z nami postępują, należy im to przyznać. Ostatnio nie słyhać było nawet, jak przedtym, wymyślań tych nielicznych z pośród żandarmów, którzy nienawidzą nas i są zadowoleni, gdy mogą czymś dokuczyć. Inaczej niemożliwe by było tu siedzieć i byłoby niechybnie straszne awantury. Przecie ludzie stąd idą na rusztowanie lub na długie lata katorgi, a nie zapomnieli jeszcze swoich dni wolności i nie mogą pogodzić się jeszcze z myślą, że już na zawsze, czy na długie lata klamka dla nich zapadła.

To, co najbardziej tu przygniata, z czym nie mogą się więźniowie pogodzić — to tajemniczość tego domu, życia w nim — rygor, który ma na celu, aby każdy tylko wiedział o sobie i to nie wszystko, lecz jak najmniej. I więźniowie namiętnie walczą o zdarcie z tego domu zasłony tajemniczości: stąd bezustanne pisanie „grypsów”, wyszukiwanie najrozmaitszych sposobów, by „gryps” doszedł, kaszlanie w korytarzu, nucenie lub śpiewanie w celach, gwizdanie. Wytworzył się cały system sygnałów. Dla „grypsów” wynajdują miejsca wciąż nowe, gdy stare się zasypują. Niektórzy doszli do artystycznej wprawy i pomysłowości w sposobach porozumiewania się, oddali się temu całą duszą i tym tylko żyją. Tych przenoszą z celi do celi, starają się umitygować, lecz oni zawsze służą „dobrej sprawie” i nie może ostudzić ich zapału. Gdy inaczej nie można, ze spaceru w okna innych dają znaki, lub z „ubornej” spacerującemu. Żandarmi nie mogą sobie dać rady z niemi i wreszcie machają ręką, czekając, aż ich stąd zabiorą. Oni wiedzą o wszystkim, często tam, gdzie brak wiadomości, — fantazją uzupełniają całość. Stąd często wieści nieprawdziwe, z powietrza wzięte, lub z palca

przez kogoś wyssane. Lecz to nic nie szkodzi — wszystko puszcza się w ruch i bądź co bądź tajemniczość tego domu traci bardzo wiele na swej sile. Lecz jest i odwrotna strona: doszła do nas wieść, że ochrana przysłała tu 6-ciu szpiclów, że wśród uwięzionych są prowokatorzy. Zaczęto więc ich tropić, nieraz złapano rzeczywiście, nieraz rzucano podejrzenie na ludzi może niewinnych, bez dowodów. Niedawno, gdy spacerował oficer z niedawno przybyłym, ktoś krzyknął przez okno „ubornej“ — „to szpicel“. Hanka mówiła mi o Ow. i Sm. jako o zdeklarowanych zdrajczyniach — a potem sama w jednej celi była z Ow. i jakby nic, będąc na spacerze, bawiła się z nią i dokazywała. Zresztą widocznie znowu pokłóciły się, bo siedzą już osobno, dziś zaś Hanka była za coś przez całą noc w karcercie. Wytwarza się atmosfera nieufności, która psuje wspólne pożycie, i każdy znowu zasklepia się w sobie, jeżeli może. A szpiegów rzeczywiście jest tu sporo. Tu tak często zmieniają współtowarzyszy (mało kto pojedynczo siedzi, przeważnie we dwóch — są cele, gdzie po 3-ch i więcej siedzi razem), że widocznym się staje, w jakim celu to robią: by dać możliwość nieznanym szpiclom wybać jak najwięcej. Przed kilku dniami widziałem przez okno spacerującego prowokatora, znanego już napewno, z nowoprzybyłym z prowincji. Prowokator inteligent. Krzyknąłem przez okno: towarzyszu, ten drugi to łotr taki a taki. Na drugi dzień już widziałem ich osobno. Lecz jak można krzyknąć tak na rzeczywistego prowokatora, taksamo można i na urojonego, Stąd wieczne wzajemne podejrzenia i oskarżenia. Takich urojeń sam jestem najlepszym przykładem. Wiedziałem, będąc jeszcze na wolności, nazwisko jednej zdrajczyni i pewne szczegóły. Otóż dowiaduję się tu, że pewna niewiasta, która tu zachowuje się bardzo dzielnie, ma drugie także nazwisko; dowiaduję się przypadkowo, że zna blisko pewne osoby, które i tamta blisko znała, że pewne rysy jej charakteru podobne są do tamtej — i rodzi się pomimo woli mej podejrzenie, które tłumię z początku, lecz które wciąż wzrasta. Rzecz jasna, że nie wyjawilem nikomu tego domysłu, lecz staram się dowiedzieć napewno. Mogłem już dawno się dowiedzieć, lecz wstydzilem się sam swego podejrzenia.

Sąsiadka moja Sulima znowu od kilku dni sama siedzi; towarzyszkę jej Kalat zabrano do innej celi. Za parę dni będzie miała sąd. Radomiaka Wierzbickiego zabrano.

21 sierpnia. Dziś cały dzień Pawilon był pełen ruchu. Noszą sienniki, łóżka, przeprowadzają więźniów z celi do celi. Sulimę, „biedną sierotę“ jak ją nazwaliśmy — przeniesiono na inny korytarz, do Owczarkówny, chociaż nie chciało się jej od nas odchodzić. Z góry Zipkę (8 lat katorgi) zabrano dzisiaj do arsenału. Na nasz korytarz przeniesiono Mostowskiego (ma już wieczną katorgę) z Radomia i Krugera (z P. P. S. lewicy). Od szpicla Wolgemuta zabrano dwóch jego współlokatorów; zdaje się, że jego już nie ma. Na 3-im korytarzu odbywają karę twierdzy byli oficerowie Awietisjanc i Sałamiej za WRO (3 lata do 24 sierpnia 1909 r.), b. wojsk. inżynier

Wejdenbaum za obrazę cara (1 rok do 7 lipca 1909) i gimnazjalista A. Rudenko, któremu na prośbę matki zamieniono 4 lata (2 l. i m.?) katorgi na 1 r. twierdzy (do kwietnia 1909 r.). Mają codziennie gazety, odbierają im jednak zaraz po przeczytaniu, by nie mogli nam przysyłać. Niedawno ich (11. 7.) tu przeniesiono z odwachu wskutek denuncjacji siedzącego tam policmajstra Pabjanic, Jonina, który rozstrzelał wraz z dwoma strażnikami aresztowanego Gryzla — znany powszechnie łotr, jeden z bohaterów wypraw karnych na Łotwie. Denuncjacje tego łotra były tego rodzaju: odwach — centrum WRO., tu się drukują odezwy, stąd jest rozpowszechniana literatura i prowadzona agitacja wśród wojska i t. d. Wreszcie dopiął swego i przeniesiono ich tu. Odwach ten tuż obok X Pawilonu — 2-piętrowy gmach. Na dole cele dla żołnierzy podczas śledztwa w sprawach kryminalnych i przewinieniach czysto wojskowych. Na 1-szym piętrze siedzą oficerowie dyscyplinarnie ukarani i „dworjanie“, skazani na kilka dni aresztu. Cele ich nie są zamykane i okna bez krat. Na 2-gim siedzą skazani na twierdzę i oficerowie pod sądem, cele są zamykane, okna zakratowane — jednak czasami przez całe tygodnie cele otwarte, gdy porządni oficerowie dowodzą wartę. Mieli tam wszystkie gazety i bardzo łatwą komunikację ze światem. Siedział tam 1 r. i 4 m. oficer Szamanski, który odmówił w 1905 r. pójścia ze swoją rotą na poskramianie strejkujących robotników, siedział 2 mies. do sądu kozacki oficer Rubcew, który nie chciał wykonać wyroku sądu polowego rozstrzelania robotnika (sąd skazał go na wydalenie ze służby); siedział 2 mies. kornet żandarmerji za uwolnienie 10-ciu więźniów politycznych — i wielu innych. Obecnie siedzi między innemi kapitan 1-go stopnia z eskadry Niebogotowa, który dostał 10 lat twierdzy za oddanie Japończykom eskadry. Siedzi też podporucznik Deneko (z iwangrodzkiej artylerji fortecznej), który w kwietniu 1908 r. został skazany na 6 lat rot aresztanckich za odmowę dalszej służby (wyznawca Tołstoja). Wyrok zmieniony na pozbawienie praw oficera.

29 sierpnia. „Niegdyś znosiłem łatwiej więzienie, teraz już stary jestem i ciężko mi. Wtedy nie myślałem o przyszłości, lecz żyłem nią, bo byłem silny, teraz częściej myślę o niej — bo niema już dla niej podstaw i jest mi ciężko tutaj. Nie mogę przyzwyczaić się, że zamknięty jestem, że nie mam woli swojej, nie mogę się pogodzić z myślą, która coraz częściej przychodzi, — że jutro także jak dzisiaj, szare, monotonne, bez wszelkiej treści i sensu. I tęsknota przybiera rozmiary nostalgji, która sprawia fizyczny ból, wysysa krew i każe schnąć. I ciągnie mnie stąd w pola, na łąki — w świat pełen barw i dźwięków i blasków, gdzie las szumi, gdzie obłoki białe biegną poprzez niebo w kraje nieznane — w dal, gdzie powietrze świeże, ożywcze, słodkie jak balsam, gdzie kwiaty pachną, rzeki i strumienie szemrzą i morze wiecznie mówi o brzeg rozbija swoje fale. I nad tym wszystkim słońce jasne i promieniste lub ciche gwiazdy tajemnicze. I dzień i noc, — i świt i zmierzch czarodziejski urok tam mają i dają szczęście. Czekam na wyrok

śmierci; na długie lata katorgi zapewne mi zamienią. W płucach mi coś się zepsuło — 3 miesiące w szpitalu byłem, wróciłem stamtąd przed kilku dniami. Czuję, że niedługo już tu pobędę. Nie skarżę się i nie przeklinam losu mego, nawet spokojny jestem — chociaż, ach, jak bardzo chcę żyć i uciec stąd. Piszę to, bo nie chcę kłamać. I czyż nam wstydić się, że to życie kochałem i kocham, czyż mam kłamstwem pokrywać zgrozę i okropność tego, co zatruwa, brudzi, znikczemnia to życie. I gdybym wyszedł stąd, czyż mógłbym zmienić życie swe i nie wrócić tu?...“ Takiej mniej więcej treści otrzymałem dziś list od mego towarzysza, który przybył tu z lazaretu przed kilku dniami. Przez okno zobaczyłem go na spacerze i udało nam się porozumieć i nawiązać korespondencję. Trzymano go kilka miesięcy w kajdanach pod pozorem, jakoby uciekł z katorgi, co jest wierutnym kłamstwem. Rozchorował się — 3 miesiące przeleżał w lazarecie. Oskarżają go o współudział w zabójstwie szpiega. 25 sierpnia była sprawa 11-tu z Radomia, oskarżonych o należenie do P. P. S. i napady na monopole. 2 niewiasty uniewinniono, resztę (9) skazano na śmierć, w tej liczbie 2 zdrajców: Harewicza i Tarantowicza. Zamieniono wszystkim: zdrajcom — pierwszemu na 6 mies. więzienia (tak!) drugiemu na osiedlenie, reszcie na 10 do 20 lat katorgi. Ów Tarantowicz siedział przez krótki czas obok mnie; nazwał siebie Talewiczem. On to żałował, że tak młodo umrzeć musi, i zapewniał, że, mając 40 lat, miałby nie 17 spraw, jak obecnie, lecz daleko więcej. Spacerują tu też jeszcze dwaj inni szpicle: Sagmann (vel Zwierew, Orłów) w studenckim ubraniu i oprócz tych jeszcze Wolgemut.

31 sierpnia. Dziś była sprawa 37-iu S. D. z Warszawy; 12 otrzymało osiedlenie, 25 uniewinniono. 25 była sprawa 7-iu S. D. z Łodzi, podobno 3 dano po 4 lat katorgi, jednej osiedlenie i 3-ch uniewinniono. Podobno nie było żadnych dowodów; wystarczyły zeznania pułkownika żandarmerji.

6 września. Dzisiaj przekonałem się, że podejrzenia moje były słuszne niestety. To Hanka — była w Tworkach, została stamtąd wykradziona przez sd-ków z Pruszkowa, potem została aresztowana i wsypała tych, którzy ją uwolnili: sama z żandarmami jeździła i wskazywała mieszkania. Podawała tu wszystkim fałszywe nazwisko, swoje właściwe (Ostrowska) ukrywała starannie. Co musiało dziać się w jej duszy i dlaczego wydała? Kto ją wie: może bili, może naprawdę zwarzjowała. Teraz siedzi od kilku dni w korytarzu nade mną. Dziś dałem znać innym o niej — powinienem był to zrobić — chociaż innych nie sypała może, chociaż odepchnięcie jej może spowodować jeszcze złe następstwa. I tam na górze była ulubieńcem wszystkich prawie — z kobietami tylko nie żyła w zgodzie — lubiono ją za jej śpiew, śmiech, za jej dziecinne wybryki i skandale z żandarmami. Teraz zmieni się wszystko. Może nie uwierzą mi. Dotychczas popierana i podtrzymywana przez towarzyszy mogła zapomnieć o swojej zbrodni. Była wiecznie zajęta pisa-

niem i odbieraniem grypsów, awanturami, śpiewem, żyła jak w gorączce, może chcąc zagłuszyć głosy sumienia. — „A jednak, a jednak jestem taka, że lubią mnie i szanują“ i zbrodnia jej odsuwała się gdzieś daleko. — „Może to sen był tylko, może to nie ja wcale“. Teraz prawda wróci w całej swej grozie — zbawienia już nie będzie. Albo do reszty się spodlić na przekór im wszystkim, „chcą, żebym była zła — więc będę“ i będzie się mściła zapamiętałe, — albo złamie się i wybierze drogę Judasza. Może z początku będzie się bronić, że to fałsz i nieprawda — walczyć zjadle choć o odrobinę zaufania choć kilku towarzyszy. I pójdzie teraz z hańbą przez katorgę, z krzyżem najcięższym, jaki może przypaść na los człowieka. — Widuję czasami na spacerze prowokatorów. Dwaj z nich szczególnie są straszni — patrzą w ziemię, twarze jakby blade maski najcięższych zbrodniarzy, o nieruchomym zastygłym wyrazie potępieńca, całe ich postacie jakby skurczone, jak psów pokornych, gdy na nich się zamierzyć. Jeden z nich Wolgemut a drugi Sa. Trzej inni nadrabiają minami i trudno by ich z twarzy poznać, kim są (Tarantowicz i Harewicz ze sprawy radomskiej bojówki fraków). Dwaj zaś jeszcze — śmieją się, żartują i są weseli; są to zawodowi prowokatorzy, zwłaszcza Sagman (Zwierew czyli Orłow), który był zagranicą specjalistą.

Dziś 4-ch zakuto, między innemi Montwiłła (siedzi nade mną).

Matka z dwojgiem dzieci dostała podobno 12 lat osiedlenia za to, że lokator podczas rewizji zabił żołnierza i uciekł wraz z jej mężem. Dziś podczas spaceru dała za coś klapsa starszemu swemu synkowi. Widziałem to przez okno i chciałem jej krzyknąć. Tak dziwnie jakoś w więzieniu przez kratę wszystko się wyolbrzymia. A dzieciak, jakby nic, dalej hałasował i biegał po podwórku, pędząc kury i zbierając liście.

U mnie pustka w głowie straszna — przychodzą jakieś sny bezsensowne, w których nic z sobą się nie wiąże — oderwane słowa, ludzie, przedmioty, a gdy wstaję, dzień, który znowu mam przed sobą, przeraża mię, i chęć bytu jest tylko pamięcią, bezwładnością.

Obok mnie siedzi obecnie młody oficer B. Z nim wyłącznie prawie utrzymuję stałą korespondencję; chciałby siedzieć ze mną, chociażby na czas jakiś, lecz się boję, że wrócą stare czasy. Nie, wolę już sam być; od jutra będziemy razem spacerowali. I to wystarczy i urozmaici nam samotność — na jak długo?

Waterlos dostał akt oskarżenia o należenie do partji anarchistów komunistów (18 mężczyzn i 6 kobiet w tej sprawie; § 102, 2-ga część); 15 lat już dostał za eksproprijację u jakiegoś kupca. Wprost nie chce się wierzyć, — gdy się czyta akt o tych napadach i zabójstwach dla pieniędzy, że to tacy ludzie jak Waterlos są sprawcami i wodzami tych czynów. Bo przecie taki W. jest bardzo wrażliwy na każdy gwałt i każdą niesprawiedliwość. A może właśnie dlatego tacy są fanatykami i ślepo idą za swoją ideą, składając w ofierze uczucia swoje.

11 października. W nocy z 8 na 9-go powieszono Montwiłła. Już w dzień 8-go rozkuto go i zabrano do celi śmiertelnej (teraz Nr. 29). We wtorek 6-go był sąd za udział w napadzie na pociąg z Wołyńcami pod Łapami. On sam nie łudził się i 7-go pożegnał się z nami przez okno, gdy byliśmy na spacerze. Powieszono go o 1-ej w nocy. Kat Jegorka, jak zwykle dostał 50 rubli. Z góry anarchista K. wypukał mi, że oni „postanowili całą noc nie spać”, a żandarm mówił, iż na samą myśl, że kogoś mają powiesić „dreszcz przechodzi i zasnąć nie można, obraca się człowiek z boku na bok”. Ostatnie słowa M. na szafocie były: „Niech żyje niepodległa Polska”. W nocy z 7-go na 8-y też powieszono jakiegoś starca z celi 60. I po tych nocach strasznej zbrodni nie się tu nie zmienia. Jasne słoneczne dni jesienne, żołnierze, żandarmi i zmiany ich, spaceru nasze. Tylko w celach ciszej, nie słychać śpiewów, wielu czeka swojej kolei. Obok nas w celi 53 siedzi bandyta Kozłowski, skazany na śmierć 25 września. — Dotychczas nie wie jeszcze, czy zamieniono mu wyrok, który posłano do zatwierdzenia wileńskiemu gien. gubernatorowi (zbrodni zaszła w gubernji grodzieńskiej). Adwokat mu mówił, że w przeciągu 8 dni przyjdzie zatwierdzenie lub zamiana.

W 51-ej również siedzi skazany na śmierć za bandytyzm (mówi że niewinnie i zdaje się, że mówi prawdę) jakiś Grzyb z Sosnowca. Wyrok zapadł już 22 września, a on dotychczas nie wie, na ile mu zmieniono i czy wogóle mu zmieniono — pomimo, iż bezustannie zapytuje władze więzienne. Towarzysz mój opowiada mi, że obok niego siedział skazany na śmierć bandyta Ceniuk, który w przeciągu 13 dni był pewny, że go powieszą, aż wreszcie zawiadomiono go, że już dawno zamieniono mu na 15 lat katorgi.

Od 24 września siedzę razem z oficerem, porucznikiem artylerji B. Siedzi już 10-ty miesiąc, oskarżony o to jedynie, że nie doniósł na swego towarzysza, który jakoby miał należeć do Wszechros. Związku Oficerów; oskarżono na tej tylko podstawie, że mieszkał z nim razem. Sprawę prowadzi znany łotr, podpułkownik żandarmski Wonsiacki. Należy do tej sprawy 6-ciu oficerów i około 40 żołnierzy. Od maja obiecuje, że już wkrótce skończy sprawę i tak zwleka z tygodnia na tydzień. Ostatnio miał już od 14 września przysłać wszystkim oskarżonym akta i już oddać prokuratorowi sprawę — i nic jeszcze niewiadomo. Wszyscy oficerowie musieli podać prośby o dymisję, inaczejby ich wydano ze służby dyscyplinarnie. Wonsiacki mówił, że nie uwolni B. nawet za kaucją, jeżeli nie nadejdzie jego dymisja.

Charakterystyczna rozmowa Wonsiackiego z zawiadowcą X-go Pawilonu Uspieńskim (w marcu), który wrócił z sądu: W.: „No cóż, wszystko w porządku?” — „Tak, wszyscy 5 skazani na śmierć”. Anarchista Waterlos i oficer Kalinin (z celi Nr 19) siedzą w karczerze od środy (na 7 dni), anarchista Kac (Nr 19) ma odsiedzieć 4 dni, a Marczevska-Ostrowska i Teodora Malinowska (robotnice z PPS. c. Nr 20) po trzy dni. U nas (teraz cela Nr 52) i na górze były z celi do celi telefony — dziury w ścianie. Pewnego dnia

wszystkie dziury zamurowano. Zaraz tegoż samego dnia więźniowie na nowo odmurowali. Na drugi dzień spostrzeżono i znowu zamurowano na nasz koszt. Wielu z nas potem dało za wygraną, nie chcąc ujadać się wciąż z nimi i płacić, czekając, aż uwaga fijołów zaowu będzie uśpiona. Anarchiści jednak zaproponowali dziury mieć zawsze „demonstracyjnie“ otwarte; z propozycją tą zgodziły się tylko cele 18, 19 i 20. Waterlosa zawiadowca (Jołkin) kazał wziąć do karceru; przyszło 5 drabów z wachmistrzem i zabrali go, nie zważając na stukanie w drzwi z innych cel. Cele 18, 19, 20 zażądały prokuratora wbrew namowom innych, by zaniechali tej myśli, wobec tego, że prokurator łotr i ukarze jeszcze gorzej. Przyszedł pomocnik prokuratora, przedtym jeszcze tego samego dnia Waterlos był uwolniony z karceru. W parę dni po tej wizycie przyszło rozporządzenie prokuratora: posadzić do karceru więźniów z 18-tej, 19 i 20-tej celi. Po tym wypadku i przedtym, przy drobniejszych zatargach z administracją, stosunek pomiędzy więźniami samemi ochłodził i naprężył się. Taktyka anarchistów — walka, walka i walka o byle co, zawsze, bezustannie; innych — przeciwna: dbać przede wszystkim o zachowanie swych sił, unikać możliwie wszelkich zatargów, zachowując i dbając jednocześnie o należne prawa i o godność. Niedawno na tym tle omal nie doszło do sądu nad jednym z anarchistów, który chciał wywołać awanturę i pociągnąć inne korytarze za sobą kłamstwem, że cały jego korytarz postanowił urządzić awanturę — wtedy, gdy nikt na jego korytarzu pojęcia nie miał o tym.

Od paru tygodni mamy nowego wachmistrza, podobno łotra niebyszałego. Postawił go tu Wonsiacki. Widziałem go na widzeniu, przysłuchiwał się pilnie naszej rozmowie, i, by być bliżej, położył się nieprzyzwyczajenie na stole, wtrącając się do rozmowy. Nie chciał przyjąć kaloszy, upewniając, że tu kalosze są zbyteczne — bezczelny arogant. Od czasu gdy tu przyszedł, nie można ani wanny się doprosić, ani książek z biblioteki; t. zw. „pokupki“ zamiast 2 razy — raz w tygodniu. On też napewno znalazł, że wśród żandarmów tutejszych są rewolucjoniści; poodbierano im i spalono biblioteczne książki rosyjskie; wielu z żandarmów zastąpiono nowemi. Mają ich podobno wszystkich jako „zepsutych“ odesłać do „eskadronu“ a przysłać nowych. Naczelnik szwadronu nie chce ich jednak przyjąć i błaga gienerała, by nie dawano mu ich, że „zepsują cały szwadron“, a że ci, którychby on musiał na ich miejsce dać, też zepsują się tu, stykając się z nami. Prawdą zaś jest, że wojsko wogóle jest „zepsute“, że już przyszło wielu do wojska zepsutych, a ci na swoją rękę psują resztę, że sama okropna służba psuje ich. Alarm powstał z tego powodu, że któryś z żandarmów wysłał do gien. Uthoffa list anonimowy, pisany drukowanemi literami, z żądaniem, by im wypłacono prócz 50 kop., które się należą każdemu żołnierzowi, jeszcze 1 r. 50 kop. miesięcznie „dodatkowego“, które im się należy za ich służbę tutaj, a które nie było przez zwierzchność im wypłacane, lecz składane do jakiejś kasy.

25 października. Od tygodnia znowu siedzę sam na korytarzu Nr 1, w celi Nr 3. Pięć cel jest tylko na tym korytarzu. Okno wychodzi na park lazaretu. Cicho tu i samotnie. I żandarmi już wszyscy nowi, pozostało paru tylko, najgorszych. Dziś sąsiad wypukał mi, że Waterlos podobno już 12 dni strejkuje, żądając lepszego jedzenia, materiałów piśmiennych, zimnej kąpieli i przyjsia konsula. Podobno jest już nieprzytomny. Po odsiedzeniu 7 dni w karczerze posadzono go do celi Nr 50, zupełnie odesparowanej, na dawniejszym korytarzu śmiertelnym, a teraz przeważnie dla bandytów przeznaczonej. Jego i Kiłaczyckiego chcą tu podobno długie lata trzymać nie wysyłając z obawy, że ich odbiją, lub że uciekną.

12 listopada. Trzy dni (7, 8 i 9 b. m.) trwała sprawa moja i towarzyszy; trzy dni miałem wielką rozrywkę. Sądziła Izba Sądowa; w doróźnie zawożono mnie stąd, w kajdanach na rękach. Byłem podniecony i uradowany, że widzę ruch na ulicach, twarze wolnych ludzi, szyldy i ogłoszenia sklepów, tramwaje elektryczne. Potym spotkanie z towarzyszami i parę twarzy znajomych. Sala posiedzeń sądowych o dużych oknach, akcesorja sądu, wreszcie sam sąd, złożony z 7 osób, prokurator, eksperci, pop i ksiądz, świadkowie, obrońcy, blizcy krewni. Nastąpiła przysięga świadków, ekspertów i tłumacza, zeznania świadków, wreszcie oskarżenie prokuratora, który żądał najwyższej kary z drugiej części § 126 oświadczając, że nie dla poprawienia nas się karze lecz dla usunięcia, potym mowy Rotsztadta, który sam się bronił, i obrońców. Wreszcie po przeszło godzinnej naradzie sądu odczytanie wyroku; skazano nas: mnie na osiedlenie, Rotsztadta i Ausema (Świętosławski) na 4 l. katorgi i Landaua z § 127 na rok twierdzy. Przewodniczący odczytał wyrok głosem drżącym ze wzruszenia. Skazano nas jednak z § 126 części 2, pomimo iż zostało udowodnione, że partja nasza nie ma składów broni ani materiałów wybuchowych, pomimo że w stosunku do mnie i Ausema nie było dostatecznych dowodów prawnych należenia naszego do partji, (Rotsztadtowi już przedtem w maju Izba w Lublinie dała 6 lat katorgi; przyznał się on do należenia do partji, lecz zaprzeczył, jakoby partja miała składki broni), pomimo, iż w stosunku do Landaua nie było ani jednego dowodu potwierdzającego, że zebranie 5 osób u niego było partyjne i że on o tym wiedział. Osądzili nas na podstawie swego „sumienia“, a „sumienie“ to okazało się niemniej czułym na wymagania rządu, niżli „sumienie“ sędziów wojennych. Mnie jednemu dano osiedlenie, zapewne dlatego tylko, że na drugiej sprawie, o której wiedzieli, będą mogli dać już katorgę. Podobno żandarmi wytaczają mi już i trzecią sprawę. Teraz w Izbie wszystkie sprawy socjaldemokratów będą sądzone z § 102.

Na sądzie samym nie myślałem wcale nad tym, że to nas sądzą i ukarzą na długie lata, nie myślałem, chociaż nie łudziłem się co do wyroku. Patrzyłem na sędziów, na prokuratora, na wszystkich w sali obecnych, na ściany i dekoracje z zajęciem, z wielkim

zadowoleniem, że widzę świeże barwy i kolory, różne inne twarze; byłem jakby na jakiejś uroczystości, nie smutnej i bez grozy, która mnie nie dotyczyła wcale. Oczy moje miały świeży pokarm i cieszyłem się i byłem cały w oczach — chciałem wszystkim coś dobrego powiedzieć. Tylko przez chwilę czułem się inaczej, jakby kogoś miano pogrzebać, gdy wprowadzono nas do sali dla wysłuchania wyroku, gdy otoczyło nas nagle 15—20 żandarmów, i szable ich, wyjmowane z pochew, mignęły w powietrzu przed nami. Lecz nastrój ten przeszedł, gdy przewodniczący zaczął czytać głosem wzruszonym wyrok: Po ukazie jęwo impieratorskawo wieliczestwa i t. d.

Dziś znowu już jestem sam w swojej celi. Nie łudzę się, że będę miał katorgę. Czy wytrwam? Gdy zaczynam myśleć, że tyle, tyle dni będę musiał przeżyć w murach, dzień po dniu, godzina po godzinie, zapewne tu, w X Pawilonie — lęk mnie ogarnia i wyrwa się krzyk: nie mogę. A jednak będę mógł, będę musiał móc, jak tylu innych może, jak tylu już mogło znieść daleko, daleko gorsze katusze. Myśl nie może pojąć, jak to możliwe, wie tylko, że możliwe i bunt ustępuje, przychodzi rezygnacja i duma — móc wytrwać. Gorąca żądza życia chowa się w głąb i na powierzchni spokój cmentarza. A gdy sił nie starczy, wtedy przyjdzie śmierć, która uwolni od pocucia niemocy i rozwiąże wszystko. Więc spokojny jestem. Tymczasem jestem zupełnie sam. Na korytarzu nie koresponduję z nikim i odcięty jestem od całego Pawilonu. Wachmistrz znowu inny, tamtego na szczęście zabrano. Był nieznośny i zły. Nowy zdaje się niezły, nie znam go jeszcze. Nowi żandarmi też naogół nie szykanują nas. Z jednym tylko miałem awanturę. Było już późno w nocy, czytałem. On co chwila podchodził do moich drzwi, ocierał się o nie, podnosił klapę judasza, patrzył, opuszczał zaraz ze stukiem, nie odchodząc, i znowu podnosił. Poprosiłem go, by nie robił tego, by podglądał, jeżeli mu to sprawia przyjemność, lecz by nie stukał klapą i nie ocierał się o drzwi; za chwilę potym naumyślnie zaczął stukać. Zrobiłem mu awanturę, byłem tak rozwścieczony, że mógłbym go zabić; przyszedł jednak dyżurny i kazał mu zaprzestać tej zabawy.

15 listopada. Chcę pisać. Od kilku dni niemal grobowa na moim korytarzu cisza, która w mózg się wżera, i każe pytać, czy to możliwe, że to ja właśnie tu. Jestem ja i ktoś drugi naprzeciwko mnie i więcej nikt. Od kilku dni wszystkich prócz nas przeniesiono gdzieindziej. Cele puste. Nie korespondowałem z niemi — byłem i wtedy sam — bałem się poznać ich tajemnice, ich męki, by spokojnym być i nie sprawić męki sobie. Lecz czułem ich i słyszałem; dziś pozostał jeden — i ciężko mi w samotności mojej, a lenistwo i machnięcie ręką wstrzymuje od nawiązania korespondencji z tym jedynym pozostałym. Na co, po co? Teraz sam jestem i niech męczę się przez samotność mą. Przyjdzie czas, gdy z ludźmi będę taksamo nie z własnej woli, jak tu nie z mojej woli jestem samotny; wtedy znów do samotności będę tęsknił, jak dziś do ludzi.

4 grudnia. Chcę dziś znowu powrócić do naszego sądu. W tydzień po sądzie zawieziono mię znowu do Izby i tam przeczytano wyrok w ostatecznym sformułowaniu. Okazało się, że uznano mię winnym nie tylko należenia do partji, lecz uznano też wszystkie głosłowne zarzuty aktu oskarżenia i prokuratora. Tak np. uznano, że między innemi utrzymywałem stosunki z agitacyjno-propagandystyczną komisją partji, na tej tylko chyba podstawie, że w liście jednego ze współoskarżonych była wzmianka o tej komisji bez podanego stosunku do mnie. Uznano, że rozjeżdżałem w celach partyjnych po Królestwie i Cesarstwie, chociaż nie było ani jednego dowodu i żadnej wskazówki, że wogóle rozjeżdżałem. Dalej jako najgłówniejsze dowody należenia do partji i działalności w kraju figurowały listy moje, pisane z Krakowa do Zurychu w 1904 roku. Prokurator zrobił wzmiankę w swej mowie, że te listy pisane były z Warszawy, nadmienił, że te czyny moje z roku 1904 nie podlegają amnestji z manifestu, albowiem amnestja dotyczyła tylko części pierwszej, a nie drugiej § 126. Na świetną mowę adwokata M., który udowodnił, iż listy są pisane z Krakowa i chociażby już dlatego karze podlegać nie mogą, że amnestja dalej rozciągała się na te przewinienia (uwolniono wtedy z manifestu wszystkich oskarżonych o należenie do S. D. a także w sprawie drukarni warszawskiej S. D.), prokurator wcale nie odpowiadał — był pewny swojej sprawy, a sąd nie zawiódł pokładanych nadziei. Podobno jeden z sędziów na czyjeś wyrazy zdziwienia z powodu surowości kary odpowiedział: „teraz my się ich nie boimy“. Konieczność zastosowania cz. 2-giej prokurator udowadniał nie programem i zasadami partji, lecz pojedyńczemi faktami zabójstw, popełnianych przez poszczególne organizacje partji w czasach już po manifestcie; na tej zasadzie zastosowano tę część i za należenie, jakoby udowodnione, do partji, w okresie z przed 1905 r., gdy o bojówkach i t. p. nie było nawet mowy. Cała obrona — jakby nie istniała. Podałem zażalenie kasacyjne. Rzecz jasna, nie chodzi mi o zmniejszenie kary. Onegdaj wręcono mi drugi akt oskarżenia w 2-giej sprawie, już z § 102 cz. 2. Osiedlenie jest jeszcze najlepszą karą, lecz chcę sam mieć możność wytknąć im to i chciałbym spróbować wszelkich dróg, by zmieniono II część na I ze względu na cały szereg innych spraw, do tej podobnych. Jeżeli nic z tego nie będzie, to będzie dowodem, że cała Izba Sądowa i t. d. miały na widoku już tylko zemstę.

Drugą sprawę będę miał zapewne za jakie 2–3 miesiące też w Izbie. Teraz wszystkie sprawy S. D. idą już z § 102, a nie 126 — kara daleko surowsza. Taką instrukcję dano z Petersburga, prawdopodobnie za staraniem Skałona i Zawarzina. Pierwszą sprawę wytaczano z § 126 dlatego tylko, że akt oskarżenia wygotowany już był rok temu i że prokuratorja wojenna nie chciała tej sprawy przyjąć. Druga moja sprawa poszła do Izby Sądowej chyba jedynie dlatego, że dowody są tak błahe, iż są niepewni może usposobienia oficerów. A przed kilku dniami była w wojennym rozprawa

19-u socjaldemokratów, wziętych na zebraniu. Dano im srogie wyroki: 4-rem po 6 lat, 9-ciu po 4 lat katorgi; 6-ciu na osiedlenie. Sądono z § 102, części I.

Wczoraj była sprawa 13-u bundowców z Koła, gub. Kaliskiej; większa część to malcy 15-letni. Jednego uniewinniono, 2-u dano po 4 l. katorgi, 5-iu po 2 l. i 8 m., a reszcie osiedlenie.

15 grudnia. Przed 4-ma dniami odebrano mnie i mojemu towarzyszowi, z którym siedzę, wszystkie materiały piśmienne. Podczas spaceru naszego zrobiono szczegółową rewizję; wróciliśmy właśnie w chwili, gdy wachmistrz grzebał się na podłodze w rzeczach naszych, i zły, czerwony ze wstydu, obruszył się na żandarma, że nas zawcześnie przyprowadził ze spaceru. Zawiadowca chciał też wejść do celi, lecz zobaczywszy nas, zawrócił pośpiesznie i uciekł. Wezwaliśmy go przez żandarma, by przyszedł, lecz dotychczas nie raczył przybyć, i nie wiemy, z jakiego to powodu spadła na nas ta kara. Przed 2-ma miesiącami wyspał się jakiś mój list stąd na wolności — i wtedy zawiadowca mówił mi, że odbierze materiały piśmienne, jeżeli drugi list się wysypie. Przez ten czas nie wysyłałem nic na wolność, a wiem, że ta rewizja była dla mnie, a nie dla mego współtowarzysza. Wczoraj był dzień pisania listów — kazano pisać w obecności fijoła, byśmy nie odleli sobie atramentu.

Wczoraj w nocy z pod naszej celi (z Nru 29) powiesili koś. Przed tygodniem też z tej samej celi 2-ch. Słysząc przez okno, jak wojsko idzie na miejsce stracenia, potem słyszymy bieganinę w kancelarji, wyprowadzenie skazanych z celi do kancelarji, a potem z kancelarji ze związanymi już rękami do karetki. Potem przez całe dni, gdy słysząc przechodzące wciąż oddziały wojska, wydaje się, że to znowu idą na czyjeś stracenie. Jestem teraz w Nrze 1, tuż obok kancelarji. Przeniesiono mnie tu przed 4-ma tygodniami i dano towarzysza, pomimo iż prosiłem, by nie dawano mi, zapewne dlatego, bym był skrupowany i nie mógł mieć bliższej styczności z fijołami. Żandarmi boją się rozmawiać, gdy siedzi dwóch. Na drugi dzień zresztą chcieli go już zabrać, lecz wtedy my sami zaoponowaliśmy, by nie rzucano nami jak bydłem. Towarzysz mój, robotnicarz K. oskarżony o należenie do Frakcji Rewolucyjnej, przez sąd wojenny uwolniony 3 sierpnia. Trzymają go jednak dotychczas wraz z innemi uniewinnionymi: Denelem, drem Bednarzem. Mają im dać po pięć lat Syberji administracyjnie, czekają na decyzję z Petersburga. Obok nas siedziała Marja Rudnicka. Po raz drugi uniewinniona przez sąd wojenny (teraz o zabójstwo strażnika, poprzednio wraz z K. o należenie do Warszawskiej Organizacji Bojowej F. R.) w czwartek, a w sobotę wywieziona do ratusza. Teraz podobno w Serbji czeka na wyrok administracyjny z Petersburga. Była ona lubiana przez wszystkich bodaj w Pawilonie za swą wesołość i młodość, a wielu się w niej kochało, czerpiąc stąd siły do życia i wypełniając swój czas pisaniem grypsów i wyszukiwaniem sposo-

bów przesyłania. Niektórzy po całych dniach wystawali na stole przy oknie, by nie opuścić chwili, gdy można ją było ujrzyć w przejściu ze spaceru i na spacer. Rozpaczali, gdy grypsów nie otrzymywali, lub gdy wysłać nie mogli. Po tysiąc razy postanawiali już nie pisać, zerwać i t. d. Przypomina mi się opowiadanie Gorkija: „Dwudziestu sześciu i jedna“. Parę dni siedziała z nią kobieta-szpiciel, którą ochrana za 15 rb. przysłała tu, by z nią romansowano i by wyludzała od łatwowiernych zeznania. Była jednak zbyt niezręczna i zaraz się połapano. Nazwała się Judycka, listy miała zaadresowane Żebrowska, a fijoły nazywali ją Kondracką. Na 2-gim korytarzu siedział tu też szpiciel, który się nazwał drem Czaplickim z Radomskiej gub., ze Starachowic. Okazało się, że Starachowic wcale nie zna. Zwracano się też do niego po poradę lekarską; ktoś skarżył się mu, że ma zdaje się nerkową chorobę, ten kazał mu opukać nerki „jeżeli oddźwięk będzie jasny, to są zdrowe nerki, a jeżeli głuchy, to trzeba się leczyć“ i t. p.

O Ostrowskiej-Marczewskiej dano mi znać z wolności, że jedni twierdzą, iż ona nie jest winna wyspy tych, którzy ją uwolnili z Tworek. Jak pogodzić z tym jej własne przede mną opowiadania, o innej Ostrowskiej, kiedy ja nie wiedziałem, że to ona jest tą Ostrowską, nie wiem. Zresztą dałem znać o tym towarzyszom. Ona tu zaprzeczyła i wymyśliła bajkę, że to inna niewiasta wyspała przez nieostrożność, wzięwszy szpiegów za adwokatów, lecz dlaczego przedtym mnie zupełnie co innego opowiadała, gdy zapytałem ją, czy zna ową Ostrowską?

Waterlos był przez cały czas w szpitalu po głódówce, zdjęto mu kajdany. Teraz już znówu umieszczono go tu — zdaje się z obawy, by nie uciekł z lazaretu. Doktor podobno mówił, że dłużej niż miesiąc żyć nie będzie. Awetisjanc, b. oficer, który odbywa tu twierdzę, też dogorywa, o czym nie wie sam: suchoty.

Przed tygodniem — 10 dniami aresztowano tu żołnierza, który załatwiał zakupy. Siedzi teraz w celi Nr 2, z nazwiska Łobanow. Za co — nie wiem. Żandarmi teraz zestraszeni i boją się rozmawiać z nami; po oczach tylko poznać można, który sprzyja nam... w sercu swoim. A zawiadowca grzeczny i uprzejmy, lecz zdaje się to fijoł do szpiku kości, powoli zaprowadza coraz surowszy rygor i coraz częściej posługuje się karcerem; żandarmów dobiera najbardziej dla władzy „pożądanych“. Gdy obawia się „zmięknąć“, nie przychodzi wcale, a przysyła tylko kartkę, że tak i tak ukarał; każe podczas spacerów urządzać rewizje. Widocznie czuje całą podłość służby swojej i wszystkie jej korzyści. Weszłym tygodniowi posadził chorego Kaca do karceru; 4 i 9 korytarz upomniały się o niego i zażądały przyjsia zawiadowcy. Nie przyszedł, dopiero o 2-giej w nocy przyszedł do oficerów (na 4 korytarzu) wachmistrz i skłamał, że już Kac wypuszczony z karceru. Nazajutrz posadzono Kalinina do karceru, Krakowieckiego posadzono gdzieś na innym korytarzu. Zapolskiego obok nas. Rozsadzono ich, chociaż niedawno, po ukończeniu ich śledztwa, 9-ciu umieszczono w 3-ch celach obok siebie i pozwolono razem spacerować. Dzisiaj

znowu Zapolskiego do nich zabrano, żądano tylko słowa honoru, że nie będą pisać na wolność nie przez kancelarię (niedawno wyspały się na wolności ich grypsy, poczym odebrano im materiały piśmienne). Śledztwo ich zostało zakończone dopiero przed miesiącem; do 60 iu osób należy do tej sprawy. Wonsiacki zrobił z Wszechrosyjskiego Związku Oficerów sprawę Wojskowej Rewolucyjnej Organizacji (SD.) na tej podstawie, że niektórzy z nich podobno mieli stosunki z SD. Najgłówniejszym świadkiem w tej sprawie jest niejaki Gogman, były oficer z Brześcia, który zdefraudował kasę wojskową, uciekł, został złapany i osądzony na 1½ r. rot aresztanckich. Sprowadził go tu Wonsiacki i kazał siedzieć z każdym po kolei oficerem z tej sprawy. Wszyscy wiedzieli, że to szpicel, wystrzegali się go i nic mu nie mówili. On zaś naopowiadał na zeznaniach niestworzone bajdy, to wszystko, o co Wonsiacki ich oskarżał. Robił też takie szwindle: nie wychodził na spacer i podczas nieobecności oficera w celi pisał w książce kropkami rzeczy, kompromitujące go. Na jednego z oficerów, Kalinina, zeznaje np., że K. krzyknął przez okno, gdy Gogman spacerował z 2-ma żołnierzami: towarzysze, to szpicel, łotr i t. d. Tymczasem wołałem to ja, a on dokładnie mnie wtedy widział, bo mi się przyglądał.

W celi Nr. 2 siedzi obecnie Kiłaczycki, jeden z 10-ciu wiezionych z Pawiaka, a potem wydany przez Szwajcarję, oskarżony o zabójstwo Iwanowa na tej podstawie, że chociaż motywy były polityczne, lecz samo zabójstwo ma cechy zwykłej zemsty. 1 lutego b. r. dostał 6 lat w sądzie Okręgowym. Trzymają go tu, bo w Syberji powinni byliby puścić go na wolną komendę już 1-go lutego 1910 r., a kajdany zdjąć 1-go lutego 1909 r. Zapewne całe 6 lat będą go tu trzymać. Odbywa tu karę prócz niego: Grzecznarowski, Szenia (z Radomia), Waterlos i kilku innych.

31 grudnia. Dziś ostatni dzień roku. Po raz piąty już w więzieniu spotykam Rok Nowy (1898, 1901, 1902, 1907, po raz pierwszy 11 lat temu). W więzieniu dojrzałem — w męce, samotności i tęsknocie za światem i życiem. A jednak zwątpienie o „sprawie“ nigdy nie zajrzało mi jeszcze w oczy — i teraz w czasie, gdy pogrzebano na długie lata może wszystkie niedawne nadzieje w potokach krwi, gdy przygwożdżono je do słupów szubienicznych, gdy mnogie tysiące bojowników wolności zamknięto do lochów lub rzucano w zasypy śnieżne Syberji — i teraz dumny jestem. Widzę te masy ogromne, które już się poruszyły, podważyły stare gmachy, w których łonie przygotowują się nowe siły dla nowych walk; dumny jestem, że jestem z niemi, że je widzę, czuję, rozumiem — i że sam przecierpiałem wiele z niemi razem. Tu, w więzieniu źle jest nieraz, bywa strasznie. A jednak... Gdybym na nowo miał rozpocząć życie, rozpocząłbym taksamo: nie jest to nakaz obowiązku, lecz mus organiczny. Więzienie tego tylko dokonało, że sprawa stała się dla mnie, czym dziecko dla matki: czymś uchwytym, realnym, jak dziecko dla matki — krwią i ciałem własnym pod sercem noszonym, dzieckiem, które mnie nigdy zdradzić nie może i dlatego

wciąż daje mi rozkosz. Więzienie odebrało mi wiele, strasznie wiele, bo nie tylko realne warunki życia, bez których człowiek staje się nieszczęśliwy wśród najnieszczęśliwszych, lecz i samą zdolność do korzystania z tych warunków, dalej zdolność płodnej pracy umysłowej, bo tyle lat więzienia, najczęściej w samotnych celach, nie mogło przejść bezkarnie. Lecz gdy w świadomości mojej, w duszy, waży się to, co mi zabrało więzienie, i co dało — choć nie mogę odpowiedzieć, co przeważa obiektywnie dla badacza postronnego, lecz wiem przecie, że nie przeklinam ani losu mego, ani długich lat mego więzienia, bo ono rozbija to wielkie więzienie, które się znajduje poza temi murami. I to nie jest spekulacja myśli, to nie jest wyrachowanie. Jest to rezultat niepohamowanej żądzy wolności i życia szerokiego, tęsknoty za pięknem i sprawiedliwością. Tam teraz towarzysze i przyjaciele piją nasze zdrowie i ja tu w celi samotnej o nich myślę teraz, — niech żyją i kuja broń i będą godni sprawy swojej.

Dziś zawiadomiono mnie, że sprawa moja odbędzie się 28-go stycznia 1909 roku (15/1 st. st.) — za 4 tygodnie. Teraz katorgę dadzą, a wtedy trzeba będzie tu siedzieć 4—6 lat. Brrr... nie bardzo mi się to uśmiecha. Od wczoraj znowu siedzę sam. Towarzysza zabrano do innej celi na jego własną prośbę, na 2-gi korytarz, bliżej jego towarzyszy, od których chciałby się dowiedzieć nowin w swej sprawie. Cały czas prawie był niespokojny i wciąż oczekiwał, że przyjdzie wiadomość, decyzja. Gdy Rudnicka wyjeżdżała, powiedziała nam, że dostała 5 lat Jakutów ze starej sprawy wspólnej z K. (to nieprawda, widocznie R. nie zrozumiała sama, co jej mówił zawiadowca, odsyłając ją stąd), żona zaś Denela (towarzysz K.) po powrocie z Petersburga dała znać, że wszyscy będą wolni, ale otrzymają zagranicę, potem znowu, że otrzymała z Petersburga depeszę, że jeszcze nic niewiadomo. I oto człowiek nie mógł dać rady z sobą, nie mógł ani czytać, ani nic robić. Wciąż chodził po celi i czekał, czekał, przysłuchiwał się wszystkim poruszeniom na korytarzu, każde stuknięcie drzwi z kancelarii, gdy ktoś stamtąd szedł, podniecało go i intrygowało, a potem drażniło. I wciąż w kółko te same myśli — bez treści prawie, a niedające się odegnąć. Prawie z każdym tu tak bywa; nieraz niewiadomo skąd przychodzi niepokój i stan oczekiwania czegoś, stan przykry ogromnie, podobny do oczekiwania na stacji kolejowej gdzieś na wsi, jesienią dżdżystą, wilgotną i chłodną pociągu, tylko tu uczucie to daleko więcej sprawia przykrości. Wtedy się chodzi z kąta w kąt, co jakiś czas stara się coś czytać, lecz żadne zdanie nie dochodzi do świadomości, rzuca się książkę i znowu się łązi po celi, nasłuchując trzaskania drzwiami z tajną nieświadomą nadzieją, że przyjdą i coś ważnego przyniosą. Bywa to najczęściej w dnie widzeń, lub wtedy, gdy się zażądało książek, przyjscia zawiadowcy lub czego innego. Lecz wtedy — chociaż to oczekiwanie też jest przykre i natężenie jego nie odpowiada wcale oczekiwanym rezultatom — jest cel pewien i przez to jest znośniejsze. Oczekiwania zaś bez powodu są nieraz okropne.

Od czasu, gdy ostatni raz pisałem, powiedzono tu 5 osób.

Wieczorem koło 4—6-ej g. przyprowadzono ich do celi Nr. 29 pod nami, w nocy około 12—1-ej g. wywożono na stracenie. Jeden z nich przez cały czas głośno odmawiał pacierze i śpiewał psalmy, a drugi z nim razem, jakiś Rosjanin, wygwizdywał i wyśpiewywał brukowe piosenki.

Od kilku dni słysząc z 2-go korytarza śpiewanie Marczewskiej. Dziś śpiew jej drażni mię. Siedzi teraz pod Nr. 20-ym; widocznie za awantury przeniesiono ją tu.

Znowu mówią o nowowykrytym prowoku z Frakcji, który tu siedzi od bardzo dawna; aresztowany w lutym 1907 r., niejaki Rom., młody smarkacz.

Więźniowie i żandarmi są oburzeni na Waterlosa, przez jego to nieostrożność został aresztowany żołnierz Łobanow. Korespondował z nim i nie palił listów, przy rewizji w celi znaleziono. Siedzi pod Nr. 50, sam i znowu w kajdanach.

18 lutego 1909 r. Dzień zimowy, słoneczny, cichy. Na spacerze świat cudny, w celi dużo słońca. A w sercu więźnia — tak strasznie. Nie tęskni i już się nie rwie i już nie snuje obrazów jasnych przyszłości. W rozpacz zastygło i spokojne; pozostała pamięć radości życia i smaga, jak strasznie, bezustannie żywy wyrzut sumienia. Niedawno spotkałem żołnierza, wyglądał smutno — pilnował nas. Zapytałem, co mu jest; odpowiedział, że w domu chleba niema, że kozacy zaćwiczyli różgami u niego na wsi kilku mężczyzn i kobiet, że tam w domu jest okropnie. A drugi raz mówił: „my tu cierpimy, a w domu o głodzie siedzą“. Cała Rosja „o głodzie siedzi“, w całym państwie różgi świszczą. Jęki dochodzą tu po przez mury z całej Rosji przez dozorców naszych i zagłuszają jęki więzienia. I ci sami oplwani i bici pilnują nas, chowając głęboko w duszy nienawiść straszną — i prowadzą na kaźń skazańców, obrońców swoich. Każdy się boi o siebie i idzie pokornie w jarzmie. I czuję, że lud pozostał sam, że, jak ziemia spalona słońcem, łaknie teraz właśnie słów miłości, któreby zjednoczyły go i dały mu siły do czynu. Czy się znajdują ci, którzy pójdą z tym słońcem? Gdzież zastępy młodzieży, gdzie ci, którzy do niedawna byli w szeregach naszych? Wszyscy rozbiegli się, każdy w pogoni za złudnym szczęściem własnego „ja“, koślawiąc duszę swoją i wciskając ją w ciasne, nieraz wstrętne ramy. Czy słyszą oni głos ludu? Niech dojdzie do nich i będzie ich biczem strasznym.

Podemną od kilku dni siedzi dwu. Oczekują stracenia, nie pukają wcale i są cisi. W zeszłym miesiącu pomiędzy innemi powieszono 2-ch za zabójstwo pomocnika jenerała-gubernatora Markgrafskiego, zupełnie niewinnych. Żona jednego z nich, Lipskiego, z kochankiem swym, by pozbyć się męża, złożyła fałszywe zeznanie i powieszono go. Aresztowano jednego żandarma z naszej straży, a 6-ciu wydano stąd. Żołnierz Łobanow dostał 2½ lat rot aresztanckich za przenoszenie listów więźniów. Prawie wszyscy żołnierze-posługacze zostali zastąpieni przez nowych jako niepewni. Na miejscu stracenia są stale szubienice. Wiozą skazańców stąd w karecie na ko-

łach z gumowemi szynami, ręce rzemieniem wiążą im tu w X-tym pawilonie. Do trzech skazańców wieszają jednocześnie. Gdy ich jest więcej, wieszają trzech, reszta zaś czeka na miejscu swej kolei i patrzy, jak tracą towarzyszy.

Już po 11-tej wieczór. Pod nami w celi, zwykle cichej — celi skazańców — słychać głośne rozmowy, zamiast słów dochodzą urywane dźwięki, na schodach za ścianą ruch niezwykle, jak w dni tracenia. Drzwi od kancelarii skrzypią; coraz ktoś chodzi do skazańców.

Już ich zabrano. Wojsko pod oknem po drodze przeszło. To dwaj skazani za rozboje i gwałcenie.

4 marca. 25-go lutego znowu powieszono 5-ciu z 16-tu skazanych bandytów i bojowców F. R. Jednemu ze skazanych, Krawczyńskiemu, powiedziano na drugi dzień po sądzie, że nie zamieniono mu kary. Sąd był 22-go, 25-go w nocy mieli tracić, nie zabrano go jednak z innemi i dopiero w kilka dni potem przyjechał adwokat i powiedział, że zmieniono mu na 10 lat katorgi.

Siedzi tu niejaki Gołębiowski. Skazano go na śmierć, lecz zamieniono na 10 lat katorgi. Nie chciał wierzyć. Gdy przyjechali doń rodzice na widzenie, nie chciał wyjść z celi, myślał, że do śmiertelnej chcą go zabrać, i na prośbę rodziców gwałtem go przyprowadzono do nich.

Jest tu 5-ciu obłąkanych. Jeden z nich furjat, oddawna siedzi już w pustej zupełnie celi, okna wybite, zatłkane słomą, po nocach bez lampy. Krzyki rozpacz, wściekłości, jęki i bicie o drzwi, ściany. Zakuto go w ręczne kajdanki, porozbijał je.

Przed 6-iu tygodniami posadzono na nasz korytarz Marczewską. Siedziała ze wszystkiemi niewiastami, lecz z żadną nie mogła się zżyć; siedziała tu sama. Po kilku dniach sąsiad jej chciał zerwać z nią; zrobiła na nim strasznie ujemne wrażenie, tak że powiedział jej, że nie chce o niej i od niej nic słyszeć. Po tej rozmowie przysłała mu list pożegnalny, że jest zupełnie niewinna, i wypła 20 gramów jodyny. Wyratowano ją, ale męczyła się strasznie. Po kilku dniach zabrano ją stąd, siedzi z Owczarkówną.

Przed 2-ma dniami umarł Awetisjanc — siedział tu od 1905 r., pozostawał mu tylko miesiąc do odsiedzenia.

8-go marca. Od tygodnia siedzę znowu sam. Przedtym przez 2 tygodnie siedziałem z oficerem B. i tydzień z oficerem Kalininem. Tak niespodziewanie przyszedł do mnie B. i tak się cieszyłem. Wpadł do mnie jak z nieba: wieczorem drzwi z hałasem otworzono, jakby wrzucono go do celi mojej i znowu zamknięto. Przed sądem na kilka dni zawołano oficerów do kancelarii, kazano pokazać, co mają w kieszeniach i porozsadzano ich, a w celi ich (siedzieli razem) zrobiono rewizję. Zrobiono to z rozporządzenia Utgoffa, przyjechało specjalnie 2-ch rotmistrzów. Rewizja była nadzwyczaj powierzchowna, zabrano na chybił trafił kilka szpargałów, a potem badano ich — i te szpargały. Widocznie cały ten humbug był przygotowany w celu

wywarcia wrażenia na sędziach, że są to niebezpieczni ludzie. Po sądzie ktoś mówił, że ta rewizja miała wpływ na wyrok, chociaż absolutnie nic kompromitującego nie znaleziono. Przed sądem jednak stworzono z tego „dzieło“ i polecono przeprowadzenie śledztwa rotmistrzowi Lusi (Lusing). Po sądzie zaś już ani słowa o tym. Zawiadowca, który po rewizji był bardzo „zły“ na oficerów i mówił, że będzie prosił sam o wysłanie ich zaraz po sądzie dokądkolwiek inąd, po sądzie był już bardzo grzeczny. Sąd trwał 5 dni. Podsądnych było 36-iu: 5 oficerów, 29-ciu żołnierzy i 2-ch uczniów z Białej. Jeden oficer, uwolniony za kaucją, na sąd nie przybył z powodu choroby. Oskarżono ich o należenie do Bezpartyjnej W. R. Organizacji i Wszechrosyjskiego Związku Oficerów (§ 102, część 1). Prezesem sądu był Uwerski, znany powszechnie jako Zwierski, najkrwawszy ze wszystkich sędziów. Opowiadają tu o nim, że gdy widzi, że podsądny może się wymknąć z pod stryka, robi się gburem, nieprzystępnym i wpada we wściekły humor, a gdy widzi, że nie ujdzie, zaciera ręce z zadowolenia, rozmawia grzecznie z adwokatami, jest w różowym humorze. Oskarżał Abdułow. Śledztwo prowadził Wonsiacki — obecnie naczelnik radomskiego gubernjalnego zarządu żandarmerji, szubrawiec znany z działalności swojej w Warszawie i na Łotwie. Za pomocą obietnic, słowa honoru, że uwolni, gróźb, bezustannych badań dopiął, że prawie wszyscy żołnierze przyznali się, że chodzili na zebrania sami i zasypali Kalinina, Pańkowa i innych żołnierzy, dopiął tego, że Kalinin i Pańkow przyznali się i opowiadali o sobie rzeczy, o których żandarmi nie wiedzieli, a które na wyrok miały poważny wpływ. Na oficerów działał, wmawiając, że z ich winy siedzą żołnierze i jeżeli oni się przyznają, żołnierzy uwolni. Najważniejszym świadkiem był Gogman — szpieg, o którym wspominałem. Zeznawał on wszystko, co mu dyktował Wonsiacki, twierdząc, że mu to mówili oskarżeni sami. Ze sztuczek Wonsiackiego na sądzie samym wykryło się, że podrobił list, jakoby pisany przez Kalinina, i kazał aresztowanemu ordynansowi Kalinina odwieźć do Lublina, zanieść pewnemu adwokatowi, który był przedtym oficerem, powiedzieć, że to list od Kalinina i że on sam, ordynans jego — był też aresztowany, lecz go uwolniono i prosi, by ów adwokat bronił go. Adwokat jednak wyrzucił ordynansa - szpiega z mieszkania. Dalej stwierdzono, że Krakowieckiemu włożono do jego rzeczy nielegalną literaturę W. R. O. (S. D.); figurowała ona na śledztwie sądowym, jako znaleziona u niego. Tymczasem w protokóle rewizji dokonanej u niego było napisane, że „nic podejrzanego nie znaleziono“. Cała sprawa powstała wskutek zeznań 2-ch żołnierzy (Stepan Kaf-tynew i Iwan Sierżantow), którymi władza posługiwała się jako prowokami. Zeznania ich były podyktowane przez Wonsiackiego — sami na sąd nie stawili się.

Świadków obrony wszystkich odrzucono. Przez cały czas trwania sądu był obecny Wonsiacki, który w przerwach konferował z sędziami.

Przeciwno Krakowieckiemu było zeznanie Gogmana i oficera, porucznika 14 pułku piechoty, Ołonieckiego pułku (Aleksander Bo-

czarow) i podrzucona literatura. Boczarow na sądzie cofnął swe zeznania. Była to bardzo silna chwila; zeznał, że nie Krakowiecki, lecz on sam należał (obecnie nie należy), że złożył fałszywe zeznanie, które mu kazał napisać Wonsiacki pod groźbą, że go aresztuje i że otrzyma katorgę. Uwerski na to: „Przecież pan jest oficerem“. Boczarow nic nie odrzekł i stał z głową spuszczoną. W sali żywe poruszenie. Wonsiacki zerwał się z miejsca, poszeptał z innemi żandarmami i wyleciał z sali — pojechał do komendanta. Boczarowowi kazano w kilka dni potym podać się natychmiast do dymisji. Krakowieckiemu jednak dano najwyższy wyrok — 8 lat katorgi, chociaż wszystkie dowody upadły na sądzie. Wonsiacki był przekonany, że to bodaj jedyny ze wszystkich prawdziwy rewolucjonista - konspirator (nie pozostawiał za sobą śladów) i dano mu taki wyrok.

Oryginalna była obrona jednego z adwokatów, Załszupina: wymyślał na swego klienta jako na „żydowskiego smarkacza“, „głup-taska, który 2-ch słów nie umie skleić, i to ma być bohater“ itd.

Kalinin i Pańkow przyznali się i wyjaśnili, że żołnierze na ławce oskarżonych są zabrani na chybił trafił, że z równą słuszością mogliby zabrać całe oddziały, w których oni służyli, że są niewinni, że wśród żołnierzy organizacji nie było.

Jeden z żołnierzy (Sinicyn), który wyjątkowo dzielnie trzymał się na śledztwie i w więzieniu był najweselszy, urządził na sądzie przy ostatnim słowie taki kawał: zawezwali go sędziowie do stołu, by go wysłuchać, chwilę stał i milczał, potym: „Tak, chodziłem na zebrania, ale...“ tu łyzy rześiste (zobaczył portret cara) „przysięgam przed portretem J. C. M. najłaskawszego cesarza Mikołaja Aleksandrowicza“ — znowu pauza — łyzy (ujrzał obok portret Aleksandra III) „przysięgam przed portretem J. C. M., świętej pamięci Aleksandra Aleksandrowicza“ — znowu pauza, łyzy „że“ (zatrzymał się, ujrzał portret cesarzowej) „przysięgam przed portretem J. C. M. najłaskawszej cesarzowej naszej Aleksandry Teodorówny“ — znowu łyzy — „że już nie będę“. Dano mu 6 lat katorgi, które Skatón zamienił na osiedlenie.

Jeden z żołnierzy — mówca z Bożej łaski — Korel, mówił płynnie i treściwie z pół godziny, że jego praca była natury wyłącznie kulturalnej; dostał za to 8 lat katorgi. Sędziowie nie lubią żołnierzy mówców.

Sędziów było 3-ch: prócz generała Uwerskiego 2-ch zwyczajnych pułkowników z pułku; ci przez całe 5 dni siedzieli jak bałwany i nie powiedzieli ani słowa.

Wyroki opiewały: Krakowiecki i żołnierz Korel 8 lat katorgi, Kalinin, Pańkow, Zapolski i żołnierze Isajew i Sinicyn po 6 lat, żołnierz Czerniakow (felczer) 7 lat, Tiomkin, Laufman i 12 żołnierzy osiedlenie, 3 żołnierzy po 1 roku bataljonu dyscyplinarnego, 1 oficer i 9 żołnierzy wolnych. Skatón zamienił tylko Pańkowowi i Sinicynowi na osiedlenie. Sąd zastosował do oficerów i do żołnierzy § 273, 4, BC. (powiększenie kary o 2 lata, jako będącym w czynnej służbie). Okazało się, że do oficerów, jako będących już na dymisji, nie miano prawa zastosować tego paragrafu (było odpowied-

nie wyjaśnienie senatu), adwokaci jednak spostrzegli się zapóźno już po zatwierdzeniu wyroku przez Skałona. Podali skargę do Petersburga. Pańkowowi zamieniono dlatego, że na sądzie wyjaśniło się, iż był pod wpływem Kalinina.

Cała sprawa była rozděta przez Wonsiackiego dla pułkowników szlifów i dostał je też. Byli zebrani ludzie z różnych krajów Królestwa, nic z sobą wspólnego nie mający, (Biała, Kielce, Warszawa, Zambrów), byli zabrani przygodni żołnierze, ugrupowano ich koło 2-ch nieprawomyślnych oficerów — i utworzono olbrzymią sprawę W. R. O. żołnierskiej i oficerskiej, która mogłaby zgubić samodzięzawje. Lecz oto zjawia się rycerz bez trwogi — Wonsiackij i wypienia kramołę: jakiejże chwały i nagrody jest godzien!

Mojego współtowarzyszysza B. uwolniono wprost za bramę Cytadeli. Tam od dwóch dni już czekała na niego narzeczona jego i ciotka, dobra, pocziwa kobieta, która wybierała się z nim razem jechać na Syberję. Byłem pewny, że uniewinnia go, oskarżono już nie o „ukrywactwo“, lecz o należenie, wyłącznie na podstawie listów siostry do niego, z których widać było „wzrastające usposobienie rewolucyjne“ jego, B. Widocznie trzymano go 14 miesięcy po to tylko, by dać sądowi sposobność uwolnienia. „Nasz sąd wojenny jest bezstronny“, „nie jest fagasem ochrony“ — tak mi mówił kiedyś Suszkow. A jednak po każdym posiedzeniu sądu B. wracał albo pełen otuchy i nadziei, albo pewien prawie, że go skazą. Szczególnie po mowie Abdułowa — był pewny. Gdy wrócił po wyroku, był już tak zmęczony, że nie widać było radości. „Powinszujcie“ — powiedział ospale. A potem obawy, by go administracyjnie nie trzymano, bóg wie jak długo, jak innych. Przecie Gorbunowi urzędnikowi ochrony sprawę umorzono, a już siedzi przeszło miesiąc. Klim, Bednarz, Denel — uniewinnieni 4 sierpnia, a siedzą dotychczas i mają otrzymać Jakuty (w tych dniach Klima i Bednarza wysłano zagranicę, a Denel ma dostać Jakuty, siedzi tu; żona jego jeździła do Pitra, starała się i wystarała się o zagranicę; mieli już go zabrać, kareta czekała już, lecz ochrona kazała go znowu zatrzymać). Uspakajałem go, właściwie upewniałem, że go uwolnią napewno, że ochrona nic do niego nie ma, podburzałem, by zażądał od zawiadowcy natychmiastowego uwolnienia. Zawiadowca nie ma prawa go trzymać po dostaniu papieru z sądu, lecz nie chciał go puścić bez rozporządzenia Utgoffa. W niedzielę Utgoff go nie przyjął, w poniedziałek miał znowu być u niego o 2-ej, o 4-ej. Wachmistrz, znany tu jako manjak-kłameca, powiedział, że Utgoffa zawiadowca i dziś nie zastał. Nagle o 1/2 6 kazano B. ze wszystkim się pakować. „Do ratusza?“ — „Nie, prosto za bramę“. Jak grom spadło. Nie wiedział, co pierwaj chwytać, — mnie serce się ścisnęło. Co robić? Cały spokój gdzieś zginął. Zapakowałem jego rzeczy i nastała potem chwila ciszy. Ja już cieszyłem się za niego — a teraz, pusta cela moja, przekłęte ściany, dlaczego nie ja, kiedyż ja. „Alosza, spełnijcie prośbę moją, pamiętajcie“ — mówiły usta moje wykrzywione i chłodne. Jakże szalenie uściśnął mię, żegnając się. „Przekłęta Polska, ile wycierpiałem tutaj... nic, nic mnie tutaj

nie wiąże... byle pędzej..." A ja mu wtedy zimno: „Przecież już pędko, zaraz — idźcież." I poszedł.

Lubiłem go, taki młody — i czysty — i tyle ma przed sobą. W godzinę potem przyprowadzono Kalinina. Był tydzień u mnie. Po rewizji rozłączono go z przyjacielem Pańkowem.

Zawiadowca kazał napisać prośbę do Utgoffa, inaczej sam nie może ich razem posadzić. Utgoff odpowiedział, że nie ma już nic przeciwko temu (przecież już po sądzie i komedja niepotrzebna). Teraz siedzą razem. Ojciec Pańkowa, pułkownik kozacki na dymisji, ojciec Kalinina — podpułkownik, obecnie „woinskij naczalnik". Rodzina Kalinina czysto wojskowa; rodzice przyjechali zaraz już po sądzie i nie mogą się pogodzić, by on, który miał przyszłość świetną (miał wstąpić do akademji), miał być na katordze, zostać pozbawionym praw. Matka wciąż płakała, potem tłumiła łzy i jego pocieszała. Nie może nic zrozumieć. Skąd to i jak to? Była pewna, że Skałon zamieni, a gdy powiedziano jej, że jeżeli on sam nie napisze prośby do Skałona, nie będzie, przyszła i póty błagała i prosiła go, aż się zgodził on i inni (on inaczej bezwarunkowo odmówi) podać prośbę następującą: „Proszę o złagodzenie wyroku" — i tyle. Nie zmienił. Do podania prośby na imię cara nie dali się nakłonić, rodziny więc podały same. Matka K. jest pewna, że car zmieni wyrok, a jeżeli nie, ona za 3 miesiące znowu poda prośbę, a potem znowu i znowu. Pańkowowi zamieniono — i smutni obydwaj są, że będą wkrótce rozłączeni. Po sądzie rodzice K. przychodzili do niego codzień — bawili po 2½ godziny, bez siatki, w kancelarji. Te widzenia były dla niego okropne, jakby własny pogrzeb. Męczyły. Młody i silny — starał się nie dać poznać po sobie. — 6 lat w katordze nie będzie siedział — to coś tak bezsensownego, bezmyślnego. On — inteligentny, młody, silny, nie ma już żyć, ma być zupełnie odcięty? Nikt nie może się z tym pogodzić. Szczególnie on, który wierzy — nieświadomie może — w wyższość swego rozumu, swą siłę woli, swą zdolność do czynu wielkiego, potężnego. Za nim pójdą ludzie, a nie on za ludźmi. Partja i partyjność są dlatego wstrętne dla niego. Wola człowieka — to wszystko. Jest przystojny, młody, inteligentny — cóż mu się oprze. Te mury bezmyślne. Brrr... nie chce. Zna siebie tylko — za swoje czyny będzie niósł sam odpowiedzialność — nie dba o opinię — wstrętny mu jest tylko „brud". „To brudne" — oto cała krytyka. Jest „prjamoliniejny": wszystko, co popełniłem, jest moje, dlatego nie znam wyrzutów. Czuć w tym siłę młodości, trochę pozy i dużo wątpliwości może co do siebie samego. W każdym razie typ ciekawy i interesujący. Człowiek, który może pójść bardzo wysoko, a także upaść i bardzo nisko, jeżeli zaskoczy go chwila słabości — wtedy powie sobie: słabość ta to ja, ta droga to moja droga. A zresztą według rosyjskiego przysłowia „cudza dusza jak ciemności" — a nawet i własna. W przeciągu tygodnia trudno było go poznać i znam go trochę tylko z własnych jego słów. Teraz znowu siedzę sam. Widzenia od 3 tygodni nie mam, listów od 2 miesięcy. Czy co się stało? — Co? Może konfiskują listy, karty — i nic nie dochodzi.

Myśl wysnuwa najokropniejsze obrazy — to wszystko być może, a ty nic nie wiesz i nie możesz wiedzieć. Cztery ściany. Jakże tu obcy jestem, jakże są wstrętne. Czyż nie wyjdę stąd przez cały dzień dzisiaj — i jutro i pojutrze? Okropne. Jest sąsiad obok — i chcę pukać mu, że go kocham, że bez niego żyćbym nie mógł, że przez ścianę można być szczerym i można oddawać siebie i nie wstydzić się. A tamci tak daleko. Co napisać im? znowu tęsknotę swoją? Jestem z nimi zawsze — wiedzą o tym, a pamięć ich jest szczęściem moim.

(d. c. n.)

Kwestja indyjska¹⁾.

Napisał K. Radek.

I. Uwagi wstępne.

„Oskarżam go w imieniu izby gmin, której zaufanie zawiódł. Oskarżam go w imieniu narodu angielskiego, którego cześć zhańbił. Oskarżam go w imieniu ludności indyjskiej, której prawa podeptał nogami i której kraj zamienił w pustynię. Nakoniec w imieniu natury ludzkiej, w imieniu płci obojga, w imieniu każdego wieku i wszelkiej godności, oskarżam go, wspólnego wroga i ciemńyziciela wszystkich“. Tak grzmiał przeciw Warren Hastingsowi, pierwszemu namiestnikowi Anglii w Indjach, największemu budowniczemu potęgi angielskiej w Indjach, w obliczu zgromadzonych posłów, parów, dworu królewskiego, jako publiczny oskarżyciel Edmund Burke, a głos jego brzmiał potężnie w olbrzymiej hali, w której skazany został ongiś Bakon, w której Karol I wysłuchiwał wyroku śmierci. Tym patetycznym oskarżeniem skończyły się rządy Warren Hastingsa, który położył kamień węgielny pod panowanie Anglii w Indjach. Później gdy padało z trybun parlamentu angielskiego imię Indji, gdy dochodziły do wiadomości publicznej wieści o okrucieństwach, popełnianych w Indjach, gdy w r. 1857 generał Cooper opowiadał ze spokojem historję przeokrutnego tłumienia rebelji Sipajów, opowiadania te nie zdołały już wzbudzić tego oburzenia, które straciło wielkiego Hastingsa z piedestału i postawiło go przed sądem. Anglja ugruntowała swe panowanie w Indjach, uczyniła z nich źródło bogactw, któremi się tysiące rodzin angielskiej burżuazji obławiało,

1) Opieram się w poniższym artykule przeważnie na następujących pracach: 1) John Strachey: *India, its administration and progress*, London, 1903; 2) H. M. Hyndman: *The Unrest in India*, London 1907; 3) J. Keir Hardie: *India, Impressions and sugestions*, London 1909; 4) Walther: *Die englische Herrschaft in Indien*, Halle 1906; 5) H. Egerton: *A short history of British colonial policy*, London 1897; 6) *Memorandum on Some of the results of Indian Administration during the past fifty years by British Rule in India*. (Presented to Both Houses of Parliament by Command of His Majesty); 7) szereg artykułów, rozproszonych po czasopismach angielskich i niemieckich. Książki cytowane, a nie przytoczone w powyższym spisie, były cytowane w wyliczonych powyżej pracach.

i mogła przystąpić do metod grabienia kraju, które, choć ubieliły kośćmi miljonów Hindusów ziemię indyjską, nie działały już jaskrawością obrazów na nerwy „humanitarnej” Anglii. Po roku 1857 rozpoczyna się okres „normalnych” rządów angielskich i od tego czasu niedola Hindusów przestaje być przedmiotem zainteresowania w Anglii i Europie, choć nie brakło głosów, uporeczywie na nią wskazujących.

Od r. 1878, w którym pojawił się w poważnym miesięczniku londyńskim w *Nineteenth Century* artykuł Hyndmana, późniejszego przewodcy angielskiej Socjaldemokracji, p. t.: „Bankruptcy of India” (bankructwo Indji), autor ten i inni w całym szeregu dzieł obnażali rany ludu indyjskiego, lecz poza ruchem socjalistycznym wołania ich nie znajdowały echa. Opinię angielską zaprzętała tylko troska o utrzymanie panowania angielskiego w Indjach, któremu jej zdaniem groziły nie skutki angielskich rządów, nie lud Indji, lecz tylko niebezpieczeństwo zewnętrzne, niebezpieczeństwo ze strony Rosji. Ironja losu sprawiła, że gdy po ostatniej porażce caratu na Wschodzie pierzchła zmora rosyjskiego niebezpieczeństwa, w tej samej chwili ukazał się oczom Anglii upiór buntu ciemżonego ludu indyjskiego, uprzytomniło się świadomości burżuazji angielskiej niebezpieczeństwo indyjskie, jako owoc rządów angielskich.

Tym „niebezpieczeństwem”, tak brzemienym w skutki dla międzynarodowego kapitalizmu, tak symptomatycznym dla warunków jego przyszłego rozwoju, zajmiemy się w niniejszym szkicu, mogącym ze względu na jego szczupłe rozmiary tylko w najogólniejszych zarysach przedstawić sprawę indyjską.

II. Stan rzeczy w Indjach.

Dla uprzytomnienia doniosłości kwestji indyjskiej wystarczy przypomnieć, że jest ona kwestją położenia 294 miljonów ludzi, t. zn. prawie tylu, ilu zaludnia Europę, kwestją stosunków politycznych i ekonomicznych kraju, mającego 4 438 700 km², czyli tak wielkiego, jak Europa bez Rosji. Rozpocznijmy zobrazowanie stanu spraw indyjskich od przedstawienia życia ekonomicznego ludności indyjskiej, wpływu, jaki na życie to wywiera przynależność Indji do Anglii. 80⁰/₀ ludności żyje z rolnictwa. Jakież jest jej położenie, o ile zmieniło się ono przez 100 lat utrwalonego panowania angielskiego? Najbardziej może charakterystyczną oznaką jakości pracy cywilizacyjnej, spełnionej w Indjach przez Anglików, jest fakt, iż naogół nie ulepszyły się wcale sposoby, zapomocą których ludność uprawia rolę. Jeżeli się przytym weźmie pod uwagę fakt, że dzięki zewnętrznemu pokojowi, jaki zapewniło panowanie angielskie krajowi, ludność indyjska się potroiła, to zrozumiałym jest, że przy stagnacji rozwoju ekonomicznego już ten fakt oznacza powstanie względnego przeludnienia, a więc pogorszenie się położenia ekonomicznego ludności rolniczej. Pogorszenie to wzrasta tymbardziej dzięki systemowi podatkowemu, jaki Anglicy wprowadzili do kraju. Obrońcy angielskich rządów powołują się chętnie na

fakt, że za czasów istnienia państwa Wielkiego Mogoła zostawiano rolnikowi tylko tyle plonu, by mógł wyżywić się do przyszłego żniwa, że w XVI w. zabierano 33⁰/₀ żniwa, że w państewkach, na które się państwo Wielkiego Mogoła rozpadło, oddawał rolnik 40—54⁰/₀ zbiorów, gdy tymczasem teraz podatek gruntowy w bezpośrednio Anglii podległych częściach Indji wynosi 8—10⁰/₀, w podległych zaś ksiąstewkach (native states — jest ich w Indjach 300 z 60 milionami ludności) 15—20⁰/₀. Cyfry te niezbyt odpowiadają prawdzie zdaniem wielu znawców stosunków indyjskich: Hindus, piszący w angielskiej prasie pod pseudonimem Banda Materam, oblicza, że podatki gruntowe wynoszą 25⁰/₀ dochodu rolnika. Wobec trudności skontrolowania tych cyfr nie będziemy kruszyli kopji w obronie którejkolwiek z nich. Ważniejszą jest rzeczą, że zaszły bardzo doniosłe w następstwach swych zmiany w zewnętrznych warunkach gospodarki chłopu indyjskiego; niemożna bowiem zapominać, że w owych czasach chłop płacił podatek w naturze, że nie miał sposobności ani możności sprzedawania zboża. Obecnie, aby zapłacić podatek, chłop zboże sprzedaje — ułatwiają mu to koleje, których sieć wzrosła od roku 1898 do 1907 z 22 do 30 tys. klm. — sprzedaje je zaś po cenach dowolnie przez Anglików naznaczanych; otrzymany pieniądz rozchodzi mu się szybko na towary, importowane do kraju przez Anglików, na opłacenie lichwiarzy, do których pomocy ucieka się w tak częstych opresjach. A jakżeż wzrosła zależność ludności rolniczej od lichwiarzy! „Przedtem wiedział lichwiarz, że życie jego jest niepewne, jeżeli zbyt wielkich domagać się będzie procentów — pisze lord Roberts w książce: 41 lat w Indjach, cytowanej w jednym z podanych wyżej źródeł. — Jeżeli zbyt się zbożycił, to urzędnicy państwa postarali się, by odebrać mu część bogactw i to nie najmniejszą. Obecnie lichwiarze wykorzystują uporządkowane angielskie sądownictwo, by wyzuć coraz większą część głupich i rozrzutnych chłopów z gruntu i domu.“ Zmiany te w położeniu rolników przyczyniły się też do nadania olbrzymich rozmiarów klęsce głodowej, która od czasu do czasu nawiedza Indje. Kraj nawiedzają w zależności od perjodycznej posuchy i na skutek kompletnego zaniedbania starodawnego systemu sztucznej kanalizacji pod rządami angielskimi perjodyczne nieurodzaże i gdy dawniej rolnik, nie mogąc sprzedać ryżu, przechowywał niespożyte zapasy na czasy głodu, obecnie kapitał angielski wywabia te zapasy od chłopu indyjskiego i w tej samej chwili, gdy burżuazyjna prasa angielska chwali Indje jako śpichlerz Anglii, w Indjach umierają miliony ludności z głodu. Liczbę zmarłych z głodu w przeciągu 9 lat (od roku 1891 do 1900) określa angielski burżuazyjny badacz Wiljam Digby (w pracy „Prosperous British India“) na 10 milionów ludzi. Jest to cyfra ludzi, którzy dosłownie zginęli z głodu, jak giną ptaki na przymrozku. Liczby zmarłych na dyzenterję, naskutek spożywania najrozmaitszych niestrawnych rzeczy, niepodobna wcale dokładnie oznaczyć. Przybliżone pojęcie o masie ginących z głodu ludzi dają następujące cyfry z statystyki urzędowej: wskutek dwóch lat głodowych liczba ludności w dziesięcioleciu 1872 — 1882 wzrosła tylko

o 1⁰/₀; w następnych 10 latach wzrosła o 10⁰/₀, zaś w następującym znów dziesięcioleciu z powodu jednego głodowego roku również tylko o 1⁰/₀. Cóż znaczą wobec tego owe kilka milionów funtów, jakie z przeszło 50 milionów funtów szt. wydatków rocznych w Indjach obraca rząd na pomoc dla głodnych! Ze specjalnym naciskiem obrońcy polityki kolonjalnej zwracają uwagę na prace irygacyjne, jakie przeprowadzili Anglicy w Indjach dla walki z posuchą. Zapominają tylko dodać, że w Indjach istniały już od wieków sieci całe tych urządzeń irygacyjnych, zanim Indie dostały się pod panowanie angielskie, że Anglicy zaniedbali je zupełnie i przypomnieli je sobie dopiero po wielkich głodach lat osiemdziesiątych z. w.; o ile zaś chodziło im o walkę z posuchami i głodem ludności, o tym świadczy fakt, że kapitał, zaangażowany w owych 43 tys. mil. angielskich kanałów, przynosi przeciętnie 7⁰/₀ zysków, że np. za kanał chenabski wyciskają angielscy kapitaliści 21⁰/₀ zysków z biednych chłopów. Obok zysków tych warto postawić następujące cyfry, zestawione przez byłego wicekróla indyjskiego lorda Curzona. W Rosji przypada na głowę ludności rocznego dochodu 11 f. sz.,¹⁾ w Niemczech 22, we Francji 27, w Ameryce 39, w Anglii 42, w Indjach zaś 2 f. sz. Wspomniany zaś Digby, którego tow. Keir Hardie poczytuje za autorytet, oblicza roczny dochód Hindusa na 1¹/₂ f. sz.

Tyle o ludności rolniczej i rolnictwie. Przejdźmy do przemysłu. Indie posiadały ongi wysoce rozwinięty przemysł rzemieślniczy i domowy. Pierwszym czynem cywilizacyjnym Anglii po zdobyciu Indji było zniszczenie tego przemysłu, który wyrabiał materje wełniane, bawełniane, jedwabie, posiadające ugruntowaną sławę. „Zmusiliśmy Indie do przyjmowania naszych towarów albo zupełnie bez cła, albo za bardzo niskim“, powiada Digby. Angielski kapitał wywozi z Indji wszelakie surowce lub półfabrykaty, które, po wykończeniu ich fabrycznym w Anglii, zalewa następnie rynek indyjski. Tak np. według cyfr, podawanych przez Pawła Rohrbacha, wywieziono w r. 1905/6 za 500 mil. marek bawełny, za 400 mil. m. juty, za 250 mil. marek ryżu. Jak zaś wychodzi ludność indyjska na tej zamianie, o tym świadczy fakt, podany przez Keir Hardiego, że podczas gdy przed laty dziesięciu płaćta za 15 seers (ind. funt) ryżu 1 rupję (60 kop.), obecnie za tęż cenę otrzymuje tylko 6 seers. Tyle korzystają z błogosławieństwa przemysłu Hindusi jako konsumenci. Położenie ich jako wytwórców surowca oświeśla dostatecznie fakt, że kapitał angielski prawie że samowolnie dyktuje ceny surowca i półfabrykatów. Co zaś daje przemysł Hindusom jako najmitom, wynika z faktu, że płaca robocza 400—600 tysięcy robotników wynosi 10 do 15 kop. dziennie; że rząd angielski nie myśli wcale o wprowadzeniu w Indjach jakichkolwiek praw ochronnych, nie potrzeba wcale dodawać.

Tak wygląda położenie ekonomiczne ludności indyjskiej. Cóż

¹⁾ Curzon stanowczo przecenia przeciętny dochód przypadający na głowę ludności rosyjskiej: źródła rosyjskie uważają go za bardzo znacznie niższy.

robi cywilizowany rząd angielski dla kulturalnego dźwignięcia jej?... Oto po 100 latach ugruntowanego panowania angielskiego 90% ludności męskiej i 99% ludności żeńskiej (w r. 1901) — to analfabeci. Do szkół ludowych chodzi 5,7 (w r. 1907) miliona dzieci. Jak zaś te szkoły wyglądają, przedstawia wymownie Keir Hardie na podstawie tego, co widział w pobliżu Benares, a więc w warunkach stosunkowo lepszych: są to lepianki, pokryte słomą; dzieci w szkołach tych odbierające „wykształcenie“, są przez pół wygłodzone (czterech chłopców przynosi do szkoły jako całodzienne pożywienie sto kilkanaście gramów surowej kukurydzy...). Na szkoły te wydaje rząd z centralnego indyjskiego budżetu 2 miliony rb. rocznie. Koszta utrzymania tych szkół ponosi ludność niezależnie od podatków, opłacanych na zarząd centralny; mimo to — jak świadczą ludzie, badający stosunki na miejscu, — płaci je ochotnie, wysoce bardzo ceniąc oświatę.

Przejdźmy do administracji; niestety nie możemy wdać się w szczegóły i możemy dać tylko bardzo ogólny jej obraz. Pierwszą cechą jej jest zupełna niezależność od jakiegokolwiek kontroli parlamentarnej, aczkolwiek formalnie wykonywa ją Izba posłów w Londynie; jeżeli się zważy jednak, że obrady nad budżetem indyjskim zajmują jej zazwyczaj 1 (wyraźnie jeden) dzień, to jasnym jest, że należy je uważać tylko za podkreślenie zupełnego braku kontroli. Na czele administracji stoi wicekról indyjski, któremu dodana jest rada, naznaczana przez rząd w nieznacznej tylko części z Hindusów, nieposiadająca funkcji prawodawczych, lecz jedynie doradcze. Przed miesiącem zapowiedziana reforma, która ma wejść w życie już w styczniu 1910 r., stwarza nową instytucję — Radę Naczelną, złożoną z 68 członków; rada ta nie będzie jednak również posiadała kompetencji prawodawczych, lecz tylko doradcze; dalej liczba członków jej mianowanych przez rząd ma o 3 zgóry przewyższać liczbą członków wybranych. Przy rozległości kraju i małej liczbie posłów nie można się nawet spodziewać, by rada ta była organem kontrolującym. Tak więc samowładztwo biurokracji angielskiej pozostaje nadal nietknięte. Zarząd olbrzymiego państwa należy do instytucji, zwanej Civil service of India, w której w roku 1902 było na 1067 urzędników 40 wszystkiego Hindusów. Niższemi urzędnikami są przeważnie Hindusi. Podczas kiedy dawniej Anglik, wyprawiający się na służbę do Indji, wiedział, że zostaje tam dziesiątki lat, przy obecnym rozwoju komunikacji przyjeżdża zgóry z zamiarem dosłużenia się emerytury, którą formalnie otrzymuje po 20 latach służby, faktycznie jednak często już po 5-ciu. Znając kraj tylko z książek lub gazet, przejęty jedyną myślą utrzymania panowania angielskiego i osobistej kariery, nie chce i nie może myśleć o potrzebach kraju, gdyby to było dlań nawet możliwe ze względu na cele panowania angielskiego. Biurokracja angielska w Indjach jest wysmienicie płatna (8 tys. urzędników angielskich pobiera 5 333 339 f. szt., gdy tymczasem 130 tys. niższych urzędników hinduskich pobiera tylko 4 666 667 f. szt.), a jeśli biurokracja angielska w Indjach nie jest tak zzarta przez

korupcję, jak np. nasi „obrusitjele“, to jednak nie jest ona ani o włos przychylniejsza interesom ludności hinduskiej. Urzędnicy zaś tubylcy mogą być jeno ślepemi wykonawcami woli wielkorządców angielskich. Urzędnik, który się odważy donieść w swym raporcie do wyższej władzy o panowaniu głodu w okolicy, uznanej urzędowo za nienawiedzoną przez głód, traci posadę. Tak wygląda administracja kraju. Sądownictwo, zorganizowane w zupełnej niezależności od zwyczajów i poglądów masy ludności, może jedynie w sposób całkowicie mechaniczny załatwiać sprawy mu powierzone; o jakimkolwiek związku między sądownictwem a pojęciami prawnymi ludności niema mowy. Jedyną funkcją, którą instytucja sprawuje dobrze, to funkcja stróża, pilnującego, by ludność wykonywała sumiennie włożone na nią obowiązki wobec kapitału, t. j. płaciła długi.

Taki oto jest obraz pracy cywilizacyjnej, dokonanej przez najlepszych kolonizatorów, jakich zna świat kapitalistyczny. Polem ich działalności jest kraj, który ongi ściągał na się oczy całego świata, jako kraina bajecznych bogactw naturalnych, kraj, posiadający mimo wojen i zaborów, które go oddawna niszczyły, wysoką i starodawną kulturę. Dziś kultura ta zniszczona, resztki jej wprost dogorywają. Keir Hardie opowiada o warsztacie Bhagwana Gopi Natha w Benares, który od setek lat wykonywał przedziwne brokaty srebrem tkane, które widzieć należy, aby je móc ocenić: dziś tracą chleb jego robotnicy, w których ucieleśniona jest kultura rzemieślniczo-artystyczna tysiącleci. Zniszczywszy swoistą prastarą kulturę indyjską, kapitał angielski nie wprowadził do Indji nawet tej ordynarnej manczesterskiej kultury pracy w fabrykach i kopalniach, kultury koszar fabrycznych, kultury masowego wyrobu perkalików, która zdobi starą Europę. Nic — jeno pauperyzm mas. „Indje ubożeją z każdym rokiem — powiada tak obiektywny badacz jak Rohrbach. — Są one jak cytryna, którą Anglja wyciska bezlitośnie, ale jasnym jest, że procedura może potrwać nie dłużej, niż starczy soków w owocu“ (Deutschland unter den Weltvölkern, str. 168). Tak rozwija kapitalizm siły produkcyjne kolonialnego kraju. A poczty, telegrafy, o których wzroście z dumą pisała w zeszłym roku prasa angielska w 50 rocznicę edyktu królowej Wiktorji, zapowiadającego Indji nową erę? Tak, liczba urzędów pocztowych wzrosła od r. 1896 do 1906 z 11 tys. do 16, długość linii telegraficznych z 46 mil ang. do 64, kolei z 20 tys. m. ang. do 30. Ale w cyfrach tych maluje się nie wzrost kultury kraju, lecz wzrost środków panowania angielskiego nad ludnością indyjską. Kto cyfry te uważał za dowód i objaw tych dodatnich stron kapitalistycznej polityki kolonialnej, która niszcząc buduje równocześnie, jak kapitalizm to czyni, ten dowodzi tylko, że widzi jeno powierzchnię, luźne cyfry, a nie spostrzega rzeczywistości, która za nią się kryje.¹⁾

¹⁾ W XV roczniku *Neue Zeit* (II t.) Edw. Bernstein poddał ostrej krytyce prace Hyndmana o Indjach, zarzucając mu przesadę, nieuwzględnianie owych „dobrych stron“ kolonialnej polityki Anglii. Obecnie dożył Bernstein tej pociechy, że angielski oportunistą socjalistyczny Keir Hardie, zwiedziwszy Indje, w zupełności przyłącza się w cytowanej kilka-

III. Ruch anti-angielski w Indjach.

Od czasu zwycięstwa japońskiego, które wogóle stanowi epokę w historii Azji, — nie w tym coprawda znaczeniu, by stworzyło nowe życie w Azji, lecz w tym, że wydobyło na jaw przygotowywające się od dawna przemiany — nie znikają ze szpalt prasy wszechświatowej wiadomości o ruchu, ogarniającym coraz szersze warstwy ludności indyjskiej, a skierowanym przeciw rządowi angielskim. Ruch ten bardzo niejednorodny, składa się bowiem z przejawów życia najrozmaitszych grup społecznych, z łatwością daje się rozklasyfikować na cały szereg odrębnych prądów. Dwa z nich szczególnie zwracają uwagę opinii społecznej: ruch burżuazji i inteligencji.

Burżuazja hinduska rekrutuje się przeważnie z mahometan, którzy dotychczas uchodzili za podpory panowania angielskiego. Stanowiąc mniejszość — 62 miliony mahometan przypada na 208 milionów ludności, wyznającej mieszaninę braminizmu z buddyzmem, t. j. właściwą religję hinduską — do tego mniejszość, rozproszoną na całej przestrzeni Indji, z natury rzeczy starała się znaleźć oparcie w rządzie angielskim przeciw wrogiej im hinduskiej ludności, której wrogość pochodzi jeszcze z czasów, gdy plemiona arabskie wpadły w VIII wieku po Chrystusie do Indji, gwałtem niemi za władnęły, czyniąc religję Mahometa religią warstwy panującej. Burżuazja rozwinęła się w Indjach nie dzięki, lecz wbrew woli Anglii: rozwój wymiany zamiemni dawnych nababów, posiadających od wieku nagromadzone skarby, nietylko w lichwiarzy, lecz również w wielkich kupców, bankierów, jużto pomagających dzięki znajomości stosunków miejscowych kapitałowi angielskiemu do eksploatowania kraju, już to na własną rękę go eksploatujących. Zwiedzając często w interesach handlowych Anglię, mieszkając w niej niejednokrotnie długo, przedstawiciele burżuazji indyjskiej zrozumieli, że kapitał angielski spija im śmietankę, że w jego rękę znajduje się produkcja towarów, zalewających rynki indyjskie, podczas gdy oni muszą ograniczyć się do pośredniczenia lub wyrobu surowca, półfabrykatów. Stworzenie własnego przemysłu, usamodzielnienie się ekonomiczne względem Anglii, oto cel burżuazji indyjskiej, bojkot towarów angielskich, t. zw. ruch swadeski, oto środek do celu tego prowadzący. Ruch ten wobec słabości indyjskiego przemysłu i bardzo małego uświadomienia masy ludności może mieć znaczenie niezbyt wielkie; aby mu nadać większą wagę, popiera inteligencja hindu-

krotnie książce do wywodów „jednostronnego“ Hyndmana. Tak to nietylko burżuazji angielskiej sprawiają Indje kłopoty. W ostatnich latach kontynuuje pracę w ten sposób przez Bernsteina rozpoczętą M. Beer, korespondent londyński kilku niemieckich pism socjaldemokratycznych. Do czego prowadzi podobna metoda spisywania cyfr ze statystyk angielskich, na to jeden przykład. W artykule: *Indje angielskie i reformy* (Vorwaerts z dnia 25 listopada 1909 r.) podaje autor między innemi nagłymi cyframi, ilustrującymi postępy kultury w Indjach, że suma podatków, opłacanych przez Hindusa rocznie, zrówna się 3,27 marki (około 1 r. 55 kop). Cyfra ta, mierzona niemieckimi stosunkami, a tak oceni ją niemiecki robotnik — jest bardzo niska, inaczej całkowicie przedstawi się fakt, jeżeli się zważy, że Hindus zarabia rocznie około 40 marek.

ska Japończyków w ich dążeniu do zawiązania stosunków z Indjami; że agitacja za towarami japońskimi osiąga swój skutek, o tym świadczy fakt, że suma importu np. bawełnianych towarów japońskich do Indji w ostatnich latach ciągle wzrasta.

Szersze o wiele cele stawia sobie inteligencja hinduska, gdyż wchodzi ona w ruch z całym zasobem liberalno-demokratycznego poglądu na świat, który nabyła w zetknięciu z cywilizacją angielską. Rząd angielski i kapitaliści angielscy nie zapuścili tak dalece korzeni w glebę indyjską, by mogli się obyć bez niższych kategorii jako tako wykwalifikowanych współpracowników hinduskich. Dlatego rząd zakładał szkoły średnie, w których Hindusi poznawali prawodawstwo i literaturę angielską, przejmowali się poglądami Miltonów i Millów. Tymczasem rzeczywistość przeczyła jaskrawie poglądom, które z dzieł angielskich, z prasy angielskiej do nich przesiąkały. Równość polityczna bez względu na religię i narodowość, a oni pozbawieni byli wszelkich praw politycznych, nie mieli — wręcz wyraźnemu brzmieniu prawa, obowiązującego w Indjach, — przystępu do wyższych lub nawet średnich urzędów! Samorząd! a oni są rządzeni przez garstkę obcych. Do tego przylączyła się nieznosna dla wykształconych Hindusów pycha Anglików, pomiatanie ludnością rasy brunatnej, bez względu na wartość osobistą poszczególnych jednostek. W tych warunkach nagromadzonej nienawiści potrzeba było tylko złamania wiary w bezwzględną wyższość europejczyków, by powstał ruch inteligiencki, skierowany przeciw Anglii. Wiara ta została nadwierzona przez traktat angielsko-japoński w r. 1902,¹⁾ a zdruzgotana na polach Mandżurji. Zwycięstwo japońskie wywarło w Indjach wrażenie, nie dające się wprost opisać. Wszak Anglja uważała Rosję za swego najniebezpieczniejszego wroga, wszelkie jej przygotowanie w Indjach miały na oku niebezpieczeństwo rosyjskie; Azjaci jednak, Japończycy pokonali Rosję... Myśl o możliwości zwycięskich zapasów z Anglią zrodziła się i rozpowszechniła z olbrzymią szybkością. Samorząd Indji, niepodległość, stały się przedmiotem gorących sporów w kołach hinduskiej inteligencji. Rozpowszechnianiu się tych idei sprzyjała względna swoboda prasy, która od r. 1835 istniała w Indjach. Wobec nieruchomości indyjskiego społeczeństwa uważali ją Anglicy za swobodę, która im nie może zaszkodzić. Obudzony ruch indyjski uczynił z prasy tej potężny oręż agitacji, którego Anglicy od razu mu wydrzeć nie śmieją, choć starają się go znacznie ograniczyć zapomocą drakońskich kar, administracyjnie na delikwentów prasowych nakładanych. Prasa, zgromadzenia — to tylko jedna część środków, których się chwytą inte-

1) Niektórzy pisarze angielscy przeczuwali podobny skutek traktatu z Japonją. Tak np. pisał wysoki oficer indyjski przed 10 laty: „Wbrew Dilkemu nie sympatyzuję wcale z myślą o związku japońskim, ani też jakkolwiek inną potęgą azjatycką przeciw europejskiej, choć można twierdzić, że Rosja jest raczej azjatyckim, aniżeli europejskim państwem. Cyt. u Grulewa: Sopiernichestwo Rossii i Anglii w średniej Azii Petersburg 1908 r. (Str. 19 niem. przekładu, wydane go w Lipsku 1909 r.)

ligiencja hinduska w walce z angielskim samowładztwem. Bomba i rewolwer — oto broń dalsza. Pojawiła się ona w ręku inteligencji hinduskiej z tych samych powodów, co w rękach rosyjskich zdeklasowanych inteligentów, rozpoczynających walkę z caratem. Nie anarchizm ideowy, jak to trąbi prasa burżuazyjna całego świata, lecz nieruchomość masy włościaństwa indyjskiego, brak ruchu masowego wśród robotników hinduskich — strejki powszechne, demonstracje, które z rozmaitych powodów żywiołowo wybuchały wśród tych miljonowych rzesz parjasów, pracujących po 16 godzin dziennie, są dopiero zwiastunami tego ruchu — oto źródło terrozystycznych zapędów hinduskiej inteligencji.

Ruch, który się rozpoczął wśród inteligencji i burżuazji, sięga swemi wpływami w lud wiejski i miejski, nadając jego rozruchom, wynikającym z powodów lokalnych i ekonomiczno-politycznych, jednolity charakter. Burżuazyjna prasa angielska alarmuje raz po raz z powodu podobnych rozruchów, widząc w nich początek ruchu masowego, skierowanego przeciw panowaniu angielskiemu. I nie ulega wątpliwości, że prasa burżuazyjna ma więcej racji, choć przesadza w alarmach, aniżeli ci, którzy — jak Keir Hardie — starają się uspokoić burżuazję, że to tylko ruch o charakterze lokalnym. Nigdy nie powstawał ruch szerokich mas chłopskich, jako jednolity, zdążający odrazu do jednego i to politycznego celu. Jest to właśnie siłą tego ruchu i jego niebezpieczeństwem, że wytryska on ze źródeł ucisku ekonomicznego i administracyjnego, gniołącego lud na całej linii; tylko z biegiem czasu może się zlać w jeden potężny strumień. Zresztą dla rządu angielskiego jest rzeczą dość obojętną, czy zostanie zaatakowany na całej linii z powodów ogólnych, czy też będzie zagrożony w tysiącach punktów z powodów „lokalnych”. Te powody lokalne są bowiem tylko przejawem ogólnego systemu panowania angielskiego w Indjach i dają się tylko z nimi razem wykorzystać. Wojskowe siły Anglii w Indjach: 77 tysięcy żołnierza angielskiego, 157 tys. indyjskiego — nie wystarczą przy roztoczeniu się tego ruchu na szerszym obszarze do stłumienia go.

IV. Perspektywy panowania angielskiego w Indjach.

Znaczenie Indji dla handlu angielskiego często przeceniano, czego najlepszym dowodem są następujące cyfry: gdy wymiana angielska z Europą wynosiła w r. 1906 381,6 mil. f. szt., z Ameryką 248,3 mil. f. szt., wymiana z Indjami wynosiła wszystkiego razem 186,5 (mieszczą się w tym już cyfry wywozu do Birmy) przyczem podczas gdy wzrost stosunków handlowych z rozwiniętymi przemysłowo krajami ma jeszcze wielką przyszłość przed sobą, wzrost wymiany z Indjami jest znacznie ograniczony dzięki małej zdolności nabywczej ludności indyjskiej. Nie tu więc główne źródło twardego oporu, jaki stawia burżuazja angielska wszelkim zamachom na jej panowanie w Indjach. 500 milionów f. szt. zainwestowanego w Indjach kapitału angielskiego, który — obliczając po 5% zysku — daje burżuazji angielskiej rocznie 25 milj. f. szt., suma ta, powiększona

o pensje, pobierane przez urzędników cywilnych, wojsko angielskie, i t. d., wzrasta do 55—75 mil. f. szt. (cyfry te wahają się w rozmaitych obliczeniach: gdy pierwszą przyjmuje Keir Hardie (l. c. str. 1), drugą przyjmuje Hyndman w artykule: *The ruinous dyani of Wealth from India*, *Justice* z 21 sierpnia 1909). Podczas bowiem gdy oderwanie się Indji lub zdobycie przez nią szerokiej autonomji nie tylko nie musiałyby zachwiać handlu angielskiego z Indjami, lecz mogłyby go jeszcze na długi okres czasu rozszerzyć, bezwzględne wysysanie ludności indyjskiej drogą polityczną skończyłoby się. Dlatego też najzaciętsi przeciwnicy reform w Indjach mieszczą się nie w szeregach angielskiej przemysłowej i handlowej burżuazji, lecz w sferach byłych urzędników i oficerów indyjskich, grupujących się około partji konserwatywnej, która w każdej najdrobniejszej reformie, zaprowadzonej w Indjach, widzi początek końca angielskiego panowania. Ale i liberalna burżuazja, tak okrzyczana z powodu swego politycznego dalekowidztwa, nie myśli o żadnych gruntownych reformach.

Wprowadzone niedawno przez nią zmiany, nadające bogatym Hindusom prawa wyborcze do rad wykonawczych i doradczych, centralnych oraz prowincjonalnych i okręgowych, zdolne są raczej drażnić niż uspokajać Hindusów, którzy w radach tych mogą grać rolę chyba marionetek. Mianowanie ministrem sprawiedliwości Hindusa Sinha, byłego nadprokuratora, który obrósł w pierze pod opieką lorda Curzona, mianowanie Hindusa, przejętego duchem imperjalistycznym, zniechęconego przez mahometan indyjskich nie może naturalnie wywrzeć innego wrażenia, niż wyraźnej prowokacji. Gnębienie prasy hinduskiej, o które po zamordowaniu w Londynie wysokiego urzędnika anglo-indyjskiego przez terrorystę indyjskiego Dhingrę wołała cała prasa burżuazyjna, rozpędzanie zgromadzeń, zakaz studjowania w Japonji, są to środki tak oczywiście do celu nieprowadzące, że niewarto o nich wcale się rozpisywać. Gnębienie ruchu indyjskiego może tylko podniecać Hindusów i przyspieszać wzrost powstania. To jasne. Niemniej jednak jasne jest, że nielepszy skutek sprowadziłoby dla burżuazji angielskiej popuszczenie cugli ruchowi indyjskiemu. O nadaniu takich swobód i przeprowadzeniu takich reform w Indjach, by położenie masy chłopów indyjskich mogło się istotnie poprawić, nie może być naturalnie mowy, ponieważ burżuazja angielska, jak każda inna klasa panująca, nie pozbędzie się dobrowolnie praw do wysysania indyjskiego ludu. Pod wpływem chwilowych spekulacji może ona robić pewne ustępstwa na rzecz posiadających klas indyjskich, starać się złagodzić najbardziej jaskrawe przejawy swych rządów, ale dane przez nią swobody muszą w atmosferze wzrastającego ruchu antiangielskiego stać się tylko pobudką do intensywniejszej działalności. Zdanie Mochackiego, wypowiedziane ongi o Polakach, że powstają, gdy im źle, ponieważ muszą, a gdy im dobrze, ponieważ mogą, znajduje w pewnym sensie zastosowanie w obecnej sytuacji w Indjach.

Niezdolna do żadnej jednolitej i skutecznej polityki w Indjach, burżuazja angielska szuka pocieszenia. W prasie angielskiej można

często spotkać rozważania na temat, coby się stało z Indjami, gdyby wyzwoliły się z pod angielskiego panowania. Dziś korzystają Indie z „pax britannica“, z uregulowanych stosunków, stworzonych przez Anglię. Wyzwobodziwszy się, Indie rozpadną się na szereg zwalczających się państw, walczących z sobą religij i t. d. Pomijamy na razie ocenę wrzekomej trwałości i głębokości kultury, zaszczipionej w Indjach przez Anglików, i zwracamy tylko na to uwagę, że kwestja przyszłości Indji — nawet najpesymistyczniej oceniona — nie ma nic wspólnego z pytaniem, czy ruch za wyzwoleniem się Indji jest możliwy, czy nie. Wzajemne antagonizmy rasowe i wyznaniowe w Indjach tylko do pewnego stopnia ułatwiają panowanie Anglikom: wszak widzimy, że ruch antiangielski wzrasta nie tylko w masach ludowych, ale i wśród uprzywilejowanych kast bramińskich i burżuazji mahometańskiej, między którymi przecież głównie wre walka religijna. Jak wykazuje ostatnio w świetnym swym szkicu Ular,¹⁾ uprzywilejowane kasty bramińskie zwracają się przeciw rządowi angielskiemu, ponieważ dzięki swobodzie przechodzenia na mahometanizm tracą coraz bardziej wpływ na masy hinduskie; wrogie zaś usposobienie burżuazji mahometańskiej ku rządowi angielskiemu z powodów, o których wyżej wspominaliśmy, stanowiące pendant do zachowania się ludności hinduskiej, jest dowodem, że waśń religijna na dalszą metę nie może być podporą rządu angielskiego. Tak zawodzą nadzieje, pokładane w przeciwieństwie religijnym, tak też — jak widzieliśmy — zawiodły nadzieje, pokładane w ciemnocie mas. Budzące się życie polityczne dowodzi, że podniety życia ekonomicznego są silniejsze od chęci burżuazji angielskiej utrzymania ludu indyjskiego w zupełnej bierności. Dlatego też jeremjady angielskie na temat, że jedynie ciemnota ta jest przeszkodą do nadania praw politycznych Indjom, są tylko próbą burżuazyjnej obłudy, której maski z twarzy angielskich dżyngoistów nawet strach zerwać jeszcze nie zdołał. Mimo wszystko trudno stawiać pewne horoskopy co do szybkości zwycięstwa ruchu indyjskiego w tej lub innej formie. Powodzenie jego, tempo jego rozwoju zależeć będą od tej lub innej polityki rządu angielskiego, od siły, jaką Anglja potrafi ze względu na międzynarodową sytuację polityczną skoncentrować w Indjach. Dlatego też zaostrza niebezpieczeństwo indyjskie niesłychanie antagonizm niemiecko-angielski i niebezpieczeństwo rozprawy zbrojnej w Europie. Aczkolwiek flota niemiecka obecnie wcale dla Anglji nie jest groźna, rząd angielski obawia się, by Niemcy nie skorzystały z zaostrzenia się sytuacji w Indjach dla kroków agresywnych, mających na celu zachwianie równowagi na korzyść Niemiec. Obawa ta może ze wzrostem niebezpieczeństwa indyjskiego pchnąć rząd angielski do kroków przeciw Niemcom, które, zatrzymując siły Anglji na morzu Północnym, stać się mogą sygnałem rozpętania sił antiangielskich w Indjach. Te wszystkie możliwości podniecają energję angielską, czynią dla Anglji plan Wilcoxa połącze-

¹⁾ Die indische Frage, Oesterreichische Rundschau, 1. Novemberheft 1909.

nia Indji kolejną, prowadzącą przez południową Persję i Arabję, z Egiptem — momentem decydującym w zagranicznej polityce angielskiej. Obawa jednak zatargu z Turcją, któryby przyspieszył zderzenie z Niemcami — urzeczywistnienie planu Wilcoxa byłoby dla Niemiec casus belli, gdyż zagrażałoby jak najpoważniej widokom zaborczym kapitału niemieckiego w Turcji — pęta angielską inicjatywę i powoduje, że polityka Anglii chwieje się między chęcią i obawą.

Taki jest stan rzeczy: charakter i perspektywy kwestji indyjskiej, związek jej z międzynarodowym położeniem Anglii. Jakiegokolwiek byłyby losy sprawy indyjskiej w najbliższej przyszłości, posiada ona sympatje nie tylko całego obozu socjalistycznego w Anglii, ale całej Międzynarodówki. Nie o socjalizm wprawdzie toczy się walka w Indjach, lecz o możliwość samodzielnego burżuazyjnego rozwoju. Ale rozwój kapitalistyczny krajów, które były dotychczas przedmiotem polityki kolonialnej kapitalizmu, oznacza końcową metę rozwoju imperjalizmu, powolne wypieranie kapitału europejskiego z ostatnich jego kryjówek, do których się chowa przed sprzecznościami, szarpnięciami jego jelita. Rozwój kapitalistyczny krajów azjatyckich oznacza niesłychane zaostrzenie się przeciwieństw klasowych w krajach starego kapitalizmu, oznacza szybkie tempo dojrzewania świadomości klasowej proletariatu i rozpoczęcie się okresu walk, w których po przez klęski i zwycięstwa klasa robotnicza zdobędzie władzę polityczną, by urzeczywistnić socjalizm.

Postęp reformy społecznej na lądzie stałym.

Nieznany artykuł Fryderyka Engelsa z r. 1843.

Poniżej zamieszczony artykuł, który wyjmujemy z londyńskiego pisma Social Democrat, ukazał się w r. 1843 w organie Owenistów The New Moral World (Nowy Świat Moralny). Jest to najwcześniejsza, nieznaną dotąd praca publicystyczna pióra Fryderyka Engelsa i jako taka stanowi zarówno niemałej wagi dokument, rzucający światło na bieg rozwoju duchowego późniejszego przodownika proletariatu, jak i charakterystyczne a jaskrawe odzwierciedlenie ówczesnego ruchu socjalistycznego w tak wybitnym a spostrzegawczym umyśle.

Dotychczas uważano za pierwsze prace młodocianego Engelsa jego dwa szkice, ogłoszone w r. 1844 w organie Arnolda Rugego i Karola Marxa *Deutsch-Französische Jahrbücher* (Roczniki niemiecko-francuskie): *Zarys krytyki ekonomji politycznej oraz Położenie Anglii*. Przedrukowany poniżej artykuł jest atoli jeszcze wcześniejszym utworem dwudziestotrzyletniego autora i ukazuje nam Engelsa jako myśliciela i działacza, jeszcze osobno, na własną rękę orzającego rolę pod zasiew socjalizmu.

Bezpośrednie jego stosunki z Marxem redukowały się wówczas właściwie tylko do przelotnej znajomości, zawartej przezeń o rok wcześniej podczas pobytu w Kolonii, gdzie złożył wizytę w redakcji *Gazety Ręńskiej*, przyczem wszakże późniejsi przyjaciele powitali się i pożegnali bardzo chłodno. Artykuł poniższy dowodzi z innej strony niż owe wspomniane dwa szkice w *Rocznikach niemiecko-francuskich*, że współpracownik i druh Marxa całkiem samodzielnie, inną drogą i wcześniej dotarł mniej więcej do tego stanowiska, od którego rozpocząć się miało wspólne ich epokowe dzieło stworzenia naukowego socjalizmu. W swym gienjalnym młodocianym szkicu ekonomicznym Engels boryka się na własną rękę z klasyczną ekonomją burżuazyjną, w organie owenistów ukazuje nam się natomiast jako praktyk ruchu proletarjackiego, jako zwiastun i promotor międzynarodowego zjednoczenia proletariatu i jako krytyk utopijnych szkół socjalistycznych. Niema tu jeszcze teoretycznych, opartych na ścisłym badaniu naukowym podwalin, na którym wybudowany został potem gmach współczesnego socjalizmu. Niektóre zdania, jak naprz. pogląd na znaczenie i wyniki burżuazyjno-demokratycznego ustroju, niektóre uwagi, skierowane pod adresem wielkich utopistów albo dotyczące dróg przyszłego rozwoju, same noszą jeszcze piętno ówczesnych „systemów“, które dzieliły na różne obozy nieliczne rzesze socjalistycznego proletariatu i inteligencji. Tak np. pogląd, iż każdy naród odrębną swoistą drogą dociera do socjalizmu, że Francja jest par excellence krajem „polityki“ i t. p. Nie ma tu jeszcze wreszcie tej ścisłości myślenia, śpiżowej mocy uzasadnienia, świetności formy, jaką argumentacja socjalizmu nabyła w niewiele lat później pod wspólnym działaniem obu mężów, jest atoli śmiały wzlot myśli, szerokie ujęcie zagadnień, siła krytyki, które zdradzają przyszłego współtwórcę Komunistycznego Manifestu.

Redakcja.

Zawsze bardzo mnie dziwiło, gdy przy rozmowach z angielskimi socjalistami przekonywałem się, jak mało są obznajmieni z ruchem społecznym w rozmaitych częściach lądu stałego. A przecież we Francji jest więcej niż 500 000 komunistów, że nie policzymy furjerystów i innych mniej radykalnych reformatorów społecznych. W różnych częściach Szwajcarii istnieją zjednoczenia komunistyczne, które wysyłają swych misjonarzy do Włoch, Niemiec i nawet do Węgier. Wreszcie filozofja niemiecka, po długim i mozolnym kołowaniu, również przyznała się do komunizmu.

W ten sposób trzy wielkie narody kulturalne Europy doszły do zrozumienia, że głęboko sięgająca rewolucja, oparta na uwspólnieniu własności, stała się teraz nagłą i nieodzowną koniecznością.

Jest to tymbardziej uderzające, że każdy z trzech narodów doszedł do tego samodzielnie i niezależnie od innych. Dowodzi to, że komunizm nie jest skutkiem jakichkolwiek specyficznie angielskich lub innych krajowych warunków, lecz koniecznym wnioskiem, wynikającym niepochybnie z przesłanek, stworzonych przez nowoczesną cywilizację.

Dlatego należy sobie życzyć, aby trzy te narody porozumiały

się ze sobą i starały się poznać, jak dalece się z sobą zgadzają lub różnią. Pewne rozbieżności istnieć muszą, bo w każdym z trzech tych krajów doktryna komunistyczna inne ma pochodzenie. U Anglików wypłynęła ona praktycznie z szybkiego wzrostu nędzy, demoralizacji i pauperyzmu we własnym kraju; Francuzi doszli do niej na drodze politycznej. Poznawszy bowiem, że ich żądania wolności i równości politycznej nie wystarczają, dodali do nich jeszcze żądania wolności i równości społecznej. Niemcy wreszcie doszli do komunizmu drogą filozofji, zapomocą rozumowań zasadniczych. W trzech więc tych krajach, w których socjalizm pochodzi z tak odmiennych źródeł, powinnyby zachodzić wielkie rozbieżności co do niektórych ważnych punktów. Spodziewam się jednak dowieść, że rozbieżności te są bardzo nieznaczne i nie przeszkadzają bynajmniej porozumieniu pomiędzy reformatorami społecznymi różnych krajów. Potrzeba tylko, aby się wzajemnie poznali; skoro tylko to nastąpi, nie wątpię, że każdy z nich najgoręcej życzyć będzie powodzenia współbraciom komunistycznym zagranicą.

Francja od czasu rewolucji stała się krajem Europy wyłącznie politycznym. Żadne polepszenie, żadna doktryna nie zyska tu powszechnego znaczenia, jeżeli nie wystąpi w przyobleczeniu politycznym. Należy sądzić, że w dzisiejszym stadium dziejów ludzkości Francji przypadło zadanie przebycia wszystkich form rozwoju politycznego, aby wkońcu po stwierdzeniu naczelných zasad politycznych dojść tam, gdzie wszystkie narody, idąc najróżnorodniejszymi drogami, muszą się spotkać: do komunizmu. Rozwój myśli politycznej we Francji wykazuje to jak najwyraźniej, zarazem zaś można się z niego nauczyć, jak ułożyć się muszą przyszłe dzieje angielskich czartystów.

Rewolucja francuska oznaczała dźwignięcie się demokracji w Europie. Demokracja, jak zresztą moim zdaniem wszelka forma rządu, jest sprzecznością w samej sobie, nieprawdą, w gruncie rzeczy niczym innym, jak obłudą (albo, jak my Niemcy mówimy, teologją). Wolność polityczna jest wolnością fałszywą, gorszą od najgorszego niewolnictwa; jest wolnością tylko pozorną, a więc prawdziwym niewolnictwem. Taksamo rzecz się ma i z równością polityczną. Dlatego demokracja musi ostatecznie rozpaść się w gruzy, podobnie, jak wszelka inna forma rządu. Obłuda przetrwać nie może, bo ukryta w niej sprzeczność musi wyjść na światło dzienne. Albo niewolnictwo czyli despotyzm bez osłonek, albo prawdziwa wolność i prawdziwa równość czyli komunizm. Oba są konsekwencjami rewolucji francuskiej: Napoleon wyciągnął pierwszą, Baboeuf – drugą. Sądzę, że o babuwizmie mogę wspomnieć w paru słowach, ponieważ dzieło Buonarottiego o jego spisku istnieje w języku angielskim. Zamach komunistyczny chybił, albowiem owoczesny komunizm był jeszcze bardzo nieociosany i powierzchowny, z drugiej zaś strony umysły jeszcze do niego nie dojrzały.

Następnym reformatorem francuskim był hrabia de Saint-Simon. Udało mu się stworzyć sektę i nawet założyć parę osad, z których jednak żadna nie zdołała się utrzymać. Duch nauki saint-simonowskiej jest w ogólnych zarysach ten sam, jaki panuje u socjalistów

ham-commonskich w Anglii¹⁾. Natomiast w szczegółach praktycznych i w wielu ideach zaznaczają się wielkie różnice. Szczególne cechy i dziwactwa saint-simonistów wywołały wkrótce drwiny Francuzów; we Francji zaś każda rzecz, która ściągnęła na siebie klątwę śmieśności, jest bezpowrotnie stracona. Obok tego jednak i inne przyczyny przyłożyły się do upadku urządzeń saint-simonowskich. Wszystkie teorie tej partii otaczała gęsta mgła niezrozumiałego mistycyzmu, który może w początkach wzbudził ogólną uwagę, na dłuższą jednak metę zawiódł oczekiwania. Zasadom ekonomicznym tego kierunku również dało się wiele zarzucić; o udziale każdego członka wspólnot w podziale produktów stanowić miała popierwsze wykonana przez niego praca, podrugie zaś okazany przezeń talent. Republikanin niemiecki Börne słusznie postawił zarzut, że talent właściwie uważany być powinien za dar naturalny, który nie wymaga żadnej zapłaty. Przeciwnie, ludziom utalentowanym należy pewną część odtrącać dla przywrócenia równości.

Saint-simonizm, który, jak świetny meteor, poruszył umysły wszystkich myślących ludzi, zniknął z widnokręgu społecznego. Dziś poszedł już w zapomnienie; czas jego minął.

Jednocześnie jednak z Saint-Simonem inny potężny umysł zajmował się stosunkami społecznymi rodu ludzkiego — Fourier. Jakkolwiek w pismach jego nie spotyka się olśniewających błysków myśli jak u Saint-Simona lub niektórych jego uczniów, jakkolwiek pisze chropowatym, ciężkim stylem i stale się widzi, z jakimi trudnościami musiał się zmagać, aby wyrazić ideje, dla których język francuski nie stworzył jeszcze słów, jednakże dzieła jego czytamy z większą przyjemnością. Znajdujemy w nich więcej rzeczy cennych, niż potrafiła dać szkoła poprzednia. Wprawdzie niebrak tu mistycyzmu i to najbardziej wybujałego, jeśli jednak pozostawi się go na stronie, pozostanie coś, czego nie znajdziemy u saint-simonistów, mianowicie analiza naukowa, trzeźwe, nie znające uprzedzeń systematyczne myślenie, słowem filozofja społeczna, gdy tymczasem saint-simonizm zasługuje conajwyżej na miano poezji społecznej. Fourier pierwszy postawił wielką zasadę filozofji społecznej, że każda jednostka ma skłonność lub upodobanie do pewnego rodzaju pracy, i że suma wszystkich tych zdolności jednostkowych wystarcza, aby dać ilość pracy, mogącą zaspokoić wszystkie potrzeby społeczne. Wynika stąd, że jeśli jednostka będzie mogła robić, co jej się podoba, potrzeby ogółu będą mogły być zaspokojone bez środków przymusowych, których używa dzisiejsze społeczeństwo. Jakkolwiek śmiałym zdawałoby się to twierdzenie, po dowodach Fouriera okazuje się ono tak niezawodnym, jak jajo Kolumba. Fourier udowadnia, że każdy człowiek przychodzi na świat z pewnym upodobaniem do jakiegokol-

¹⁾ Socjaliści Ham Commonu była to gmina mistyczno-komunistyczna, która mieszkała w r. 1842 w Alcott House nad urwiskiem Ham Commonu. Założycielem jej był James Pierrepont Graves. Osada nosiła nazwę Concordium; mieszkańcy jej używali pokarmów jarskich i zalecali celibat. Patrz Tomasz Frosta „Forty Years Recollections“ i Holyoake’a „History of Co-operation“. (Red. „S. D.“).

wiek rodzaju pracy, że bez względu na leniwość jest nonsensem, że nigdy nie istniało, ani też istnieć nie może, że w istocie ducha ludzkiego głęboko zakorzeniona jest potrzeba działania i pracy fizycznej; że zatem nie potrzeba bynajmniej zmuszać ludzi gwałtem do pracy, jak się to czyni dzisiaj, lecz należy tylko skierować na właściwe tory naturalny ich popęd do działalności. Dalej, Fourier wykazuje, że praca i przyjemność stanowią jedną całość, i wytyka niedorzeczność dzisiejszego układu społecznego, który te dwa pojęcia oddziela, czyni pracę ciężkim móżdkiem i wypędza radość z pośród większości robotników. Następnie Fourier stwierdza, że przy rozumnych warunkach można będzie pracę uczynić tym, czym być powinna, a mianowicie przyjemnością, a to w ten sposób, że każdemu da się swobodę pójścia za własnymi skłonnościami. Nie mogę tu naturalnie rozwijać całej furjerowskiej teorii wolnej pracy, sądzę jednak, że wszystko powyższe wystarcza dla przekonania angielskich socjalistów, iż furjeryzm zasługuje najzupełniej na ich uwagę.

Druga zasługa Fouriera na tym polega, że podkreślił on korzyści, nie — konieczność zrzeszeń. Ograniczę się tu tylko do pobieżnej wzmianki o tej sprawie, wiem bowiem, do jakiego stopnia Anglicy przejęci są jej ważnością. Lecz furjeryzm cierpi na jedną wielce doniosłą sprzeczność wewnętrzną, tę mianowicie, że nie myśli on o usunięciu własności prywatnej. W jego falansterach, czyli wspólnych osadach są bogaci i ubodzy, kapitaliści i robotnicy. Własność wszystkich członków przelewa się do jednego wspólnego funduszu, osada uprawia handel, rolnictwo i przemysł, a dochód idzie do podziału pomiędzy członków; jedna część jako płaca robocza, druga — jako wynagrodzenie za zręczność i talent, a trzecia — jako zysk kapitalistyczny. Po tylu pięknych teoriach o zrzeszeniu i wolnej pracy, po tylu uroczystych filipikach przeciw handlowi, żądzy zysku, konkurencji, staje przed nami znowu dawny system konkurencji, na ulepszonej podstawie, Bastylja, oparta na podwalinach prawa o ubogich, na zasadach liberalniejszych. W żadnym razie niepodobna się tym zadowolić i Francuzi nie zadowolili się tym rzeczywiście.

Furjeryzm rozwijał się we Francji powoli, ale nieustannie. Furjeryści nie są bardzo liczni, ale mają pomiędzy sobą wiele znamienitszych umysłów dzisiejszej Francji. Wiktor Considerant jest jednym z ich najlepszych literatów. Posiadają także pismo *Phalange*, które poprzednio wychodziło trzy razy na tydzień, obecnie zaś stało się codziennym.

Ponieważ furjeryści znaleźli już w Anglii swego przedstawiciela w osobie pana Doberty, sądzę, że rozodziłem się już nad niemi dość i mogę przejść do najradykałniejszej i najważniejszej partji we Francji, do komunistów.

Wyżej już zaznaczyłem, że wszystko, co we Francji ma zyskać znaczenie ogólnonarodowe, musi mieć charakter polityczny; inaczej nie może wogóle liczyć na powodzenie. Saint-Simon i Fourier trzymali się zdala od wszelkiej polityki; dlatego też plany ich pozostały przedmiotem roztrząsań prywatnych, zamiast stać się ogólnym dob-

rem narodu. Komunizm Babeufa, jak widzieliśmy, wypłynął z demokracji pierwszej rewolucji. Druga rewolucja, 1830 r., zrodziła inny potężniejszy komunizm. Liberali i republikanie, stan średni i klasa robotnicza walczyły ręką w rękę w „wielkim tygodniu“ roku 1830. Po dokonaniu dzieła klasę robotniczą odesłano do domu i tylko klasy średnie zagarnęły owoce rewolucji. Robotnicy powstawali wprawdzie kilkakrotnie, ażeby usunąć przywileje polityczne i odbudować republikę. Ale zawsze ponosili porażkę, gdyż klasy średnie nie tylko miały do rozporządzenia wojsko, lecz i same stanowiły gwardję narodową. Wówczas, w roku 1834 lub 1835, powstała pomiędzy republikańskimi robotnikami nowa nauka. Zrozumieli oni, że nawet gdyby ich plany demokratyczne się powiodły, zawsze jednak tumaniliby ich bardziej uzdolnieni i bardziej wykształceni przewodcy i że żadne przeobrażenie polityczne w niczym nie zdoła poprawić ich położenia społecznego, tej przyczyny ich politycznego niezadowolenia. Szukali więc rady w dziejach Wielkiej Rewolucji i z nienasyconym zapalem zgłębiali babefowski komunizm. Nic poza tym pewnego nie da się powiedzieć o pochodzeniu dzisiejszego ruchu komunistycznego we Francji. Omawiano sprawę najpierw gdzieś w ciemnych, zatłoczonych uliczkach paryskiego przedmieścia św. Antoniego, potem na tajnych zebraniach spiskowców. Kto wiedział więcej o jej początkach, zachowywał swe wiadomości dla siebie, aby uniknąć karzącej ręki prawa. A jednak komunizm rozszerzył się szybko na Paryż, Lugdun, Tuluzę, i inne wielkie miasta i ośrodki fabryczne państwa; nastąpiło po sobie kilka tajnych stowarzyszeń, z których najznacznějšíe były: „Travailleurs Égalitaires“, egalitarysty i humanitarysty. Egalitarysty była to dość nieokrzesana kompanja, w rodzaju babuwistów wielkiej rewolucji. Chcieli oni przerobić świat na społeczność robotników, chcieli znieść wszelkie wysubtelnienie cywilizacji, naukę i sztuki piękne, jako bezużyteczny, niebezpieczny i arystokratyczny zbytek. Był to przesąd, który nieuchronnie zrodzić się musiał z ich całkowitej nieznamości historii i ekonomji politycznej. Humanitarysty odznaczyli się szczególnie napaściami na małżeństwo, rodzinę i inne podobne urządzenia. Te i dwie czy trzy inne jeszcze partje cieszyły się krótkim tylko żywotem; wkrótce szeroka masa robotników francuskich przychyliła się do zasad, które głosił „ojciec Cabet“ i które na kontynencie stały się znane pod nazwą komunizmu Ikaryjskiego.

Powyższy krótki zarys dziejów komunizmu we Francji pokazuje do pewnego stopnia, na czym polegać musi różnica pomiędzy komunizmem francuskim a angielskim. Reforma społeczna we Francji ma znaczenie polityczne. Gdy okazuje się, że demokracja nie może dać prawdziwej równości, wówczas pozostaje przywołać na pomoc system komunistyczny. Dlatego szeroka masa komunistów francuskich wyznaje poglądy republikańskie; żądają oni komunistycznej formy społeczeństwa przy republikańskiej formie rządu. Nie sądzę, aby socjaliści angielscy mieli coś poważnego do zarzucenia tej formie; gdyż jakkolwiek przychylnie zapatrują się na monarchję obieralną, wiem przecież, że są zbyt oświeceni, aby zechcieli swą formę rządu

narzucać narodowi, który o niej ani słyszeć nie chce. Rzecz jasna, że podobna próba sprowadziłaby dla tego narodu daleko większe powikłania i trudności, niż kiedykolwiek zrodzić może jego własna demokratyczna forma rządu, nawet jeżeli przypuścimy, że jest zła.

Z kraju.

W grudniu 1909.

(*Bzicus polonicus*. — XI szopka P. P. S. i Wielkie Rewolucje. — Radziwiłł-Panie Kochanku i Daszyński-Panie Kochanku. — Kontusz Mazura. — Wszeteczna miłość i jej skutki. — W gabinecie bar. Aerenthala).

Muzo, chcę naród przedstawić.

Chcemy go stroić, chcemy go malować
Chcemy w teatrze tym Polskę budować

Wyzwolenie.

Polskę nazywają Francją Północy. Należałoby może nazywać ją Francją Południa. Mianowicie, Polska posiada typy, niemniej wspinałe od francuskich południowców, których Daudet uniemożliwił jako boskich blagierów w swoim *Tartarin de Tarascon*. Sienkiewicz odtworzył ten typ w postaci pana Zagłoby dla Polski 17-go wieku. Ale współczesny Zagłoba czeka jeszcze swojej kolei, gdyż pan Zagłoba jest w Polsce nieśmiertelny, pomimo całej różnicy wieków. Pewien historyk polski określił nawet to zjawisko w Polsce, jako stałą chorobę umysłową i nazwał ją uczenie, z łacińska: *bzicus polonicus*.

Niedawno odbył się zjazd „Rewolucyjnej” Frakcji P. P. S. i przypomniał mi o istnieniu tej choroby. Więc na zakończenie roku rozpocznę niniejszy przegląd wypadków od paru pociesznych wybryków, które wykonał na owym zjeździe nieśmiertelny *bzicus polonicus*. Czytelnika, któryby chciał widzieć całe przedstawienie, muszę odesłać do „Sprawozdania z XI szopki P. P. S.”, tu bowiem niema tyle miejsca, a ja nie mam tyle czasu, aby mu pokazać wszystkie zabawne rzeczy, jako to: wojsko P. P. S., mundury i błyszczące guziki, oficerów i szeregowców, broń i amunicję, fortece, zdobywanie fortec armatami P. P. S., komendy i musztrę, naukę strzelania, fortyfikacje, plany i mapy topograficzne i wiele, wiele jeszcze ładnych i groźnych rzeczy, które tak bawią i straszą dzieci, przyglądające się przedstawieniom w szopce. Cała ta zabawa nazywa się też bardzo pocieszenie, nie tak zwyczajnie, jak „Król Herod”, „Pan Jezus w żłobku”, „Kasia i żołnierz”, „Druciarczyk” lub „Strażak i kucharka”, ale daleko zabawniej. To, co grają w tej szopce, nazywa się „integralny socjalizm polski, w którym robotnik polski znajdzie zadośćuczynienie wszystkim swoim potrzebom”. Zresztą, tytułu dobrze nie pamiętam, ale w każdym razie taka jest jego treść. Słowem, *bzicus polonicus* stworzył partję-szopkę, w której robotnik polski może się nauczyć wszelkich kunsztów wojskowych, jakich tylko zapragnie. Takiej partji socjalistycznej czy poprostu rewolucyjnej nie było i niema nigdzie na świecie, nawet w Taraskonie i całej południowej Francji, niema i nie było ani przed rewolucją, ani po rewolucji, ani przed wojną,

ani po wojnie. Rewolucje się udawały, albo nie udawały i — rzecz prosto niezrozumiała! — Wielka Rewolucja angielska, lub Wielka Rewolucja francuska udały się, choć nie było P. P. S. Bzicus polonicus pierwszy wyjaśnił ten niepojęty dotąd fenomen.

Bo pomyślcie tylko: dotąd socjaliści szukali źródła powodzeń lub niepowodzeń rewolucji w walce klas, a zdobycie ustroju demokratycznego uzależniali od walk między poszczególnymi klasami w łonie danego państwa. Za to w „XI szopce P. P. S.” są przedstawieni jako najgorsi... esdecy. Natomiast bzicus polonicus mówi w szopce:

„Przyczyną upadku rewolucji było nasze nieprzygotowanie do niej. Zwłaszcza nie byliśmy przygotowani do ruchu zbrojnego“ (str. 81).

Teraz już rozumiem, dlaczego udała się rewolucja 1648 roku w Anglii i 1789 we Francji i dlaczego nie udała się w 1905 r. u nas. Dlatego, że P. P. S. nie była przygotowana. I tylko głupi historycy nie d myślają się, że dawne wielkie rewolucje napewno zostały technicznie przygotowane przez jakąś P.P.S. — tylko, że jej jeszcze historia nie wykryła, — bo w jaki sposób mogłyby one inaczej mieć powodzenie?! — Dalej, bzicus polonicus mówi:

„płonnym byłoby oczekiwanie, by zatargi między poszczególnymi klasami w łonie państwa rosyjskiego miały przyczynić się do stworzenia ustroju demokratycznego“.

Więc „integralny socjalizm polski“ musi budować swoje dążenia nie na walce klas w państwie rosyjskim i na rewolucyjnych wynikach tej walki, lecz na polityce despotyzmu carskiego, który prowadzi Rosję do rozkładu, gdyż

„rozkład ten nie jest rzeczą przemijającą, lecz ujawnieniem się długotrwałego procesu gnicia despotyczno-zaborczego państwa“ (str. 84).

Dlatego rząd carski i P. P. S. (Fracja „Rewolucyjna“) są jak dwaj bracia sjamscy. Razem znikają i razem się pojawiają. Jak tylko „zatargi między poszczególnymi klasami“ doprowadziły do rewolucji 1905 r. i przepędziły absolutyzm carski, zniknął zaraz program P. P. S. Jak tylko absolutyzm wrócił do życia, wróciła zaraz do życia P. P. S. z programem niepodległości Polski. „Integralny socjalizm polski“ ma te same cele obiektywne, co absolutyzm rosyjski: rozkład państwa, budują swoje istnienie na jednakowej podstawie: na reakcji rosyjskiej. Powiedzieć szczerze, zwolennicy „lewicy“: czy Fracja „Rewolucyjna“ nie jest rzeczywiście ową prawdziwą P. P. S. z przed rewolucji, która budowała swój program na negowaniu walki klas w Rosji i na niewzruszalności despotyzmu?

W „XI szopce“ razem z innymi wystąpił w charakterze aktora pan Ignacy Daszyński. Orlim wzrokiem przeszył tajemnice historii i odrazu przypomniał mi Radziwiłła-Panie Kochanku, w którego bajecznej głowie, jak wiadomo, również gościł bzicus polonicus. Pan Daszyński mówił:

„Nie dziwcie się, że przez czas pewien mogło się u nas (w Galicji) ważyć pytanie, kto jest istotnym przedstawicielem ruchu: Fracja Rewolucyjna, czy lewica, czy S. D. Ale dziś, gdy fala prześladowań spłukała wszystkie stronnictwa z powierzchni, dziś mamy probierz żywotności, dziś widzimy, że Fracja Rewolucyjna, ta organizacja, co do której niektórzy wątplili, czy

jakieś masy robotnicze za nią pójdą, jest jedyną przedstawicielką ludu roboczego". (str. 78).

Radziwiłł-Panie Kochanku opowiadał, że na Syberji jest zimą taki straszny mróz, że słowa zamarzają w powietrzu i nic nie słychać, jakby cię wcale nie było, choćbyś naprawdę był. Za to latem, gdy słońce ogrzeje powietrze, wszystkie zamrożone w powietrzu słowa zaczynają tajać jak śnieg i wtedy robi się w powietrzu taki hałas, że aż strach.

Rewolucja — to była sroga zima syberyjska, kiedy słowa i hasła polityczne dzisiejszej Frakcji „Rewolucyjnej“ zamarły w powietrzu. I choć lud roboczy szumiał i huczał jak wzburzone morze, Daszyński-Panie Kochanku nic nie słyszał i nie mógł się dowiedzieć, kto jest istotnym przedstawicielem ruchu. Naprawdę słał „List Otwarty“ — z powodu tego mrozu rewolucyjnego odpowiedź zamarła w powietrzu i nie można było znaleźć „probierza żywotności“.

Ale przyszło piękne, ciepłe słońce kontrrewolucji, hasła „Rewolucyjnej“ Frakcji, których w czasie rewolucyjnego mrozu nikt nie słyszał, teraz odtajały i robią w powietrzu taki okrutny hałas, że aż strach! I chociaż to miłe słońce jak „fala prześladowań“ splukało wszystkie stronnictwa z powierzchni — razem z rewolucyjnym ludem, ale jego ożywcze promienie wlały moc w zamrożone poczas rewolucji członki „Rewolucyjnej“ Frakcji, w powietrzu zrobił się wielki hałas i Radziwiłł-Panie Kochanku znalazł nieomylny „probiez“, że „masy robotnicze za nią pójdą“.¹⁾

Zwykle, po przedstawieniu szopka znika i dzieci idą spać. Ale „XI szopka P. P. S.“ była przedstawieniem, urządzonym przez Radziwiłła-Panie Kochanku, który, jak wiadomo, przy każdej zabawie musiał kogoś potłuc lub w inny sposób skrzywdzić. Bzicus polonicus nie zadowolił się tym, że do starej niesławy i błazeństwa P. P. S. dodał jej nicość polityczną i bankructwo w czasie rewolucji, teorię i czyny bandytyzmu „rewolucyjnego“, wreszcie nowe błazeństwo w formie partyjnej nauki wojskowo-technicznej dla przygotowania wojska na wypadek wojny. Obok tego wszystkiego przedstawił się jeszcze w szopce jako „jedyna P. P. S.“, odrzucił nazwę „Frakcja Rewolucyjna“ i w ten sposób srodze pokrzywdził „lewicę“ czyli drugą P. P. S. Pówtwał spór o własność firmy, a więc o cały jej majątek, i publiczność teraz nie wie, kto ma prawo podpisywać ją per procura: lewica czy prawica? Chodzi wszak o rzecz nielada, o majątek ideowy, gromadzony w ciągu 16 lat, o wielką schedę całych serji przekonań, całych kopalń błazeństw, całych gór brudnych napaści osobistych i publicznych kompromitacji, całych kufców przedawnionych weksli historycznych i obietnic nieziszczalnych, o całe dominium bankructw ze wszystkimi przyległościami. Scheda wielkopańska, którą

1) Zwróciliśmy uwagę tow. Janowi na to, że może powstać spór historyczny między spadkobiercami Radziwiłła-Panie Kochanku a słynnego błagiera i łgarza, barona Münchhausena o pierwszeństwo wynalazku i prawo do spadku, chociaż pierwszy mówi o zamarzłych słowach, a drugi o zamarzłych dźwiękach trąby bojowej (*eingefrorene Trompetentöne*). Tow. Jan twierdzi jednak, że o pretensje niema obawy, gdyż potomkowie bar. Münchhausena również zagnieździli się w Przedsławie, a więc scheda z jednej i drugiej strony, odziedziczona przez p. Daszyńskiego i jego przyjaciół, bleibt in der Familie, jak mówią Niemcy, czyli pozostaje bezsprzecznie własnością „Rewolucyjnej“ Frakcji P. P. S.

Czerwony Sztandar unarodowił i „uludowił“, porównyując ją do schedy owego Mazura z piosnki ludowej, co to

Miał też i kontusz,
Taki od święta,
Co w nim dziad, pradziad
Pasał cieleta,
Teraz ledwo w domu dyszy,
Pożarły go szczury, myszy,
Koty pos..ły,
Ale co koty po..rały.

I Czerwony Sztandar twierdzi, że prawdziwą P. P. S., tylko że pożartą przez szczury, myszy i przez koty nieco po-plamioną jest właśnie Frakcja „Rewolucyjna“. Przedświt jest tego samego zdania. Co do mnie, to również, jak Czerwony Sztandar, muszę pierwszy raz w życiu przyznać, że Przedświt ma rację: ta prawdziwa P. P. S. — to właśnie przedstawienie w XI szopce i tylko Przedświt wraz z p. Daszyńskim są ideowymi prokurentami tego pięknego interesu.

Ale, ostatecznie, czy my, socjaldemokraci, możemy ten spór rozstrzygnąć obiektywnie? Sądzę, że — nie. Spór, kto jest P. P. S. — „lewica“ czy „prawica“ — wcale nie daje się rozstrzygnąć obiektywnie. Taksamo jak spory o narodowość. Choćbyśmy nie wiem jak uczenie rozstrzygali zagadnienie: co to jest narodowość? to jednak ostatecznie o przynależności danego człowieka do danej narodowości rozstrzyga jego własna, subiektywna wola. Jeżeli Żyd lub kalwin mówi, że jest Polakiem, to jest on Polakiem, choćby to się wcale nie podobalo polskiemu Dmowskiemu lub rosyjskiemu inspektorowi szkół m. Warszawy. I jeżeli „lewica“ sądzi, że ona też jest całą, to znaczy 16-letnią P. P. S., to chyba ona sama musi o tym lepiej wiedzieć, aniżeli ktokolwiek inny. Przynajmniej, co się mnie tyczy, to nie mam najmniejszego prawa ani chęci kwestjonować jej pretensji do całego mazurskiego kontusza.

Bo o co właściwie chodzi? Przed 16-tu laty wydarzyła się obraza moralności publicznej: nacjonalizm nawiązał — jak to mówią — stosunek z socjalizmem i z tego nienaturalnego skojarzenia powstała P. P. S. W tym skandalicznym stosunku socjalizm musiał oczywiście upaść do roli nacjonalistycznego socjalizmu, czyli do roli publicznej ładacznicy, która szminkowała się coraz to nową „serją“ przekonanych przedświtowskich, a nacjonalizm koleją rzeczy wyrodził się w socjalistyczny nacjonalizm i polityczny bandytyzm ostatnich lat, pod nazwą „Rewolucyjnej“ Frakcji. Pomimo to owa nieprzyzwoita para nacjonalistycznego socjalizmu i socjalistycznego nacjonalizmu nie przestawała wzajemnie się kochać, kochała się nawet wiernie, jak to bywa wśród jednostek z odmetów społecznych, przynajmniej w paryskich piosenkach kabaretowych albo zupełnie jak w wierszu Heinego:

Sie hatten sich beide so herzlich lieb,
Sie war eine Dirne, er war ein Dieb.

Ale w wierszu Heinego kat ścina głowę bandyty, a jego kochanka pije wino i... śmieje się. Rewolucja 1905 r. ucięła łeb nacjonalizmowi P. P. S., pozostała tylko połowica czyli „lewica“, która na

pozór chciała też pić wino radości i... śmiać się po straconym kochanku.

Zupełnie jak w wierszu Heinego.

Ale tylko na pozór. Bo rzeczywistość — to nie piosnka kabaletowa. „Lewica” wprawdzie potępiła swe stare miłosne stosunki i śmiała się ze starego grzesznika, straconego 1905 r. przez historję. Ale jednocześnie tęskniła i wzdychała do przeszłości w formie hasła odrębnej konstytuancy, potem federacji i na razie wzdycha jeszcze w formie „autonomji na razie”. Zdawało się jednocześnie, że czystością zasad socjalizmu chce zmyć ze swej duszy ostatnie ślady objęć nacjonalizmu, jak Magdalena czystą wiarą w Chrystusa spłukała ze swej duszy ślady dawnego swego wszeteczeństwa. Minęła jednak rewolucja, nie dokonawszy swego dzieła do końca, nie wyrwawszy doszczętnie całego chwastu socjalistycznego nacjonalizmu z duszy „lewicy”. Zjawiła się kontrrewolucja, zjawił się upiór prawdziwej P. P. S., ukazał się w XI szopce i na jego widok „lewica” stęskniona zawołała: przeszłości, tyś moja!

Zupełnie inaczej, niż w wierszu Heinego.

Wobec uczucia miłości, wobec głosu serca, niema obiektywizmu. „Prawica” zabiera jej przeszłość ukochaną, „lewica” woła w tęsknocie i rozpacz, że woli umrzeć, niż z tą przeszłością się rozstać... A Przedświt pije wino bandytyzmu i... śmieje się.

Zupełnie inaczej, niż w wierszu Heinego...

Przeszło 200 000 rubli z „konfiskat”! Więc śmieje się Przedświt, śmieje się Organizacja Bojowa, śmieje się... kto się jeszcze śmieje?

Według każdorazowych doniesień pism i wiadomości rządowych, suma „konfiskat” jest daleko, daleko większa. Gdzie się podziała reszta? „Sprawozdanie z XI szopki” milczy, jak zakłète, a śmieje się. I śmieje się ktoś trzeci — ten trzeci „rewolucjonista”, który też pracuje i daleko skuteczniej pracuje nad upadkiem i rozbięciem państwa rosyjskiego; który reprezentuje „długotrwały proces gnicia despotyczno-zaborczego państwa”: śmieje się czynownik, który do „konfiskat” swoją część dołączył — w innym rachunku. Czego nie „skonfiskowała” Frakcja „Rewolucyjna”, to skradł czynownik i doliczył na rachunek „rewolucyjnej” akcji Frakcji. W ten sposób powstała różnica w „rewolucyjnym” bilansie Frakcji i rządu. Czynownik, ile mógł, powiększał rozmiary tej „bojowej” działalności.

Śmieje się Organizacja Bojowa, śmieje się Przedświt, śmieje, się ten „trzeci” — śmieją się wszyscy, których zmroziła sroga zima rewolucji, a do życia przywróciła zmartwychwstańcza wiosna kontrrewolucji.

Dziwny podział pieniędzy, jak wszystkie cuda w szopce. Na „przygotowania zbrojne” nic nie pozostaje przy tym podziale, na odbudowanie Polski — ani grosza. Ile wziął ten „trzeci” — nie wiadomo, ale z pozostałej sumy, czyli z przeszło 200 000 rubli Organizacja Bojowa wzięła sobie około $\frac{2}{3}$ — na utrzymanie siebie samej. Polska Polska, zaś Organizacja Bojowa sama dla siebie. To najważniejsze. Polska — to wszak „ideał”, a ideały nie karmią się mamoną. Co innego Przedświt i reszta kompanji — w polityce „ostrej” walki reprezentują tylko trzecią część. Czy to nie za mało?

Bo pomyślcie tylko: jak wyglądałaby robota bojówek bez roboty Przedświtów? Nie byłoby żadnego „przygotowania zbrojnego”, żadnych czynów „rewolucyjnych”, żadnej „ostrej” walki, a byłoby

tylko „konfiskaty“ dla utrzymania bojówek, konfiskaty dla konfiskat, bojówki dla bojówek. Ale jako jedna trzecia, Przedświty nadają im charakter polityczny, z „konfiskat“ robią walkę o niepodległość Polski i wloką się za nimi jako „partja polityczna“, pokrywają je płaszczami Ojczyzny:

Wloką się za nim dziwne płaszcze
ze starych kronik, które czytał,
z orłów, wypchanych pakułami,
z broszur, gdzie jaką myśl zachwytał,
z strzep szalów (niegdyś były nowe,
były: purpura, jedwab, złoto);
dzisiaj w koronkę zdarte, płowe,
gdy je niejedna plama plami,
świecą, jak pełne... dziur rzeszoto.

Więc całe trzy trzecie, choć je „niejedna plama plami“, mogą się ukrywać pod znakiem „orłów, wypchanych pakułami“ — dzięki Przedświtom — za jedną trzecią.

Ale przechodzę do XI szopki.

„Odpowiadając jednemu z towarzyszków, który poruszył kwestję, czy i o ile nasza walka rewolucyjna podczas wojny ma być niezależną od polityki austriackiej, referent powiedział, że nie możemy się uzależniać od żadnych umów czy obietnic“ (str. 88).

Czyli umowy niezależne. Skąd się tu wzięła „rewolucyjna“ walka podczas wojny, tego sami Radziwiłłowie — Panie Kochanku nie wiedzą. Bo rewolucja 1905 r. była według nich nonsensem, na wypadek wojny bojówki mają być legionami, czyli ma być walka czysto wojskowa, czysto techniczna; ale w szopkach wolno to nazywać walką „rewolucyjną“, gotą wojnę utożsamiać z rewolucją, a wyprawy bandyckie utożsamiać z wojną.

(W gabinecie wiedeńskiego ministra spraw zewnętrznych. Baron Aerenthal czyta depesze z Racconigi. Szef sztabu jenerałnego. Szef szpiegów wojskowych. Szef prasowego biura dyplomatycznego. Potym wchodzi Polonus Viator — bez Bożyszcza, które w interesach integralnego socjalizmu polskiego pojechało do Mikada w Japonji).

Bar. Aerenthal (zwracając się do szefa biura prasowego): Należałoby trochę zagłuszyć muzykę z Racconigi. Wiosną, podczas targu z Serbją, puścił Pan przez prasę wiadomość o jakimś powstaniu w Królestwie Polskim przeciw Rosji...

Szef biura. Tak jest, Ekscelencjo, puściłem wiadomość, że na wypadek wojny z nami, P. P. S. zrobi Rosji wojnę na tyłach jej armji. Ale nie mogę zrobić tego poraz wtóry, chyba, że Ekscelencja rozkaże. Podług mnie nie warto.

Baron Aerenthal. Dlaczego nie warto?

Szef biura. — Bo nikogo to nie wzruszyło i nawet pies kulawy nie obwąchał tej wiadomości. Pozwalam sobie zwrócić uwagę Waszej Eksk., że nawet rząd rosyjski przestał oskarżać Polaków o chęci oderwania się od Rosji.

Generał, szef sztabu. — Ale bitna szlachta polska? Legjony polskie? Na wypadek wojny można im dać chorągiewki z białym orłem.

Szef biura pras. — Gienerał widocznie nie czytuje raportów z Warszawy. Drobną i średnią szlachta, dawni legioniści, poszli na konduktorów tramwajowych lub pędzą okowitę dla rządu i hodują polskie świny. Na wypadek wojny będą myśleli o bojówkach przeciw strajkującym parobkom.

Baron Aerenthal. — Zaraz, przypominam sobie... aha! Opowiadał mi nieboszczyk hr. Dzieduszycki. W czasie wojny rosyjsko-japońskiej przyjechał do Wiednia jakiś gienerał japoński, aby stąd szukać Chunchuzów w Polsce. Podobno już miał ich w rękę, ale hr. Dzieduszycki, dowiedziawszy się przypadkiem o tym, przeszkodził mu i miał go przekonać, że w Polsce Chunchuzów nie ma.

Szef biura pras. — Przyjaciół hrabiego, Abgar Sołtan opowiedział tę historję w „Słowie“ warszawskim. Ale nie wiem, czy ś. p. hrabiemu udało się odwieść Japończyka od tych zamiarów.

Gienerał. — Hm, warto o tym pomyśleć. Rzeczywiście, w Królestwie wysadzano mostki kolejowe, przez które miały przejeżdżać pociągi z polskimi rezerwistami.

Szef biura pras. — A krakowski „Naprzód“ pisał o tym entuzjastyczne korespondencje...

Gienerał. — Ale to, oczywiście, nie mogło być dziełem polskich patrjotów, bo jakizby porządny Polak chciał wysadzać w powietrze polskich chłopów i robotników? Na nieszczęście przyszła rewolucja w Rosji i Królestwie, która i nam zaczęła grozić i rządowi Wilhelma II. Przekłeta rewolucja! Dajcie mi choć parę legionów polskich zamiast rewolucji! Choć kawałek niepodległości Polski zamiast rewolucji! Choć jedną bandę Chunchuzów zamiast rewolucji!

Szef szpiegów w wojskowych. — I więcej szpiegów wojskowych, gienerał! P. minister Biliński narzeka na pustki w kasie, a nam przed wojną więcej szpiegów potrzeba! Choć bandę szpiegów bezpłatnych, lub za rosyjskie sklepy „monopolowe“ i poczty!

(*Wchodzi Polonus Viator. Kładzie na stół broszurę: „Kwestja Polska wobec zbliżającego się konfliktu Austrii z Rosją“. Potym 12 broszur czyli wydawnictwa wydziału bojowego P. P. S. oraz „Sprawozdanie z XI szopki“.* — *Wszyscy pociągają nosami, czuć jakiś inny zapach w powietrzu.*)

Polonus Viator (*wchodząc, deklamuje z „Wyzwolenia“*): „A tu ku murom i ścianom zapyłonym patrzcie, to najszerszy myśli polskiej lot“...

Baron Aerenthal (*oglądając go przez monokl, do generała*). — Wygląda jak ułan polski z kabaretu.

Polonus Viator (*rozgląda się po sali i deklamuje dalej*):

Tam, kędyś trzeba dojść i wniść
a mocą rozprzeć wrota, —
nie patrzeć pozad...

Gienerał do barona. — Widziałem go, jak udawał powstańca polskiego w szopce, którą bawiły się moje dzieci.

Polonus Viator, kłaniając się. — Jestem z redakcji „Przedświtu“, z Rewolucyjnej Frakcji Polskiej Partji Socjalistycznej...

Baron Aerenthal. — Aha, socjalista. Przynosi nam Pan na wypadek wojny groźbę strajków powszechnych, ostrą walkę klas, barykady moskiewskie i łódzkie, rozluźnienie dyscypliny społecznej, bunt wojskowy, obalenie tronów, republiki. My tego właśnie nie życzymy sobie, sprzymierzeniec nasz, cesarz Wilhelm, nie cierpi, nie-

nawidzi bardzo tej waszej polsko-rosyjskiej czy tam wszechrosyjskiej rewolucji 1905 roku, tak samo zresztą, jak i my...

Polonus Viator, z nieopisaną radością. — Jak i my, Ekscelencjo! Można się o tym przekonać z naszego sprawozdania...

Baron Aerenthal. — Patrzcie państwo! To panowie urządzaliście bojówki przeciw strejkom gieneralnym?

Polonus Viator. — Nie, Ekscelencjo. Myśmy jednak przeciwdziałali im, ile sił starczyło, bo chcieliśmy nie rewolucji rosyjskiej przeciw caratowi, lecz wojny przeciw Rosji. Radziliśmy robotnikom, aby odwrócili się od strejków wszechrosyjskich, aby oszczędzali i gromadzili siły kraju dla wojny z Rosją...

Baron Aerenthal. — Dlaczego robotnicy nie poszli za wami, kiedy jesteście partją socjalistyczną?

Polonus Viator. — To z winy esdeków i lewicowców, którzy zatracili poczucie polskości i myślą tylko o potrzebie brzucha, jak świadczy nasze sprawozdanie i „Przedświt“.

Baron Aerenthal. — A więc robotnicy polscy idą do rewolucji za temi, którzy interesują się potrzebami brzucha?

Polonus Viator. — Cicho, Ekscelencjo, bo te słowa mogą dojść robotników polskich. Hm! (*głośno*), bojówki przeciw strejkom urządzali endecy. Ale na przyszłość, choć będziemy osobno od endeków maszerowali, będziemy z nimi vereint schlagen, razem bić będziemy. To jest właśnie kardynalna myśl mej broszury, niech Ekscelencja przeczyta. Bo nie tylko z endekami, ale i z Wami, Panowie, i z rządem cesarza Wilhelma mamy wspólne interesy. Niech tylko Ekscelencja przeczyta moją broszurę! Umowy — to nie, interes wspólny — to grunt!

Baron Aerenthal. — Tak, tak, my i rząd niemiecki baliśmy się, że ta rewolucja wszechrosyjska 1905 r. przeniesie się do naszych krajów. Tak, tak, bardzo dobrze radzicie panowie robotnikom polskim, nie trzeba rewolucji takiej, jak w 1905 r., Hm... Taki socjalizm, to owszem, owszem, ja... ja też jestem socjalistą...

Gienerał: — Ja też, owszem, owszem.

Szef szpiegów: — Ja także, rozumie się. Każdy porządny człowiek powinien być takim socjalistą, rozumie się.

Baron Aerenthal: — No, a jeszcze co panowie robicie?

Polonus Viator: — O tym nie piszę w swojej broszurze, ale to jest w naszym sprawozdaniu. Rozbijamy sklepy monopolowe... (*wszyscy pociągają nosami*).

Szef szpiegów. — Właśnie czułem zapach, jakby tu byli moi podwładni z Rosji. Czuć potłuczone monopolki.

Polonus Viator (*mówi dalej z zapamiętaniem*): — Rozbijamy pocztę, konfiskujemy pieniądze rządowe...

Baron Aerenthal (*kręci nosem z wyrazem wstrętu*). — Dużo panowie rozbiliście sklepów monopolowych?

Polonus Viator (*z gięstem pogardy*): — Sklepy monopolowe — to drobnostki, nawet ich zliczyć nie można; (*z dumą*) my już tylko na większe sumy polujemy. Prócz tego szpiegujemy wojsko rosyjskie, badamy ich rozlokowanie, plany fortec, uczymy się strzelać. Nie psujemy dyscypliny wojskowej, jak przypuszczaliście panowie, wcale nie agitujemy żołnierzy rosyjskich, tylko, gdzie się da, zabijamy ich, jak przystało na wojowników...

Baron Aerenthal (*marszczy brwi, z wyrazem wstrętu*). — Roz-

bijają sklepy, okradają kasy, fngony pocztowe, szpiegują, zabijają pojedynczych żołnierzy, hm, zupełnie jak — Chunchuzi.

Gienerał (również z wyrazem niechęci na twarzy): — Ale mogą się nam przydać. Rząd japoński nie gardził takimi.

Szef szpiegów (zacierając ręce z radości): — Dalibóg, dobra partja polityczna i nawet socjalistyczna! Zapisuję się do tej partji, (z pewnym wahaniem) — to mnie przecież nie skompromituje w oczach porządnych ludzi?

Szef biura prasowego: — Mylisz się, gienerale. Słyszeliśmy przecież przed chwilą, że w czasie rewolucji 1905 r. nikt tych panów nie słuchał, nie mieli żadnego znaczenia, ich rozbijanie mostków kolejowych nie pomogło przecież Japończykom.

Polonus Victor: — Ale p. Daszyński już zupełnie się przekonał, że robotnicy polscy idą za nami. Spytajcie się p. Daszyńskiego!

Baron Aerental: — Ależ to nie może być, żeby Polska aż tak niska upadła, aż do poziomu Chunchuzów. Taki dobry patriota polski, jak śp. hr. Dzieduszycki zapewniał mnie, że w Polsce niema Chunchuzów.

Polonus Viator: — Hr. Dzieduszycki — to żaden patriota polski, tylko stańczyk. Nie stańczyków pytajcie się, panowie, pytajcie p. Daszyńskiego!

Baron Aerenthal: — Żaden z panów polskich, moich przyjaciół, nie uwierzy w to.

Polonus Viator: — Panowie polscy — to stańczycy, pytajcie się p. Daszyńskiego, a on wam powie, że lud polski jest z nami.

Baron Aerenthal (do gienerała): — Czyżby Polska rzeczywiście upadła do poziomu Chunchuzów? To nieprawdopodobne!...

(Z niesmakiem na twarzy wychodzą: bar. Aehrenthal, szef biura prasowego i gienerał. Ten osiatni, już w drzwiach, przeglądając tytuły wydawnictw, czyta półgłosem: „organizacja i służba wojska rosyjskiego“, „o planach i mapach topograficznych“, „służba wywiadowcza“ i t. d.)

Gienerał (we drzwiach): — Przecież wam się to na nic nie przyda w wojnie, więc jaki użytek zrobicie z tych wiadomości?

Szef szpiegów (do znikającego za drzwiami gienerała): — Niedyskretne pytanie, gienerale! Ta rzecz należy tylko do mnie.

Jan z Czerniakowskiej.

Przegląd polityki międzynarodowej.

Rewolucja w Grecji. — Związek bałkański. — Dokumenty polityki rosyjskiej w sprawie aneksji Bośni.

Zjazd w Racconigi miał według zapewnień jego uczestników służyć przede wszystkim sprawie zachowania status quo na Bałkanie. Zanim jednak przebrzmiały toasty na cześć pokoju, w zatoce Salamińskiej zagrały działa jakby na dowód, że gdyby nawet „kierownicy“ międzynarodowej polityki szczerze pragnęli zakonserwować obecny stan rzeczy na Bałkanie, to w państewkach Bałkanu działają ustawicznie siły, mające na celu gruntowną zmianę stosunków. W Grecji oficerowie armji lądowej dokonali 28 sierpnia rewolucji, 28-go października część oficerów marynarki znowu usiłowała pchnąć na-

przód stosunki greckie; obecnie, w miesiąc po rokoszu oficerów marynarki sytuacja jeszcze bardziej jest zaostrzona niż przed nim. Jakie przyczyny zrodziły kryzys grecki? Przyczyny te gromadzą się od lat dziesiątków. Cały szereg przesileni i wstrząśnień, które przeżyła Grecja w przeciągu XIX w., nie zdołał uzdrowić jej stosunków ekonomicznych i politycznych. Gdy trzy mocarstwa europejskie — Anglja, Francja i Rosja — stworzyły w r. 1829 niezależne państewko greckie z królem bawarskim, jako głową 75-tysięcznej ludności, kraj był ekonomicznie zrujnowany przez długotrwałą walkę o niepodległość: handel jego, kwitający pod koniec XVIII w., dogorywał, rolnictwo leżało odłogiem, a kapitałem, z którym nowoutworzone królestwo wstępowało w życie, był dług państwowy, wynoszący 60 mil. franków. Najbardziej przedsiębiorczy pod względem gospodarczym w Grecji żywiol, kupcy, był rozproszony po wszystkich krajach Lewantu, co hamowało rozwój ekonomiczny kraju. Agienci mocarstw w dalszym ciągu podkopywali grunt państewka, jak krety. Na czele jego pasorzytowała banda dorobkiewiczów z burżuazji i wolnych zawodów, zajmująca się fachowo „wielką polityką“, t. zn. knowaniem intryg politycznych. Większość mieszkańców, składająca się z chłopów, daje się im od lat dziesiątków wodzić na pasku dzięki swemu rozproszeniu, bierności i niezdolności wyjścia w swych aspiracjach poza granice interesów gminy, swej ciemnocie, choć szerokie swobody demokratyczne zawierają przynajmniej formalnie możność położenia kresu gospodarce pasorzytów. Trzymająca w swych rękach ster spraw publicznych klika zwracała największą uwagę, obok swych spraw prywatnych, na tureckich Greków. Zamiast używać i tak niezbyt bogatych zasobów kraju dla podniesienia jego sił wytwórczych, wyrzucała ona olbrzymie stosunkowo sumy na „wielką ideę“ t. j. na agitację panhelleńską nie tylko wśród Greków w Turcji, lecz też wśród słowiańskich narodów Macedonji, których helenizacja miała przygotować grunt dla późniejszego zaboru tej tureckiej prowincji. Ile przytym z pieniędzy państwowych, na ten cel poświęconych, ginęło w przepastnych kieszeniach patriotów, trudno powiedzieć. Co zaś rząd czynił dla ekonomicznego podniesienia kraju, o tym można sobie wyrobić zdanie na podstawie następujących cyfr: na 450 tysięcy hektarów ziemi uprawnej i 2 miliony hektarów łąk przypada 1200 tysięcy ha, ziemi, leżącej odłogiem, choć bardzo dobrze nadającej się do uprawy. Rząd nie tylko nie czynił nic dla wzięcia jej pod pług, lecz nadto hamował za pomocą fatalnego systemu podatkowego rozwój sił gospodarczych wogóle. Tak np. podatek od soli wynosi w Grecji 1400%, od cukru i nafty 300% wartości, że wymieniamy tylko najważniejsze podatki spożywcze, najbardziej uciskające masy chłopstwa. Rzecz jasna, że takie warunki nie mogły sprzyjać rozwojowi gospodarstwa. To też od lat dziesiątków w rolnictwie, hodowli wina i jedwabników najprymitywniejsze sposoby wytwórczości wcale nie ulegają zmianie. Nie mniej wymownie o staraniach rządu na rzecz rozwoju przemysłu, komunikacji i t. d. świadczy fakt, że budowanie kolei z Aten do Larissy, posiadającej wielkie znaczenie ekonomiczne i strategiczne, trwa już 20 lat i wciąż jeszcze nie jest skończone. Wielki przemysł czyni dopiero pierwsze kroki, różnorodne bogactwa mineralne leżą prawie nietknięte. Natomiast kwitnie przemysłnictwo i zalewa rynki greckie europejskimi produktami. Stagnacji w życiu ekonomicznym towarzyszy kompletny rozstrój administracji, która wogóle zdaje się tylko po to istnieć, by krewni i przyjaciele chwilowo u rządów znaj-

dującej się kliki mogli się obławiać. Taka sama gospodarka rujnowała armję. Poplecznicy książąt, zajmujących na podstawie swego urodzenia kierownicze miejsca w armji, rządili się jak szare gęsi i na studia wojskowe wysyłali za granicę tylko swych protegowanych pupilów, okrętów wojennych używali do przejażdżek. Skutki tej gospodarki okazały się w r. 1897, gdy wcale nieświeżna armja turecka rozbiła grecką na głowę i gdy Europa musiała swą interwencją ratować Grecję od upadku. Jasnym jest, że stosunki te musiały stworzyć w kraju wielkie niezadowolenie, któremu wszakże było brak jeszcze punktu krystalizacyjnego. Wtym wybuchła rewolucja turecka, której dźwignią było wojsko. Przykład podziałał. Jak wywołana zjazdem Rewelskim obawa nowej wyprawy przeciw Turcji ze strony Anglii i Rosji zelektryzowała oficerów tureckich i pchnęła ich do rewolucji, tak też podziałało na greckich upokorzenie, doznane przez państwo w zatargu o Kretę; zarzucali oni rządowi, iż zaniedbawszy wojsko musiał polegać na czezych przyrzeczeniach Clémenceau, że Kreta zostanie przyłączona do Grecji. Aby koniec położyć rządowi, które kraj narażały tylko na klęski i upokorzenia, oficerowie zorganizowali powstanie wojskowe; wystarczyła jednak sama groźba, by rząd zgodził się na żądanie związku oficerskiego wykluczenia książąt rodziny królewskiej z armji i przedłożył parlamentowi prawo, podwyższające wydatki na wojsko o 10 milionów franków rocznie przy 120 milionach wszystkich państwowych wydatków. Cóż bowiem pozostawało rządowi innego, jak zgodzić się na żądania oficerów, w których ręku skupiona jest zorganizowana siła wojska, gdy tymczasem król posiada tylko stosunki dynastyczne, które go w najlepszym razie mogą uchronić od losu Abdul-Hamida, i poparcie garści owych pasorzytów, którzy sami w kraju żadnego poparcia nie mają? Parlament, złożony z gieszefciarzy politycznych, nie mógł również stawiać oporu związkowi oficerskiemu i ślepo spełniał jego żądania. Gabinet ministrów, przeprowadzający żądania związku oficerskiego, nie w łatwym znajduje się położeniu. Przedewszystkiem spotyka bardzo wielkie trudności finansowe. 10 milionów franków wynosił przeciętnie w ostatnich latach deficyt w budżecie; ma on być obecnie usunięty przez oszczędności w administracji. Gdyby się jednak to nawet udało, to reformy wewnętrzne i wojskowe będą kosztowały 20 milionów franków, które rząd zamyśla pokryć zapomocą szeregu przemysłowych podatków oraz podatku dochodowego i spadkowego. Przeciw tym ostatnim oświadcza się jednak bardzo ostro burżuazja, która dotychczas nie płaciła prawie żadnych podatków; przeciw podatkowi przemysłowemu oświadcza się drobnomieszczaństwo, na którego poparcie związkowi oficerskiemu bardzo zależy, gdyż, będąc zorganizowane w związki rzemieślnicze, posiada ono pewną siłę. Niezadowolenie drobnomieszczaństwa może się dla związku oficerskiego stać niebezpiecznym, tymbardziej, że przeciwwaga, jaką mogłoby stanowić poparcie chłopstwa, które związek pozyskał sobie zniesieniem podatku od ryżu, cukru i nafty, nie ujawnia się dotychczas w czynnych formach. Położenie rządu greckiego jest tym bardziej nieustalone, że w samej armji nie panuje zgoda. U steru władzy stoją oficerowie lądowi, którzy, uwzględniając trudności finansowe, nie chcą czy nie mogą w dostatecznej mierze uwzględniać żądań marynarki. To doprowadziło 28 października do rokoszu kapitana Typaldosa, który usiłował zapomocą kilku torpedowców steroryzować związek oficerski i zmusić go do przyjęcia żądań marynarki. Aczkolwiek Typaldos został aresztowany

wany, rywalizacja między marynarką i armją lądową nie ustaje. Walki, przez nią spowodowane, zaostrzają się wskutek walk rozmaitych klik, które w minjaturowych stosunkach Grecji posiadają większe, niżby to się wydawało, znaczenie. Dla międzynarodowej polityki ta sytuacja posiada znaczenie pod tym względem, że młodoturcy usiłują wyzyskać sprawę dla ostatecznego rozwiązania kwestji Krety — przez jej przyłączenie do Turcji.

* * *

Jednakże nie tylko niezależne od woli biesiadników w Racconigi przypadki naruszają status quo; wszelkie dane przemawiają za tym, że Włochy i Rosja działają w tymże kierunku. Natychmiast po zjeździe w Racconigi zaczęły pojawiać się w prasie pogłoski o staraniach, skierowanych do stworzenia związku państw bałkańskich, o którym Izwolski mówił jeszcze w swej grudniowej mowie w Dumie. Związek ten, obejmujący Serbję, Bułgarię i Czarnogórę, ma stanowić zaporę dla austriackiego pochodu ku Salonikom. Aczkolwiek urzędowa włoska Agienzia Stefani zaprzeczyła, jakoby w Racconigi została zawarta umowa, związku tego dotycząca, dementi dotyczy przecież tylko formy dyplomatycznej, podróże zaś króla bułgarskiego do Serbji, projektowana podróż króla serbskiego po Europie i t. d. udowadniają, że na Bałkanie znów mają nastąpić nowe wypadki. Nie od rzeczy przeto będzie rzucić okiem na przypuszczalne szanse związku bałkańskiego. Przedewszystkiem stwierdzić należy, że między jego uczestnikami musiałyby powstać waśnie i wystąpiłyby na jaw poważne różnice interesów, gdy tylko kwestja macedońska stałaby się aktualną. Rywalizacja narodowościowa między Serbami a Bułgarami w Macedonji naraziłaby związek ten na rozbicie się. Z drugiej zaś strony rywalizacja dynastji podkopywałaby jego istnienie nawet w okresie pokoju, tymbardziej, że pozbawiona zupełnie uroku dynastja Karageorgiewiczów musi we własnych interesach unikać podkreślania przez sojusz z Bułgarią znaczenia najsilniejszego monarchji w projektowanym związku — Ferdynanda Koburga. Trudności te dałyby się jeszcze przezwyciężyć, gdyby państwem tym groziło niebezpieczeństwo ze strony Austrii. Dopokąd jednak Włochy przez usadowienie się w Albanji i zamienienie morza Adrjatyckiego na Włoskie nie zagrażają Austrii, a wzmocnienie Serbji nie zagraża jej posiadłościom południowo-słowiańskim, dopóty nie może być obawy zaczepnych kroków ze strony Austrii i obronny związek przeciw niej nie posiada wewnętrznej racji bytu. Powstanie więc jego możnaby wytłumaczyć sobie tylko zaczepnymi planami połączonych państweczek i ich protektorów, a przedewszystkiem Włoch — w Macedonji, na co zdawał się też wskazywać agresywny w stosunku do Turcji ustęp w mowie tronowej w sofijskim Sobranju. Ale pomijając nietrwałe podstawy projektowanego związku ze względu na rozbieżność interesów uczestników, wątpić jeszcze należy, czy naprężona sytuacja międzynarodowa i interesy pokojowe zwłaszcza francuskiego kapitału, poważnie na Bałkanie zaangażowanego, pozwolą na wywołanie konfliktów na Bałkanie. Wobec tego urzeczywistnienie planu wydaje się nieprawdopodobnym. Jakkolwiek czeka go jednak los, z góry powiedzieć można, że rosyjscy poddęgaćce korzyści z niego mieć nie będą: im bardziej rosną w siłę państwka bałkańskie, tym bardziej wyzwalają się z pod wpływu Rosji, a o zdobyczach Rosji w Azji Mniejszej na tej drodze nawet mowy być nie może: wszelka

próba w tym kierunku uczyniona pchnęłaby Rosję na bagnety niemieckie. Mały człowiek do wielkich interesów, robiący zagraniczną politykę bankrutów kontrewolucji, p. Izwolski, gotów i od tej miny, podkładanej pod Austrię, tylko oparzelin się doczekać.

* * *

Zanim jednak przyszłość pokaże, jak bezskuteczne są wysiłki, czynione przez rząd Stołypina na Bałkanach dla ratowania wielkomocarstwowego stanowiska Rosji, wojna dyplomatyczna, którą prowadzi Izwolski z Aerenthalem, obnaża nie tylko zupełny brak głowy u rosyjskiej dyplomacji, lecz też cały fałsz i błagę słowiańskiej polityki caratu. Dokumenty wiarołomstwa Rosji, popełnionego w przeszłości wobec Serbów — zupełnie zgodne zestawienie ich znaleźć można tak w rosyjskich, jak i austriackich źródłowych dziełach¹⁾ — zostały uzupełnione przez rewelacje o wiarołomstwie, popełnionym w r. 1908, które zostały ogłoszone przez prasowych najemników hr. Aerenthala w prasie angielskiej i austriackiej. Krótka treść wszystkich tych rewelacji jest taka, że carat, obrońca Serbów przed austriackim jarzmem, zgadza się w memorjale z 6 lipca 1908 roku i innych poprzedzających go dokumentach nie tylko na aneksję Bośni i Hercegowiny, lecz nawet na aneksję sandżaku nowobazarskiego za przyzwolenie Austrii na otworzenie Bosforu i Dardanellów dla pancerników rosyjskich. Wszelkie oficjalne próby wykazania niewiarogodności tych rewelacji miały ten skutek, że np. Milukow, gorliwy poplecznik słowiańskiej polityki caratu, musiał przyznać, iż „przyjrzawszy się uważnie wyjaśnieniu rządowemu, znajdziemy w nim ku naszemu zdziwieniu nie zbiecie, lecz prosty dalszy ciąg tych wszystkich bardzo ciekawych rewelacji“²⁾. P. Milukow nie dostrzegł jeno tej „ciekawej“ rzeczy, że zdemaskowanie właściwego charakteru „słowiańszczyzny“ carskiej wystawia jego samego i partję kadecką albo w świetle głupców, albo świadomych pomocników oszukańczej i wiarołomnej polityki rządowej. O ileż więcej rozumu i orjentacji politycznej, niż ten „świetny“ statysta, wykazali październikowcy, którzy po pojawieniu się odpowiedzi austriackiej na rosyjską obronę polityki Izwolskiego w *Fortnightly Review* wyrazili swe zdumienie, że wogóle ze strony rosyjskiej rozpoczęto dyskusję na szpaltach angielskiego pisma, która nie może przysporzyć dyplomacji rosyjskiej laurów³⁾.

Nie możemy skończyć tej wzmianki bez zwrócenia czytelnikowi uwagi na stanowisko, jakie zajął podczas pojawienia się omawianych rewelacji centralny organ Socjaldemokracji Austrii, Wiedeńska *Arbeiterzeitung*⁴⁾. Kierownicze pismo najdemokratyczniejszej partji austriackiej zwróciło się przeciw ogłaszaniu tych rewelacji, albowiem mogą one spowodować zaostrzenie stosunków Austrii z Rosją! Przy czytaniu tego elaboratu mimowoli nasuwa się pytanie, co w nim bardziej podziwiać należy: czy zupełne porzucenie stanowiska Mię-

1) Patrz S. Goriainowa: Bosfor i Dardanell, St. Peterburg 1909 (praca półoficjalna) oraz prof. Augusta Fourniera: *Wie wir zu Bosnien kamen*, Wien 1909.

2) *Riecz* z dn. 9-go listopada b. r. artykuł P. M.: „Oprowierzenie ili razobłaczenie“.

3) *Głos Prawdy* z dn. 7 listopada. 4) Nr. z dn. 11 listopada, art.: *Aerenthal setzt sein Duell fort*.

dzynarodówki socjalistycznej, która od Manifestu Inauguracyjnego Marxa z r. 1864 wzywa międzynarodowy proletarijat, by starał się zdzierać zasłony z tajnych dyplomatycznych szacherek, czy też zupełną niedorzeczność argumentacji. Czyż istnieje bowiem lepszy środek utrudnienia caratowi jego bałkańskich machinacji nad odsłonięcie ich charakteru?! i czyż można skuteczniej złamać ostrze carskiej polityki antiaustrjackiej, niż przez uczynienie caratu bezsilnym na Bałkanach?! Można byłoby nie zwracać wielkiej uwagi na to niesłychane w szeregach uświadomionych robotników stanowisko wiedeńskiego organu partyjnego, gdyby chodziło tu o przypadkowy lapsus poszczególnego autora; jak wiadomo wszakże, rzecz się ma inaczej: mimo wielokrotnych karceń ze strony najpoważniejszych organów Międzynarodówki, pismo to umieszcza artykuły o zagranicznej polityce, niemające nic wspólnego ze stanowiskiem socjalistycznym. Ostrzeżenie więc towarzyszy przed korzystaniem zeń w tej dziedzinie staje się obowiązkiem partyjnym.

O b s e r w a t o r.

Krytyka i bibliografia.

Erazm Piltz: *Polityka rosyjska w Polsce. List otwarty do kierowników polityki rosyjskiej.* W a r s z a w a, 1909.

Książeczka ta posiada ważne znaczenie, jako dokument historyczny dla oceny polskiej polityki burżuazyjnej w stosunku do najważniejszych spraw i walk współczesnej Rosji i samej Polski.

Przez umiejętne zgrupowanie faktów autor dokumentalnie wywodzi, 1) że wszystkie partie burżuazyjne w Polsce pogodziły się zarówno z państwem rosyjskim, jak z monarchją, 2) że z tym współczesne Królestwo Polskie zupełnie już dojrzało historycznie do popierania interesów Rosji i caratu, 3) że te tendencje ugodowe najwyraźniej i najkonsekwentniej reprezentuje stronnictwo Polityki Realnej, i na tym stronnictwie rząd rosyjski mógłby najbezpieczniej dla siebie opierać swoje zamiary i swoją politykę w Polsce, 4) że rząd swoją polityką narodowego i religijnego ucisku tłumi tendencje ugodowe, chociaż — stłumić ich nie może. Wszelkie represje rządowe przeciw narodowości polskiej są nieusprawiedliwione, gdyż Polska chce być podporą rządu, choćby za małą miseczkę soczewicy w rodzaju praw języka polskiego. Wtedy Królestwo odegra wobec rządu petersburskiego taką samą rolę, jak Galicja względem rządu wiedeńskiego.

Stosunek prasy polskiej do tej broszury potwierdzał jej wartość, jako dokumentu historycznego. Mianowicie pisma narodowo-demokratyczne i postępowo-demokratyczne kręciły nosem koło taktycznej wartości tej broszury, ale żadne z nich nie śmiało zaprzeczyć jaskrawości jej obrazu, przedstawiającego ugodowość wszystkich tych partii burżuazyjnych w stosunku do rządu. P. Pilz ścisnął im gardło wymową faktów.

Faktyczna zaś strona tej broszury polega na chęci przekonania rządu, że źle postępuje z Polską, źle z punktu widzenia rosyjskich interesów państwowych. Tylko „realistyczny“ fantasta może sobie wyobrazić, że bandzie rządzącej leżą na sercu rosyjskie interesy

państwowe. To też Rossija i Nowoje Wremia na tę realistyczną fantazję odpowiedziały brutalnym kopnięciem nogi w stronę ugodowej Polski.

Władysław Grabski: Pogląd na politykę i pracę parlamentarną posłów w polskich w III-ej Izbie państwowej rosyjskiej. Dokumenty poselskie Nr. III. Warszawa, 1909.

P. Grabski jest najbardziej pracowitym członkiem Koła Polskiego i fachowo, zdaje się, najbardziej przygotowanym do rozmaitych prac w zakresie bieżących spraw ekonomicznych. Pracuje gorliwie w rozmaitych komisjach, i gorliwość jego została nagrodzona przez Dumę P., gdyż wysunięty został już raz jako referent w bardzo ważnej sprawie, mianowicie, jako referent Komsji budżetowej w sprawach rolnictwa. Zasłużyć na rolę przedstawiciela i obrońcy poglądów tej Dumy P. w takiej sprawie — to samo starczy już za całą charakterystykę polityki p. Grabskiego.

Ale ta polityka jest szczerą, w tym sensie, że nie ma nic wspólnego z obłudą i dyplomacją „machera“ politycznego, że pragnie być konsekwentną i oparta jest na dobrej wierze i przekonaniu. P. Grabski jest typem burżuazyjnego polityka, który nie jest i nie chce być obrońcą interesów koteryjnych, który zatem jest przekonany, że jest obrońcą interesów całego narodu, a nie przedstawicielem interesów burżuazyjnych. Jego „Pogląd na politykę etc.“, jak i wszelkie jego prace, związane z Dumą, są zarazem sprawozdaniem poselskim, w którym autor składa rachunek ze swoich czynności, opowiada swoje myśli i zamiary, zwraca się publicznie z żądaniem współdziałania i krytyki, nieceremonjalnie odśladnia politykę Koła i żąda konsekwencji właśnie tam, gdzie „macherzy“ dyplomatycznie upuszczają kurtynę na scenie politycznej. Koło Polskie nie lubi dawać sprawozdań publicznych ze swoich posiedzeń własnych ani ze swoich zamiarów i planów. P. Grabski jest wyjątkiem i jeżeli jeszcze nie stał się, to wkrótce zapewne stanie się prawdziwym enfant terrible Koła. Ta bowiem otwartość była przyczyną, że powyższa praca p. Grabskiego została przez Koło Polskie oficjalnie ogłoszona za wyraz prywatnych poglądów autora.

„Pogląd“ p. Grabskiego jest nie tylko konsekwencją działalności Koła, lecz tkwi w samej tej działalności.

„W oświeceniu tryumfu rewolucji tureckiej, która umiała uniknąć wszelkich wpływów przewrotowo-socjalnych, błędy dziejowe rewolucji rosyjskiej są jaskrawo widoczne“. (Str. 33.) Oczywiście, w porównaniu z rosyjską, rewolucja turecka jest ideałem dla wszystkich partii burżuazyjnych, począwszy od realistów na końcu aż na t. zw. „Rewolucyjnej“ Frakcji P. P. S. Ten więc pogląd p. Grabskiego jest taksamo wspólny reakcji burżuazyjnej i tejże Frakcji „Rew.“ P. P. S., jak i drugi zasadniczy pogląd jego, że nasze „interesy narodowe wymagają, by... sprawę polskich interesów wyraźnie od sprawy rewolucji rosyjskiej wyodrębnić“ (str. 34). Dalej, poglądy autora na potrzebę prowadzenia polityki „słowińskiej“, liczenia się ze sferami, z którymi i rząd się liczy, odgradzenia się od lewicy i t. p. — wszystko to również leży na dnie działalności Koła zupełnie świadomie. Ale autor chce uświadomić swoich wyborców i ogół co do konsekwencji tej działalności. Wywodzi więc, że Koło Polskie zaczęło od demonstracji i żądania autonomji (w 2 pierwszych Dumach), potem przestało żądać i demonstrować i stanęło na gruncie państwowości ro-

syjskiej biernie: najczęściej milczy. Ale to epizod przejściowy. Z bierności należy przejść do czynności. A więc nie tylko bierne, ale czynne uznanie potrzeb państwowych, niezależnie od stanowiska rządu względem Polaków, a więc „dostosowanie naszej polityki do okresu reakcji w państwie rosyjskim“ (str. 33). Co można osiągnąć przez takie dostosowanie się? Można osiągnąć to samo dla Polski, co okres reakcji daje Rosji. Co daje Rosji okres reakcji? Rozwój kulturalno-ekonomiczny. Rząd pod sterem Stołypina wyprowadza Rosję na drogę rozwoju ekonomicznego. O tym p. Grabski jest przekonany na zasadzie prawa agrarnego z 22 listopada. Rosja posunie się więc naprzód ekonomicznie, po części i kulturalnie (szkolnictwo, komasacje i t. d.), a Królestwo może z tego nie skorzystać i pozostać w tyle, więc trzeba, aby Koło Polskie pracowało dla całej Rosji w tym „postępie“ i na gruncie tej pracy starało się o równomierne traktowanie Królestwa. W tej perspektywie p. Grabski widzi mnóstwo zdobyczy kulturalnych i ekonomicznych dla Królestwa.

W rzeczywistości p. Grabski językiem patrioty wypowiada tylko chęć polskiej burżuazji skorzystania „równomiernie“ z możliwych łupów, które na drodze możliwego rozwoju ekonomicznego przypadną w udziale kapitalistom Rosji. Interesy Rosji bez autonomji Polski, dostosowanie się do reakcji rządowej, Koło Polskie, mające czynnie pilnować interesów kapitalistycznych jako sługa burżuazji polskiej i jako sługa reakcji — a interesy narodowe pal djabli! Albo raczej, jak zastrzega z przekonaniem p. Grabski i bez żadnego przekonania burżuazja polska, interesy narodowe swoją drogą, ale później — bo teraz jest reakcja i do niej trzeba zastosować się.

W ten sposób p. Grabski dochodzi do przekonania, że jedną z cech jego polityki „jest jej realizm polityczny, który w naszym społeczeństwie najwyraźniej reprezentuje stronnictwo Polityki Realnej. Potrzebie jednak realizmu w polityce w stosunku do rządu nie przeczy ani stronnictwo narodowe, ani postępowe, czego dały dowód w swej deklaracji szkolnej“ (str. 74). Ale p. Grabski uważa siebie za demokratę, a realizm ugodowców za niepożądany dla tego, że idzie w parze z poniżaniem „godności narodowej“. Jakgdyby to poniżanie godności nie wypływało z samej natury „realizmu“ ugodowego, mającego do czynienia z rządem, który ugodę odrzuca, jakgdyby N. D. i Koło Polskie dało mało dowodów poniżania godności narodowej w swojej polityce „realnej“, jakgdyby wreszcie sama deklaracja szkolna trzech partji nie była poniżaniem tej godności. Więć p. Grabski swoją politykę chrzci mianem „demokratyczno-realistycznej“. Nie można zaprzeczyć pewnej słuszności tej nazwie, gdyż w porównaniu z dawnymi ugodowcami obecna N. D. nie jest grupką magnatów szlacheckich i bankierów, lecz partją masową, jej uгада opiera się na masie burżuazyjno-ludowej i w tym sensie jest demokratyczna.

Ten „realizm demokratyczny“ prowadzi p. Grabskiego do optymistycznego twierdzenia, że dadzą się uzyskać nawet pewne prawa językowe w szkolnictwie, optymizm zaś ów potrzebny mu jest w tym celu, aby wynaleźć wyjście z bojkotu szkół rządowych, gdyż: „Wobec otwarcia wyższych zakładów naukowych rządowych w Warszawie, choć przy niepełnym komplecie i wobec zapełnienia kompletu średnich szkół rządowych, jasnym jest, że interes nasz narodowy wymaga, by część młodzieży naszej mniej odporna nie była zmuszona uczęszczać do tych zakładów z piętnem „odstępcy sprawy narodowej“ (str. 59). Z tego „realizmu“ również wynika, że: „Najwłaściwi-

szym miejscem dla posłów polskich w Izbie byłoby lewe centrum, gdyby takowe istniało. O ile do tego nie dojdzie, posłowie polscy muszą zajmować pośrednie stanowisko między lewymi październikowcami a partją pokojowego odrodzenia" (str. 35).

„Dziś, zdaniem mojem, najlepiej jest wielką politykę narodową wprost zawiesić" (str. 70), aby przejść do pracy organicznej w stylu „zastosowania do reakcji", ale nietylko rządowej, jak sądzi p. Grab-ski, lecz i polskiej reakcji burżuazyjnej.

A. J. W.

Ernst Bernhard. *Höhere Arbeitsintensität bei kürzerer Arbeitszeit, ihre personalen und technisch-sachlichen Voraussetzungen.* (Wyższa wydajność pracy przy krótszym dniu roboczym, jej przesłanki osobiste i techniczno-rzeczowe). Lipsk 1909, str. 94. Wyd. Schmollera i Serniga.

Gdyby można było teoretyczną argumentacją przekonać przeciwników klasowych o konieczności szanowania życia i zdrowia robotników dla zwiększenia dobrobytu społecznego, rewolucja socjalna odbyłaby się w gabinetach uczonych. Niestety, cała bezpłodność wszystkich pokojowych reformatorów społecznych, zaczynając od wielkich utopistów socjalistycznych, a kończąc na etyczno-estetycznych zwolennikach harmonii społecznej, wskazuje właśnie na nieziszczalność podobnych poglądów i polega na niezrozumieniu tej wielkiej myśli, że nie drogą „teoretycznych" przekonywań, lecz jedynie praktyczną drogą walki klasowej można potrzeby kulturalne mas robotniczych wkuć w umysły kapitalistów i tym popchnąć ich na drogę postępu technicznego.

Historja walki o krótszy dzień roboczy jest najjaskrawszą ilustracją powyższych słów. Teoretyczne uzasadnienie konieczności krótszego dnia roboczego, które dała klasyczna ekonomja polityczna, pozostało na papierze, dopóki żądania owego nie przejęła obudzona do walki klasa robotnicza. Od tego czasu hasło 8-godzinnego dnia roboczego jest jednym z punktów wytycznych walki robotniczej na obu półkulach ziemi. Jest ono jednocześnie stałym bodźcem postępu technicznych sił społeczeństwa, niewyczerpanym źródłem rozwoju kapitalizmu, który w poszukiwaniu środków, mogących wyzyskać każdą chwilę pracy „wynajętego" robotnika, stwarza materialną możliwość krótszego dnia roboczego, oraz — przez wyrafinowaną metodę wyczerpywania wszystkich sił robotnika — jego konieczność.

Pan Bernhard w wyżej wymienionej książce, opierając się na ścisłych badaniach pracy fabrycznej, wyjaśnić chciał, w jakim kierunku uwadniają się dążność do wzmoczenia pracowitości robotnika, t. j. jakie czynniki przyczyniają się do zwiększenia wydajności pracy przy ograniczonym dniu roboczym.

Praca jego, stosownie do zadania, rozpada się na trzy części: w pierwszej podaje on najnowsze dane o zwiększeniu wydajności przez wprowadzenie krótszego dnia roboczego, w drugiej części rozdziału (II i III) analizuje techniczno-organizacyjne warunki wyższej intensywności pracy oraz w trzeciej części (IV, V i VI rozdziały) mówi o warunkach osobistych wyższej wydajności pracy.

W rozdziale pierwszym autor na podstawie dość obfitego materiału, sięgającego aż do najnowszych czasów, stwierdza zresztą dawno już znany fakt, że wprowadzenie 8-godzinnego dnia roboczego nietylko zgoła nie zmniejszyło pracowitości robotników, lecz

przeciwnie, że prawie wszędzie wzrosła wydajność pracy i suma wypłaconego zarobku, czyli zmniejszyły się koszty produkcji. Parę tylko przykładów.

W 1900 roku w warsztatach przyrządów optycznych Zeiss'a w Jenie skrócono dzień roboczy z 9 godzin do 8-iu. Płaca akordowa i dzienna, jakoteż maszyny i ruch obstalunkowy zostały te same. Na podstawie bardzo ścisłych obliczeń, prowadzonych w przeciągu dwu lat po wprowadzeniu 8 godz. pracy, okazało się, że jakkolwiek ilość godzin akordowych wszystkich 233 robotników zmniejszyła się o 49 614, [zamiast 559 169 (1899) pracowano 509 555 (1901)], wypłacona płaca robocza wzrosła o 10 585 marek i przeciętny zarobek godzinny wzrósł o 10 fen.; płaca wyniosła zamiast 61,9 (1899) — 71,9 (1901) fen. Wydajność pracy wzrosła w stosunku 100 : 116,2. Innymi słowy 30 ludzi obecnie w 8 godzin wypracowuje tyleż, ile dawniej 31 ludzi w 9 godzin; albo każdy robotnik obecnie wydaje rocznie pracę, stanowiącą o 10 dni roboczych więcej, niż dawniej.

Taki sam fakt zwiększenia wydajności pracy stwierdzono i w innych gałęziach pracy. Na wniosek parlamentu Stanów Zjednoczonych Ameryki P. postanowiono (w r. 1905) wybudować dwa pierwszorzędne okręty wojenne jednego typu, przyczem dla doświadczenia — jeden „Connecticut“ budowano w warsztatach rządowych z 8-godz. dniem roboczym, a drugi „Louisiana“ w prywatnych warsztatach z 10-godz. dniem roboczym. Kadłub „Louisiany“, który co do czasu, niezbędnego do wybudowania okrętu, stanowił 54,5% całości był gotów w 568 dni, a kadłub „Connecticutu“, budowanego w warsztatach rządowych, był w 570 dni gotów w stosunku 53,9% całości okrętu. Ciężar zużytych materiałów wynosił średnio w każdej godzinie przy budowie „Louisiany“ 5,0608 funtów, a przy „Connecticutie“ 6,29957 f. Średnia wydajność pracy na godzinę była przy 8-iu godzinach pracy o 24,48% większą niż przy 10-iu.

W belgijskiej fabryce kwasu siarczanego „Société des Produits Chimiques“ w Engis stwierdzono również podniesienie wydajności pracy po wprowadzeniu 8-godzinnego dnia roboczego. Przed r. 1892 topienie kruszcu cynkowego odbywało się bez przerwy w dwóch 12-godzinnych zmianach, przyczem w każdej zmianie właściwa praca trwała 10 godzin. Od 1892 panuje system trzech 8-godz. zmian, przyczem praca trwa na czysto po $7\frac{1}{2}$ godzin w każdej. Po mniej niż 6 miesiącach robotnikom udaje się w tych samych piecach i z tych samych materiałów surowych wyprodukować podczas jednej zmiany, w $7\frac{1}{2}$ godzin 1000 kilogramów kruszcu, czyli tyleż, ile dawniej w 10 godzin pracy przy 12 godzinnej zmianie. Wydajność pracy na godzinę wzrosła 33,33%. W fabryce tej z 90 robotnikami rezultat powyższy mógł być dokładnie obliczony, gdyż zarobek stosuje się do wagi przerobionego kruszcu. Przykładów takich, ściśle i bezstronnie obliczonych, podaje autor sporo.

W czterech następnych rozdziałach rozpatrywane są różne metody intensyfikacji pracy, jakie znajdują zastosowanie w nowoczesnym przemyśle. Opiera się tu autor na analizie pracy fabrycznej dwóch gałęzi przemysłu: włóknistego i budowy maszyn. Więc przede wszystkim: zgęszczenie przebiegu produkcji przez zmniejszenie ilości i długości przerw, czyli przez skupienie większej ilości pracy w jednym i tym samym czasie. Przekonano się bowiem w praktyce, że przebieg pracy zawiera w sobie dużo ręcznych ru-

chów, które w zależności od zwinności i inteligencji robotnika, od świeżości jego umysłu, mniej lub więcej czasu zajmują. Jak wielką rolę odgrywa przy pracy maszynowej działalność rąk robotnika, świadczy np. następujące dokładne obliczenie. Przy świdrowaniu kawałka stali 48,5% czasu zajmuje działalność ręczna, a przy świdrowaniu łanego żelaza 51,3%. Niemniejszy udział pracy rąk niezbędną jest i w innych gałęziach pracy maszynowej. Wyzyskać do ostateczności tę część czasu produkcji, którą przypada na pracę rąk, jest zadaniem produkcji fabrycznej. W pierwszej linii manewruje się ustanowieniem czasu rozpoczęcia i zakończenia pracy oraz określeniem przerw w ten sposób, by wpłynąć na zwiększenie wydajności pracy. Znany już jest t. zw. angielski system pracy, który opiera się na tym spostrzeżeniu, że każda przerwa związana jest z stratą czasu przed jej rozpoczęciem, „przygotowaniem się do przerwy” — i po jej skończeniu, oraz na tym spostrzeżeniu, że praca przed pierwszym śniadaniem jest o 50% mniej wydajna niż po śniadaniu. System angielski znosi wszelkie przerwy i przenosi czas obiadowy po skończeniu pracy czyli, że robota trwa bez przerwy od 8-ej rano do 4-jej po południu.

Obok wprowadzenia t. zw. angielskiego systemu pracy podwyższa się wydajność pracy przez wzmoczenie jej tempa. W pierwszej linii zwiększa się szybkość obrotów maszyny. Różnica w szybkości obrotów maszyny zależna jest od uzdolnienia robotnika i wtedy, kiedy najszybsze niemieckie maszyny przedalnicze robią 9 000 obrotów, najszybsze angielskie wykonywują 11 000, a amerykańskie 14 000. Jak widzimy, rozwój w tym kierunku może pójść jeszcze bardzo daleko.

Również bardzo ważnym czynnikiem wzmocnienia produktywności pracy jest system ześrodkowywania wielu maszyn w jednych rękach. Zależnie od inteligencji robotnika ilość takich obsługiwanych przez jedną ręce maszyn jest różna. Angielski szpiner czyli przędzacz obsługuje z jednym chłopcem dwie ramy po 800, albo jeden selfaktor o 3000 wrzecion, natomiast Chińczyk może powyżej 200—300 wrzecion obsługiwać. W 1893 w Merrimach-Mills w Ameryce tkacz obsługiwał 8 warsztatów. Delegaci francuskich robotników na wystawie w Chicago w 1893 r. nie mogli wyjść z podziwu, zobaczywszy w fabrykach tkaczy, obsługujących tyle na raz warsztatów, gdy we Francji obsługiwano najwyżej 2 warsztaty.

Ta tendencja skupiania wielu maszyn w jednych rękach prowadzi do ciągłych ulepszeń technicznych. Amerykański warsztat tkacki, t. zw. Northropstuhl, automatycznie zamienia szpulki — i oto tkacz zamiast 8, obsługuje obecnie 16—20 warsztatów tego systemu. W warsztatach jednej amerykańskiej firmy 15 automatycznych maszyn, i-a brykujących śruby obsługuje 1 robotnik przy pomocy chłopca.

Do ważnych czynników intensyfikacji pracy należą w bardzo dużym stopniu i wewnętrzne porządki fabryczne. Autor w specjalnym rozdziale wskazuje na nadzwyczajną oszczędność pracy przy prawidłowo funkcjonującej gospodarce fabrycznej, kiedy żaden robotnik nie traci czasu na czekanie lub wyszukiwanie odpowiednich materiałów, narzędzi i t. p. Do takich porządków fabrycznych, podniecających pracowitość robotnika, zalicza autor i higieniczne warunki, świeże powietrze i światło. W jakim stopniu dobre oświetlenie i t. p. higieniczne warunki wpływają na rezultat pracy, świadczy pewna tkalnia jedwabiu, której warsztaty, umieszczone

w źle oświetlonym parterze, o 16% mniej produkowały, niż te same warsztaty na górnych piętrach.

Te wszystkie czynniki, podnoszące wydajność pracy robotnika, na tyle wzmagają jednocześnie jej natężenie, że krótszy dzień roboczy staje się wprost koniecznością, choćby ze względu na zaspokojenie potrzeb maszyny. Autor poświęca temu przedmiotowi specjalny rozdział, mający udowodnić niezbędność krótszego dnia roboczego ze względu na potrzeby techniki. „Im potężniej rozwija się technika, im bardziej skomplikowane stają się maszyny, tym większe wymagania stawiają one robotnikom, tym bardziej skrócenie dnia roboczego staje się fizjologiczną potrzebą“, „...krótszy dzień roboczy przyczynia się nie tylko do przyrostu zdrowia i sił, lecz także w równej mierze i do wzmocnienia woli i inteligencji, których nowoczesna technika wymaga“.

Książka p. Bernharda, jakkolwiek nowego nic nie daje, czegoby literatura socjalistyczna nie powiedziała, ma wartość o tyle, o ile ilustruje dawno znane tezy nowymi argumentami. Niema, rozumie się, żadnej nadziei, by ta jego argumentacja za 8-godzinny dzień roboczy przekonać mogła np. choćby naszych łódzkich fabrykantów, którzy odbierają robotnikom wszystkie ich zdobycze ekonomiczne z czasów rewolucji, zaślaniając pogarszanie warunków pracy „naukową“ argumentacją konkurencyjnej „walki z Moskwą“. Zdemaskowanie całej nieczej obłudy „teoretyków“, broniących w pismach burżuazyjnych niezbędności fabrykanckiej kontrewolucji „naukowymi“ argumentami, jest obowiązkiem świadomych robotników. W tym właśnie celu książka p. Bernharda, jako bezstronnego obserwatora, nie socjalisty, może wyświadczyć pewną przysługę.

M. B.

Przegląd czasopism.

The International Socialist Review.

William English Walling w artykule pod tytułem „Nowy rewizjonizm w Niemczech“ daje swe wrażenia z lipskiego zjazdu partyjnego. Nie ze strony Bernsteina i inteligentów grozi nowe niebezpieczeństwo, lecz ze strony zachowawczych i oportunistycznych przewodców związków zawodowych. Rewizjonizm teoretyczny umarł, lecz zato wraca do życia rewizjonizm polityczny. Gdy chodziło o ponowne potwierdzenie w Lipsku uchwały drezdeńskiej, rewizjoniści przybrali postawę dwuznaczną, lecz nie śmieli oponować, tak że uchwała ta i dziś, jak dawniej, jest linią wytyczną taktyki partii. Przy sprawie podatku spadkowego zdawało się, że oświadczenie Bebla, iż głosowałby za podatkiem, przechyli zwycięstwo na stronę rewizjonistów. Atoli rozprawy skończyły się ostatecznie niepomysłnie dla nich. Gdy zaś przyjdą nowe wybory, można spodziewać się napewno, że frakcja zyska większość rewolucyjną; widać to już ze wszystkich zwycięskich wyborów uzupełniających, które partja w ostatnich czasach ma do zaznaczenia i które bez wyjątku wypadły w duchu radykalnym. Ciekawym i ważnym jest faktem, że we wszystkich krajach przedstawicielami nowego rewizjonizmu są jedne i te same żywioły. W Anglii członkowie nowej Partji Pracy, rekrutujący się przeważnie ze związkowców i mający za swych posłów w parlamencie najwybitniejszych przewodców związkowych, w Niemczech rewizjonistyczni związkowcy w przymierzu z resztkami rewizjonistów-inteligentów proponują sojusz z liberałami. Stają się oni w ten sposób poplecznikami im-

perjalizmu, ponieważ planowane reformy w Anglii i w Niemczech nie mają na celu korzyści proletariatu, lecz pomnażanie pancerników i zwiększanie wojsk. Mówca generalna w Lipsku nie zyskał też poklasku rewizjonistów, gdy oświadczył: Zaufanie do partii naszej wzrasta nie dlatego, że działamy w porozumieniu ze stronnictwami burżuazyjnymi, lecz dlatego, że zasadniczo trzymamy się od nich zdaleka. — Takie jest słuszne stanowisko socjalistyczne; na czymże polega rewizjonistyczne? W przeciwieństwie do radykałów, którzy dla wzmocnienia pozycji związków zawodowych radzą im zespalać się z partją, rewizjoniści twierdzą, że związki muszą zachować ścisłą neutralność, jeżeli nie ma ucierpieć ich dalszy wzrost. Polują oni na doraźne korzyści i odrzucają wszelką politykę dalej widzącą. Wygodne te sposoby podobają się masom a nadto umożliwiają wielu ambitnym karierowiczom szybkie kroczenie naprzód, tak że liczba gieszefciarzy politycznych w szeregach rewizjonistów szybko rośnie. Chcieliby oni postawić związki na podłożu handlowym, czysto ekonomicznym, któreby dopuszczało socjalizm w niewiększej mierze, niż w dawnych cechach.

Walling zadaje sobie pytanie, w jaki sposób partje socjalistyczne znoszą takie żywioły i nawet dopuszczają je do Biura Międzynarodowego, jak np. stało się z Partją Pracy? Niełatwo na to dać odpowiedź i niepodobna jej ściśle sformułować. Jakkolwiek związki zawodowe korzystają z równych praw z partjami politycznymi, nie posiadają przecież takiego jak one znaczenia. Związki zawodowe są jednym z orężów ekonomicznych proletariatu, partja polityczna jako całość jest orężem politycznym ruchu. We Francji syndykaty grają równie ważną rolę jak partja, ponieważ skłonne są używać swej siły ekonomicznej dla celów socjalistycznych. W Austrii i wielu innych krajach związki znajdują się pod bezpośrednim wpływem partji. Natomiast w Niemczech i Anglii związki lubią wprawdzie posługiwać się partją socjaldemokratyczną i Partją Pracy, gdy im to przynosi pożytek, ale o odwzajemnieniu ani słyszeć nie chcą. Jeżeli więc rewolucyjni socjaliści upatrują w takich organizacjach prawdziwy oręż ekonomiczny proletariatu, wpadają z deszczu inteligienckiego rewizjonizmu pod rynną rewizjonizmu ultrazawodowego. I nowy ten rewizjonizm niebezpieczniejszy jest od starego, bo jeżeli nawet organizacja ultrazawodowa wdaje się w politykę, to jeszcze zachodzi wielkie pytanie, czy nie będzie potrzeba całych dziesięcioleci, aby jej zaświtało poczucie prawdziwego rewolucyjnego socjalizmu.

Sądźmy, że autor zanadto patrzy na stosunek niemieckich związków zawodowych do partji socjaldemokratycznej przez szkła Federacji Socjaldemokratycznej, jeżeli go utożsamia ze stosunkiem trade unionów do Partji Pracy; traci przytym z oczu wewnętrzne zrośnięcie niemieckiego ruchu zawodowego i masy związkowej z partją, biorąc pod uwagę tylko urzędniczą biurokrację związków. Wszelako ogólne jego wywody i spostrzeżenia nie przestają być mimo to do pewnego stopnia interesujące, zarówno same w sobie, jak i ze względu na niewątpliwie wielką siłę i doniosłość krytykowanych przezeń dążeń w niemieckich związkach zawodowych.

Ludwik Duchez ogłasza artykuł pod tytułem „Zwycięstwo w Mc Kees Rock“. W New Castle, Butler i Mc Kees Rock (Pensylwanja) w olbrzymich przedsiębiorstwach trustu stalowego wybuchły niedawno kolosalne strejki, mające na celu poprawę nieznosnych stosunków. Gdy autor pisał twój artykuł, tylko w ostatnio wymienionej miejscowości ruch już się zakończył, doprowadziwszy do pomyślnego wyniku. Pomimo przyjaznych okoliczności dla magnatów trustowych, pomimo prawdziwie nieludzkich okrucieństw, których się dopuszczano w stosunku do strejkujących, ci ostatni odnieśli zwycięstwo. „Poolingsystem“, odpowiadający mniej więcej europejskiemu systemowi brygad¹⁾ został zniesiony. Przeprowadzono

¹⁾ Jeden starszy otrzymuje płacę, przeznaczoną dla całej brygady, i dzieli ją w zupełnie dowolny, nierówny sposób.

tymczasowe podniesienie płacy o 50%, po 60 zaś dniach ma nastąpić nowa podwyżka o 100%. Wprowadzono świętowanie w sobotę po południu i usunięto pracę niedzielną. Wyrzucono z zakładów łamistrajków oraz wszystkich majstrów, których zachowanie się wobec robotników odznaczało się szczególną bezczelnością. Przy sposobności rozprawiono się i z systemem Trucka. Dzięki zmienionym warunkom znalazło zajęcie o 1000 robotników więcej. Główną jednak rzeczą, stworzoną przez tę walkę, jest zwarta organizacja o 4000 członków z górą, którzy dobrze sobie uświadomili, że zbyt ciężkie są wszelkie układy ze stowarzyszeniem fabrykantów i żądania, by uznali organizację. Wszak w razie potrzeby łatwo unieważnić niedogodne umowy i postawić na czarnej liście zbyt szkodliwych członków organizacji.

Strejk ten, przeprowadzony z takim powodzeniem, toczył się wśród najtrudniejszych okoliczności. Brało w nim udział 16 różnych narodowości: Amerykanie, Niemcy, Węgrzy, Rusini, Grecy, Włosi, Ormianie, Rumuni, Słoweńcy, Kroaci, Polacy, Turcy, Litwini, Bułgarzy, Rosjanie i Szwajcarzy. Żywioty, które już w Europie brały udział w walkach klasowych proletariatu, odegrały naturalnie i w tej walce wybitną rolę. Udało im się obudzić i podtrzymać ducha karności w tych masach strejkujących, których $\frac{4}{5}$ nie posiadały dotychczas żadnego uświadomienia. Odpowiednio do tych warunków wszelka propaganda polityczna zgóry skazana była na niepowodzenie i walkę toczyć musiano na polu czysto ekonomicznym. W obranym Komitecie, złożonym z 6 ludzi, dwóch tylko było socjalistów, pozostali zaś czterej „ultrazawodowcy“. Rzecz ciekawa, że dwaj pierwsi byli przedstawicielami 5000 ludzi, gdy tymczasem czterej pozostali reprezentowali tylko tysiąc. Lecz obok tego urzędowego komitetu, który wkrótce okazał się niezdolnym do sprostania sytuacji, wystąpił niebawem milcząco komitet ludzi bezimiennych, którzy czynności swe sprawowali jak najogólniej. Z wielką stanowczością zapobiegali oni wszelkim wykroczeniom i tylko tym bezimiennym bohaterom zawdzięczać należy, że przelewom krwi, urządzonym przez kapitalistów, położono kres i że rozjątrzona masa okiełznała swą żądzę zemsty. Gdy rozpoczęły się rzezie, przysięgli oni, że za każdego zamordowanego robotnika padnie jeden żołnierz i w jednym ważnym wypadku pokazali, że umieją działać serjo. Taktyka ich obraziłaby zapewne czułe nerwy panów Gompersa i Mitchella z Amerykańskiej Federacji Pracy, niezmordowanie prawiących o harmonji interesów. Ale zimna i sroga rzeczywistość zmuszała wprost kierowników strejku do takiego postępowania. Taktykę ich narzucał im system walki kapitalistów. Ponieważ zaś metoda Amerykańskiej Federacji Pracy zawiodła, stworzyli więc sobie nową metodę. Amerykańska Federacja Pracy wyrażała się o strejkujących pogardliwie, jako o ciemnej hordzie obcokrajowców. Jednakże jest to zupełnym fałszem, ponieważ wielu z tych Industrial Workers of the World (I. W. W.), jak sami siebie nazywali, należało w Europie do dobrze zorganizowanych bojowników klasowych. Wielu Węgrów brało udział w wielkim węgierskim strejku kolejowym, wielu Włochów we włoskim strejku powszechnym; trzech Rosjan czynnie uczestniczyło w „krwawej niedzieli“ petersburskiej. Byli i Szwajcarowie, którzy w kraju brali udział w strejkach kolejowych. Niemcy, Austriacy, Szwedzi i Duńczycy legitymowali się jako byli członkowie związku metalowców – słowem, było wśród strejkujących mnóstwo żywiółów rewolucyjnych, socjalistycznych. Byli oni dostępni dla propagandy bezimiennego komitetu i bynajmniej nie stanowili takiego motłochu, za jaki ich podawała Federacja. W początkach strejku robotnicy nie mieli wprawdzie organizacji, ale I. W. W. zastępowała im ten brak. 15-go sierpnia I. W. W. urządziła zgromadzenie masowe, o którym oznajmienia były wydane w 5-ciu językach. Przybyło na wiec 8000 osób, przeważnie strejkujących; oprócz nich jednak byli kolejarze, związkowcy i robotnicy z Pittsburga. Wygłoszono mowy w 9-ciu językach, nie licząc angielskiego i niemieckiego. Pewien Polak, członek Partji Socjalistycznej Ameryki, imieniem Ignacy Klavier, władający swobodnie 5-ciu językami, oddawał szczególne usługi w pro-

pagandzie, mającej na celu wyjaśnienie robotnikom różnicy pomiędzy A. F. of L. a I. W. W. i wpojenie w nich zasad walki zawodowej. Piękny przykład solidarności dali kolejarze z linii Pittsburg-Chicago i Pittsburg-Jeziro Erie, którzy odmówili przewożenia łamistrejków. Ponieważ dwie te koleje jedynie wchodzą w rachubę dla Mc Kees Rock, odmowa ta więc była nieoszacowaną przysługą dla strejkujących. Również załogi dwu parowców „The Queen” i „The Pheil” przyłączyły się do kolejarzy i nie przewoziły łamistrejków. Taka manifestacja solidarności po raz pierwszy zaszła na gruncie amerykańskim i zrodziła ją tylko praca uświadamiająca ludzi, którzy w czasach niebezpieczeństwa milcząco przejęli kierownictwo. Z tego strejku w Mc Kees Rock, wygranego przez dopiero co zorganizowanych robotników w walce z największą potęgą Stanów Zjednoczonych, proletariatu Ameryki może, zdaniem autora, nauczyć się rozumieć wartość organizacji i wyciągnąć wniosek, że jego siła polityczna w wielkiej mierze opiera się na tej organizacji ekonomicznej. Robotnicy całego świata powinni z naprężoną uwagą patrzeć na Amerykę, ponieważ w żadnym innym kraju świata klasa panująca i wydziedziczona nie stoją przeciw sobie tak wrogo i dlatego ostatnia walka o władzę w żadnym kraju prawdopodobnie nie zostanie stoczona tak krwawo, jak w Ameryce.

W artykule „Socialism and Labourism in England” (Socjalizm a Partja Pracy w Anglii) H. M. Hyndman wypowiada swe zdanie o obecnym stanie angielskiego ruchu robotniczego. Angielski proletariot jest według niego klasą mieszczańską. Jest ciemny, przesądny i egoistycznie chciwy, a nadto, zwłaszcza w Anglii północnej i Walji, przesiąknięty obłudną pobożnością. Wskutek tego przyjął on w całości zasady ekonomiczne swych najgorszych wrogów, uważa ducha ugodowego za najwyższą mądrość, nigdy nie obstaje wytrwale przy swych żądaniach i rzekł się wszelkiej nadziei wyjarmozienia się z pod nędznego obecnego ustroju, którego wieczność wmówiły weń klasy panujące.

Gdyby przedstawiciele Partji Pracy w parlamencie zawsze działali według zasad socjalistycznych i budzili w całym narodzie ideę rewolucji socjalnej, partja ta miałaby jak najlepsze szanse. Na to jednak nie starczyło im ani rozumu ani odwagi. A jednak wykonano w tym kierunku dość pracy przygotowawczej, na długo przed powstaniem Niezależnej Partji Pracy (I. L. P.) i na długie lata przed utworzeniem Partji Pracy. Od 27 z górą lat S. D. F. (Social-Democratic Federation) występowała przeciw anarchji, panującej w naszym ustroju gospodarczym, ale Partja Pracy (I. L. P.) zadawała się nabożnym powtarzaniem hasel liberalnych, tracąc stopniowo wszelki wpływ na wszystkie bardziej świadome żywioły. Właśnie ci najbardziej świadomi mogli przewidzieć, że I. L. P. zleje się ze stronnictwem liberalnym. Coprawda nieuświadomione masy ludowe nie chciały w to wierzyć. Teraz jednak, gdy Partja Pracy decyduje się głosować za budżetem Lloyda George'a, który na robotników nakłada 10 razy więcej podatków, niż na obszarników, lud wreszcie otworzył oczy.

Hydman oświadcza, że on osobiście będzie się trzymał starej taktyki i nie da się od niej odwieść t. zw. praktykom, którzy największych powodzeń spodziewają się po układach z półsocjalistami i liberałami i chcą tylko za wszelką cenę widzieć „przedstawicieli robotniczych” w parlamencie.

Tylko całkowite zniesienie ustroju kapitalistycznego jest dla Hyndmana, jak dawniej tak i dziś, uleczeniem wszelkich niedomagań społecznych. Jego organizacja, S. D. F., pierwsza dążyła do 8-godzinnego dnia roboczego i bezpłatnego żywienia dzieci, uczęszczających do szkół, upaństwowienia kolei, bezpłatności wszystkich szkół od elementarnych do najwyższych, wspierania bezrobotnych z publicznych funduszy i wielu innych ulepszeń. Nie wchodziła ona nigdy w kompromisy i nie maskowała swego rewolucyjnego programu dla zdobycia doraźnych korzyści. Wprawdzie nie osiągnęła ona dotąd większego powodzenia, ale Anglicy mniej od innych narodowości dostępni są dla propagandy socjalistycznej. Natomiast angielska Partja Pracy nigdy nie przyspieszy postępu socjalistycznego, lecz

zawsze go będzie hamować. Hyndman uważa ją za największą przeszkodę dla rozpowszechniania idei socjalistycznej we własnym kraju i za zacyfrowany w stosunku do zagranicy: właściwie nie zasługuje ona na to, aby Biuro Międzynarodowe uważało ją za pełnoprawną partię socjalistyczną.

Ostatni pogląd Hyndmana, prześlągnięty duchem sekciarskim, a mocno przesadzający rzeczywiste wady Partji Pracy, dał, jak wiadomo, powód do gorącej rozprawy na Zjeździe Międzynarodowym w Sztutgarcie.

Le Mouvement Socialiste.

W zeszycie październikowym Maksymilijanna Biaś pisze o kwestji syndykalizmu kobiecego. Poeci i burżuazyjni marzyciele zawsze jeszcze przedstawiają sprawę w taki sposób, jakoby kobiety z wolnej woli szły do fabryki, zamiast gospodarzyć przy ognisku domowym. Obok tej bajki utrzymuje się jeszcze inna opowieść: kobieta nie powinna wymagać takich samych płac jak mężczyzna, albowiem dąży ona tylko do uzupełnienia budżetu domowego. Następnie obiega trzecia jeszcze wersja o pracy kobiecej. Kobieta mianowicie ze wszelkich sił stara się wyprzeć męczyznę, gdzie tylko może. Wszystkie te bajania nie mają żadnej pozytywnej podstawy. Kobieta wie, że niedość jest chcieć, by pozostać przy zajęciach domowych i że wysokość płacy również nie zależy od jej woli. Coraz więc bardziej dochodzi do przekonania, że musi się narówni z mężczyznami organizować, jeżeli chce uzyskać poprawę swego bytu. Według ostatnich wykazów statystycznych Francja liczy 100 000 kobiet zorganizowanych zawodowo. Ołbrzymie rozpowszechnienie pracy kobiecej nie wyda się nikomu dziwnym, jeśli się zważy, że niema prawie gałęzi produkcji, w których kobieta nie wykonywałaby manipulacji, na jakich lepiej się zna, niż mężczyzna. Jeżeli np. szewc wiejski będzie dalej wyrabiał swe ciężkie podkute buty, nie dając się wyprzedzić konkurencji kobiecej, to jednak w wyrobie obuwia mechanicznego wykazało się, że kobieta pracuje o wiele dokładniej, niż mężczyzna. Zwykły tkacz obsługiwał sam jedno krosno; w skomplikowanym układzie współczesnej tkalni jest wiele gałęzi, w których siła kobieca wydajniejsza jest od męskiej. Jeżeli płaca kobiet jednakże pozostaje w tyle za męską, to dlatego, że odnośne manipulacje grają rolę podrzędną. Pozatym obie kategorie płac w przemyśle włóknistym mało w czym się różnią, a przy systemie potowym obie płcie otrzymują jednakowo nędzne wynagrodzenie. Naturalnie szybkie wkraczanie kobiecej siły roboczej do tyłu gałęzi przemysłu nie odbywa się bez wypierania mężczyzn, zwłaszcza przy zaprowadzaniu jakiegokolwiek nowego maszyny, której obsługiwanie przez ręce kobiece okazuje się korzystniejszym. Klasycznym tego przykładem jest maszyna zecerka; zecerzy podwójnie boleją, gdy nie tylko tracą zajęcie, lecz w dodatku widzą, że dawna ich praca dokonywana jest za znacznie niższą płacę. Związek drukarski musi z gniewem patrzeć, jak znikają wywalczone korzyści, które z członków jego czyniły rodzaj arystokracji robotniczej, ponieważ zaś nie może przeszkodzić zaprowadzeniu maszyny drukarskiej, cały więc gniew jego zwraca się przeciw zecerkom. Nieraz wywiązywały się gorące dyskusje, gdy robotnicy oświadczały, że kobiety wystąpiły w tym wypadku, jako obniżycielki płacy. Samym mężczyznom udaloby się rzekomo przeszkodzić zbyt szybkiemu wkraczaniu maszyn zecerkich. Po pierwsze, zażądałby oni jednomyślnie za nużącą pracę przy maszynie znacznie wyższej płacy, a nadto czas terminu musiałby być przy tym o wiele dłuższy, niż przy pracy ręcznej. Stopniowo uspokoiły się umysły i organizacja drukarska oświadczyła przez usta swego sekretarza Käufera, że nie będzie dłużej podtrzymywała kłótni związkowej, rzuconej na kobiety. Przeciwnie, spodziewa się ona teraz, że kobiety będą się organizować jak najliczniej. Ustawy Gienralnej Konfederacji Pracy orzekają jasno, że jej zadaniem jest organizacja wszystkich robotników bez różnicy płci. To samo znajdujemy i w ustawach wszystkich poszczególnych syndykatów. Agitatorowie również coraz bardziej starają się przyciągać kobiety i uświadamiać je co do wspólności interesów, łączących je z męż-

czyznami. W wielu miejscowościach, jak w Paryżu, Vienne kobiety należą do zarządów organizacji. Należy życzyć sobie jak najmocniej, aby kobiety chwyciły się tej samopomocy. Kobieta nie posiada zupełnie praw politycznych, które ma robotnik mężczyzna, jakkolwiek w ograniczonej mierze. Musi więc uciekać się do środków związkowych. Duchowieństwo poznało już to z właściwą sobie bystrością i stara się w Paryżu i na prowincji organizować robotnice pod swoją opieką. Te jednak powoli zaczynają rozumieć, że pod tym protektorem nie mogą się spodziewać poprawy losu i w szczególnych wypadkach, jak np. w Douarmenez w 1905 r. przy strejku bardzo pobożnych robotnic, pracujących przy sardynkach, zdarzyło się, że naprzemian ze śpiewami kościelnymi rozlegały się tony Międzynarodówki.

Jeśli więc katolicy, pracodawcy i wielu filantropów sądzi, że zbłąkane owieczki dadzą się z powrotem zapędzić do owczarni wiary, grubo się mylą. Oznaczałoby to wstrzymanie prądu rozwoju, a jeśli zarząd krajowy Partii Socjalistycznej chce gwałtem wmówić kobietom, że znajdują zbawienie w pomocy państwowej, w giełdach pracy i t. d., to, zdaniem organu apolitycznych syndykalistów, jest to tylko chęć sztucznego przyspieszenia potoku. Na naturalny bieg wypadków nie wpłynie to w niczym. Ten sam ruch, który odrywa kobiety od ogniska domowego i zapędza je do fabryk i warsztatów, zmusza je z drugiej strony do wstępowania do organizacji zawodowych. Robotnicy i robotnice muszą się organizować pod wpływem instynktownej potrzeby zachowania swej osobistości od zupełnego zmielenia i zmiażdżenia w olbrzymim młynie nowoczesnego procesu produkcji.

Ludwika Kautska.

Die Neue Zeit.

Z okazji 25-lecia pracy parlamentarnej Pawła Singera, jednego z najdzielniejszych przewodców niemieckiego proletariatu, kreśli Franciszek Mehring w Nr 5-ym sztutgardzkiego tygodnika obraz warunków, w których Singer został socjaldemokratą. Jako dwudziestokilkuletni młodzieniec należał Singer do grupy demokratycznej Jacoby'ego, która po r. 1866 uchroniła się od ogólnej ewolucji niemieckiego liberalizmu na prawo. Podczas gdy prawie wszystkie odcienie niemieckiego liberalizmu porzuciły opozycję przeciw bismarkowskiej polityce krwi i żelaza, stronnicy Jacoby'ego, a z nimi Singer, mieli w r. 1871 odwagę protestować przeciw zaborowi Alzacji i Lotaryngji. Ale odwaga polityczna nie może partji zastąpić podstaw społecznych, tych zaś brakło grupie Jacoby'ego, która też straciła niebawem wszelki wpływ i znaczenie w życiu politycznym. Gorący demokrata Singer przyszedł, jak nauczyciel jego Jacoby do przekonania, że niema innego oparcia dla demokracji oprócz klasy robotniczej, a wyciągnawszy z tego przekonania praktyczne wnioski, wstąpił do niemieckiej Socjaldemokracji, której jednym z przewodców został dzięki swej niestrudzonej pracy.

W tymże zwraca nrze Gustaw Ekstein w artykule p. t. *Materjalistyczny historyk* uwagę na książkę dr. F. Müllera — Lyer: *Die Phasen der Kultur* (München 1908). Dzieło to, będące pierwszym tomem wielkiej pracy o historii form społecznych, zawiera historję rozwoju ekonomicznego jako podstawy rozwoju kulturalnego. Autor, będący zwolennikiem materjalistycznego pojmowania dziejów, przedstawia swój przedmiot w sposób bardzo ściśły i jasny, stosując znakomicie metodę markowską. Mimo złudzeń co do pokojowego przejścia od kapitalizmu do socjalizmu, jakimi kończy się książka, poleca ją recenzent gorąco jako uzupełnienie pracy Engelsa *O pochodzeniu własności*.

W 6-tym numerze znajdujemy artykuł W. Häusgena p. t. *Ruch współdzielczy*, w którym autor polemizuje ze zwolennikami „bezpartyjności“ ruchu współdzielczego. Ludzie ci twierdzą, że ruch ten obejmuje wszystkich konsumentów, że nie może mieć nic wspólnego z walką klasową i t. d. Kapitalistom nie jest potrzebne oszczędzanie na spożyciu,

więc ruch współdzielczy dla nich nie istnieje. Są oni wrogami wszystkiego co może wzmocnić położenie robotników, dlatego też zwalczają robotnicze stowarzyszenia spożywcze, jako pomocnicze organy walki klasowej. O ile ze względów politycznych pewne burżuazyjne partie polityczne popierają ruch współdzielczy, to chodzi im o oderwanie robotników, pozostających pod ich wpływem, od stowarzyszeń spożywczych, zakładanych przez socjaldemokratów. Jakkolwiekby też stowarzyszenia te unikały wszystkiego, co traci socjalizmem, dla skupienia wszystkich robotników, robotnik klerykał usłucha głosu swej partji i nie wstąpi do związku klasowo uświadomionych robotników. Skutek spekulacji na „bezpartyjność“ jest tylko ten, że organy takich stowarzyszeń unikają uświadamiania swych członków nawet co do spraw, w których są oni jako konsumenci zainteresowani. Tak np. nie prowadziły organy związku robotniczych stowarzyszeń spożywczych w Niemczech, których członkowie są przeważnie socjaldemokratami, agitacji przeciw ostatniemu rabunkowemu podwyższeniu podatków pośrednich. Najbliższy zjazd niemieckiej Socjaldemokracji ma się zająć sprawą ruchu współdzielczego i autor wyraża nadzieję, że znajdzie on dosadną ocenę tej „bezpartyjności“. Od siebie możemy dodać, że niemiecka Socjaldemokracja zbiera na tym polu tylko to, co zasiała. Mimo powtarzających się od czasu do czasu polemik prasowych przeciw „bezpartyjności“ stowarzyszeń spożywczych, ogół towarzyszy nie próbował ze względów oportunistycznych wlać w ruch ten nawet tyle socjalistycznej treści, ile na to ustawy policyjne pozwalają.

Z wielu zwycięstw wyborczych, które niemiecka Socjaldemokracja w ostatnich miesiącach przy wyborach do rad miejskich, sejmów i parlamentu odniosła, zasługuje na specjalną uwagę zwycięstwo przy wyborach do sejmu saskiego, o którym pisze w nrze 7 Herman Heissner. Kiedy w r. 1895 Socjaldemokracja przeparła do sejmu saskiego 15 posłów, partie burżuazyjne z konserwatystami na czele przeprowadziły taką reformę wyborczą, że w następnych kadencjach ani jeden przedstawiciel Socjaldemokracji, najsilniejszej partji w Saksonji, nie zasiadał w sejmie. Zeskamotowanie praw wyborczych proletariatu miało raz na zawsze uchronić sejm od reprezentacji socjalistycznej. Masa robotnicza na razie nie reagowała z odpowiednią siłą na odebranie jej praw, to też konserwatyści cieszyli się swym dziełem. Ale przyszły wybory do parlamentu w r. 1903, w których partja, nieposiadająca ani jednego przedstawiciela w sejmie, zdobyła prawie wszystkie saskie mandaty do parlamentu Rzeszy. Nawet dla konserwatystów stało się jasnym, że na długo to jaskrawe przeciwieństwo nie da się utrzymać. Gdy w ostatnich latach usiłna agitacja, prowadzona przez Socjaldemokrację przeciw bezprawiu wyborczemu, pod wpływem wypadków rewolucyjnych w Rosji i wrzenia w Austrii nadzwyczaj podniosła temperaturę w masach, konserwatyści postanowili otworzyć kłapę bezpieczeństwa, zaprowadzając pluralne prawo wyborcze, które, dając robotnikom pewną reprezentację, miało im odebrać jednocześnie możliwość zdobycia wpływu na sejm, odpowiadającego ich sile w kraju.

Wyniki wyborów, w których Socjaldemokracja musiała walczyć przeciw wszystkim partjom burżuazyjnym, przeszły wszelkie oczekiwania. Socjaldemokracja zdobyła 25 mandatów (ostatnio posiadała 1) i 489 427 głosów. Gdyby wybory odbywały się na podstawie powszechnego prawa głosowania, partie burżuazyjne, które obecnie posiadają 64 mandaty, nie posiadałyby ich więcej niż tuzin!

W Nr. 9-ym daje dr. Fryderyk Adler przejrzysty szkic taktyki Socjaldemokracji Austrii, który, aczkolwiek nie zawiera nowych myśli, zasługuje jednak na uwagę jako próba uogólnienia. Adler wychodzi z słusznego bezspornie założenia, że nie może być mowy o jednej taktyce austriackiej Socjaldemokracji, gdyż przechodziła ona w zależności od społeczno-politycznej sytuacji rozmaite etapy.

Pierwszy okres, trwający od założenia partji do roku 1893, odznaczał się tym, że władze traktowały ruch robotniczy „po rosyjsku“, gwał-

cać nawet reakcyjne ustawy. Ponieważ jednak naogół ustawy były postępowe od praktyki władz administracyjnych, przeto partja stawała — gdzie jej to było wygodne — na gruncie tych ustaw i piętnowała przekroczenia. Ale nie omieszkiwała też korzystać z nauk, dawanych jej przez biurokrację: podobnie jak ona interpretując kauczukowe ustawy, zdobywała pewne swobody dla proletariatu. Tak np. ustawa zabraniała urządzania pochodów demonstracyjnych; partja urządziła je więc w dniu 1 maja w luźnych grupach robotniczych, które, „niezorganizowane w pochod“ maszerowały tysiącami.

Ruch robotniczy, zmędział w tym okresie, zmusił hr. Taafego do zainicjowania reformy wyborczej w r. 1893, która, nie znosząc kurji, zaprowadzała jednak w kurji miast i gmin wiejskich powszechne prawo wyborcze. Taafe, który nie miał zapewnionej większości w parlamencie, zamyślał za pomocą tej reformy, skierowanej w pierwszej linii przeciw liberałom, stworzyć sobie większość klerykalno - konserwatywną. Ale partje konserwatywne, widząc w niej zaczątek radykalnej reformy, połączyły się z liberałami przeciw mistrzowi w sztuce „fortwurstelu“. Przedłożenie Taafego było zwycięstwem Socjaldemokracji, która od roku prowadziła zaciętą agitację za powszechnym, równym, tajnym i bezpośrednim prawem wyborczym. Teraz znajdowały się w znacznej mierze losy reformy Taafego w rękach Socjaldemokracji i aczkolwiek reforma ta nie zadawała jej, mogła jej służyć za szczebel. Ale partja liczyła się z tym, że demonstracje uliczne na rzecz reformy mogłyby być pojęte jako demonstracje za Taafem, który w ciągu lat prześladował ruch robotniczy; tego przypuszczenia musiała partja uniknąć choćby za cenę obalenia reformy i odcięcia jej na lata całe, jeżeli nie chciała zdemoralizować ruchu robotniczego. Dlatego było owo oświadczenie się przeciw chwilowemu sukcesowi oświadczeniem się za przyszłością partji. Nie poparty przez Socjaldemokrację, upadł Taafe. Gabinet Plenera i Windischgrätza starał się reformę odwrócić, ale gdy demonstracje, organizowane przez partję, stawały się coraz bardziej burzliwymi, zajął miejsce jego gabinet Badeniego, który przeprowadził reformę wyborczą w ten sposób, że do 4 kurji dolepił piątą ogólną, z której na podstawie powszechnego prawa wyborczego wchodziło do parlamentu 72 posłów. 14 mandatów kurji tej zdobyła Socjaldemokracja. Obalenie gabinetu Badeniego (który szańbił parlament przez wprowadzenie doń policji) za pomocą burzliwych scen, urządzonych w parlamencie przez garść socjaldemokratycznych posłów oraz na ulicach Wiednia przez masy, zamyka ten okres.

Trzeci rozpoczyna się w grudniu 1897 r., jest to okres długiej politycznej stagnacji. W parlamencie sroży się obstrukcja partji nacjonalistycznych, walczących o władzę w państwie, raz po raz załatwia rząd najważniejsze sprawy zapomocą § 14, to znaczy bez parlamentu. Partja wyzyskuje parlament dla agitacji za powszechnym, równym prawem wyborczym, zdobywa pewne reformy, jak zniesienie stempla dziennikarskiego oraz zaprowadzenie dziewięciogodzinnego dnia roboczego w górnictwie, równocześnie jednak spoczywa punkt ciężkości jej pracy w masach. Rozwój organizacji politycznej i ekonomicznej, wypracowanie programu narodowościowego i popularizowanie go w masach, oto treść jej.

Szeroka akcja za prawem wyborczym nie daje się sztucznie stworzyć. Chwila dogodna nastąpiła dopiero w r. 1905. Na Węgrzech nie mogła sobie korona dać rady z panującą kliką, wystawiającą daleko idące narodowe żądania. Aby ją zaszachować zamyśliła dać prawo wyborcze masom, aby przez wysunięcie kwestji społecznych odepchnąć na dalszy plan prawno-państwowe, zdążające do osłabienia jedności państwa. Tej cezarystycznej polityce oparł się prezes austriackiego gabinetu Gautsch, twierdząc, że reforma wyborcza na Węgrzech jest niemożliwa, bo stałaby się hasłem do walki o reformę w Austrii. Oświadczenie to dało niesłychanego bodźca masom robotniczym w Austrii, na które i tak podniecająco działały echa rewolucji rosyjskiej. Kolosalne demonstracje świadczą o nastroju rewolucyjnym mas.

Największą z nich, w której 28 listopada 1905 250 tysięcy proletariatu demonstrowało przed parlamentem wiedeńskim, rozpoczyna autor czwarty okres. Z jednej strony stała wciąż rosnąca rewolucyjna gotowość mas, z drugiej bezradność rządu. Bezradność ta spowodowana była specjalnymi stosunkami panującymi w Austrii. Rząd, będący w Austrii, jak wszędzie, jedynie organem wykonawczym klas posiadających, ma je wszystkie przeciw sobie, ponieważ, będąc wszystkie zgodne w użyciu go, jako narzędzia ucisku klas pracujących, pragną go zmonopolizować — klasy posiadające każdej narodowości z osobna — jako narzędzie swego panowania narodowego. Nie mogąc tego osiągnąć, rujnują parlament przez obstrukcję. Socjaldemokracja, która zwalcza parlament jako narzędzie panowania burżuazji, pragnie go jednak zachować, jako teren walki z burżuazją i kontroli nad biurokracją; te względy oraz ogólne jej stanowisko zmuszają ją do walki z nacjonalizmem. Rząd wolałby rządzić absolutystycznie, ponieważ to jednak przy danym stopniu rozwoju Austrii jest niemożliwe, musi walczyć o utrzymanie parlamentu, a więc przeciw nacjonalistycznej walce. Ta wspólność interesów skłoniła go do poparcia Socjaldemokracji w jej żądaniu reformy wyborczej. Dynastia Habsburgów zawsze kierowała się swymi interesami, Socjaldemokracja interesami klasowymi proletariatu, przy zasadniczej różnicy tych interesów nie zachodziła obawa, by zejście się ich w pewnym punkcie mogło tworzyć iluzję w proletariacie, to też Socjaldemokracja nie miała powodu odepchnąć pomocy dynastji. Reforma wyborcza przeszła, 14 maja 1907 zostało wybranych do parlamentu 87 socjaldemokratów. W parlamencie kontynuują oni dawną walkę: przeciw kapitalizmowi za socjalizm, przeciw absolutyzmowi za demokrację, przeciw szowinistycznej hecy za rozwiązanie kwestji narodowościowej. Mimo tu i owdzie popełnianych błędów jest walka ta szczerze rewolucyjna.

Der Kampf.

Fryderyk Austerlitz, redaktor wiedeńskiej Arbeiterzeitung pisze na naczelnym miejscu Nr. 2-go miesięcznika austriackiego O problemacie silnego rządu w Austrii. Artykuł jego, odsłaniający źródła tesknoty partji burżuazyjnych w Austrii do silnej władzy, jest zarazem dowodem widomego poczucia bezsilności, niewiary w rozwiązanie kwestji narodowościowej przez parlament „ludowy“. Spodziewano się — pisze Austerlitz — że parlament, wyszły z powszechnego prawa głosowania, popchnie silnie naprzód sprawy narodowe, stworzy grunt dla ich rozwiązania. Tymczasem pożera go spór o kwestje narodowe, nie posuwając ich ani o krok. Przed parlamentem staje raz po raz widmo § 14, tymczasowych rządów absolutyzmu. „Narody“ same są już zmęczone walką narodowościową, której jałowość pojmują, ale mechanicznie nadal trwają w starym sporze, czekając, aż rząd zainicjuje rozwiązanie poszczególnych spraw narodowościowych. „Jakkolwiek się uczucie demokratyczne przeciw tej świadomości buntuje, jakkolwiek obala ona wszystkie nasze pojęcia o rozwoju narodów ku dojrzałości i wolności, to jednak zdaje się być faktem, że ludy stają się coraz bardziej niezdolnymi do rozwinięcia samoistnej energii, do rozwinięcia własnej siły, aby stworzyć podstawy pokojowego współżycia“. Austerlitz oczekuje więc razem z narodami „Cezara“ — silnego męża i kończy swój artykuł uwagą pełną smutku (sam uważa ją za ironiczną...): *azali znajdzie się ów tak upragniony mąż?...*

W następnym artykule omawia Karol Renner, poseł do Rady państwa i autor kilku historyczno-teoretycznych prac o Austrii, sprawę bezpłodności parlamentu. W pierwszej rezolucji, w której świeżo zjednoczona Socjaldemokracja Austrii wzywała klasę robotniczą do walki o powszechne i równe prawo wyborcze, zaznaczyła ona, że „nie ludzi się co do wartości parlamentu“, wzywała lud do tej walki, aby zdobyć trybunę agitacyjną i narzędzia dla kontroli biurokracji i partji burżuazyjnych. Tymczasem zdołała partja dzięki powszechnemu i równemu prawu

wyborczemu przeprzeć w parlamencie szereg reform, zdołała przeciwnikom pokazać siłę klasy robotniczej: jakież więc może mieć powód do rozczarowań? Niech uskarżają się te warstwy burżuazji, które spodziewały się cudów od parlamentu. Pięć szóstych ludu wybrało przedstawicieli partii burżuazyjnych, które parlament unieruchamiają. One winny się bać odpowiedzialności, a nie Socjaldemokracja.

Renner traktuje sprawę trochę papierowo: wychwytyuje z rezolucji hainfeldzkiego zjazdu (r. 1889) ustęp o nieprzecenianiu parlamentarizmu i wnioskuje stąd, że partja go nie przeceniała w okresie walki o prawa wyborcze. Zapomina tylko, że ustęp ten był rezultatem chwilowego kompromisu z antiparlamentarnym nastrojem t. zw. radykałów, którzy się w Hainfeldzie połączyli z t. zw. umiarkowanymi, że później w okresie rzeczywistej walki o prawa wyborcze partja w rozpedzie agitacyjnym wywoływała niezapreczenie iluzje parlamentarne, a w każdym razie nie występowała przeciw nim. O prawdziwości naszego twierdzenia świadczy fakt, że na zjeździe reichenberskim wypowiadali O. Bauer i J. Strasser (z Reichenbergu) obawy, by masy nie ogarnął pesymizm w stosunku do parlamentu, jako przeciwnieństwo do zbytniego przedtym optymizmu.

Ale przejdźmy do dalszych wywodów Rennera, które w jasny sposób przedstawiają istotę obecnego kryzysu. W parlamencie załatwia osiem narodów swe sprawy narodowo-kulturalne, naturalną przeto jest rzeczą, że obrady nad temi sprawami trwają osiem razy dłużej, niż w jakimkolwiek jednonarodowym parlamencie. Żaden z narodów nie posiada w austriackim parlamencie większości, każdy więc broni swoich praw zapomocą obstrukcji. Odestanie ich do sejmów jest niemożliwym, bo prawie w każdym z nich wrze narodowościowa walka. Zaslugą parlamentu powszechnego i równego prawa wyborczego jest, że wykazał, iż niema innego wyjścia z kryzysu, jak autonomia narodowościowa. O bezpłodności przeto parlamentu mówić nie można.

Renner nie porusza kwestji, kto weźmie w swe ręce rozwiązanie kryzysu, niesposób przeto osądzić, czy i on nie oczekuje z kiepsko ukrywaną nadzieją „silnego męża“.

Karol Mann pisze z okazji książki katolickiego księdza Wilhelma Hohofa (*Die Bedeutung des Marxschen Kapitalkritik*, Paderborn 1908) o katolickim socjalizmie. W książce tej udowadnia autor, że marksowska teoria wartości znajduje się w zupełnej zgodzie z średniowiecznymi naukami kościoła, który twierdzi, że praca tylko stwarza wartość. Fakt ten w prostych i przejrzystych stosunkach średniowiecznych rzucił się w oczy i kościół mógł go stwierdzać, nie popadając w przeciwieństwo do klas posiadających, które, o ile nie żyły z pracy, to jednak ściąganie daniny mogły bronić funkcjami społecznymi przez się spełnianymi, jak np. obroną przed nieprzyjacielem. Z dalszym rozwojem stosunków społecznych charakter pracy jako wyłącznego źródła wartości staje się mniej dostępny oczom ogółu. Oświecła go dopiero Marx swą analizą tego specjalnego towaru, jakim jest siła robocza. Dlatego też jest marksowska analiza wartości dla Hohofa, wychowanego na literaturze kościelnej średniowiecza, kontynuacją pracy uczonych kościoła. Broni jej też z wielkim zapalem i erudycją, zręcznie odbijając krytyki burżuazyjnych profesorów. Ale Hohof jest samotnikiem. Instytucja, do której przynależny, kościół katolicki jest obecnie świadomym obrońcą kapitalizmu i dla niej nie mogą istnieć nauki jej własnych uczonych ni Marxa.

Sozialistische Monatshefte.

W 22-im nrze poświęca Edward Bernstein kilka uwag śmierci Ferrera i potędze opinji publicznej. Zirykowały go chłodne orzeczenia Mehringa, który w streszczonym przez nas artykule w *Neue Zeit* przestrzegał przed przecenianiem oburzenia liberalnej inteligencji. Bezpośrednio po ukazaniu się artykułu Mehringa upadł gabinet Maury, mordercy Ferrera. To daje Bernsteinowi materiał do łatwych triumfów: miejsce liberalno-konserwatywnego gabinetu Maury zajął gabinet M-o-

reta, a więc: izraelski skacz narodzie, bo oto nowy dowód potęgi liberalnej „opinii publicznej“. Ale nietylko niedoceniań jej znaczenia winnym okazuje się Mehrlig, nie docenił on również stanowczości liberalnego rządu angielskiego: opierając się na aluzjach liberalnego tygoznika angielskiego Nation, twierdzi Bernstein, że rząd angielski przedsięwziął nieoficjalne kroki na korzyść Ferrera.

To wystąpienie Bernsteina jest charakterystycznym przykładem, do czego można dojść w chęci gwałcenia faktów na korzyść szablonu. Szablon ten brzmi: opinia liberalna jest jeszcze w Europie zachodniej czynnikiem postępowym, rządy liberalne bronią jeszcze sprawy kultury. Aby to w danym wypadku udowodnić, staje się Bernstein ofiarą najdziecinniejszych iluzji liberalnych. Co spowodowało bowiem upadek gabinetu Maury? Rząd hiszpański musi dla pokrycia kosztów marokańskiej awantury zaciągnąć pożyczkę zagraniczną. Dla otrzymania jej na możliwie wygodnych warunkach chodzi mu o wywołanie wrażenia, że porządek panuje w Hiszpanji, co się najlepiej dało uskuteczyć przez zastąpienie znienawidzonego Maury „liberalnym“ Moretem. Mógł to zaś tym snadniej uczynić, że liberali hiszpańscy, gdy dochodzą do władzy, niczym nie różnią się od konserwatystów. O tym wszystkim pisały nawet poważne liberalne pisma, jak Vossische Zeitung, ale Bernstein nie wie nic o tym i robi reklamę „liberalnemu“ następcy Maury, ponieważ należy koniecznie wmówić publiczności, że gęsi kapitołańskie liberalizmu europejskiego uratowały swym krzykiem Rzym.

Nie dość na tym. Rząd angielski, którego skinienia potrzeba tylko było — wobec finansowej i politycznej zależności Hiszpanji od Anglii — by głowa Ferrera ocalała, nie uczynił nic, choć u steru jego stoi arcyliberalny gabinet. Że tak sprawy stoją, to zadokumentował w Daily News Keir Hardie, przewodca oportunistycznej Niezależnej Partji Pracy, człowiek napewno nieskłonny do niesłusznego atakowania liberałów. Bernstein wierzy jednak raczej zupełnie gołosłownym aluzjom organu lewicy ministerjalnej, czynionym dla obrony gabinetu.

W tymże nrze podaje Marcin Etzel w artykule o pracy kulturalnej związków zawodowych bardzo ciekawą historję walki przeciw zakorzenionemu w przemyśle browarnianym zwyczajowi dawania robotnikom browarowym piwa w dowolnej ilości. Zwyczaj ten zachował się z czasów, gdy robotnicy otrzymywali w browarach zapłatę w naturze. Gdy później zamieniona ona została na pieniężną, płaca była tak niska, że nie mogła wystarczać do porządnego odżywiania się. To podnosiło jeszcze konsumcję piwa, które stało się dla robotników wprost środkiem żywności. Jaki wpływ wywierał nadmiar wypijanego piwa na robotników, nie potrzeba opisywać. Ile zaś go konsumowali, o tym świadczy fakt, że gdy autor domagał się przed kilku laty ograniczenia ilości piwa, znajdującego do rozporządzenia robotnika, do 6 litrów dziennie, na zgromadzeniu podniósł się taki hałas, iż nie mógł swej mowy dokończyć. Mimo to nie przestawał związek robotników browarowych walki przeciw temu nadużyciu, gdyż zdawał sobie sprawę, że bez niej nie może być mowy o poważnych postępach organizacyjnej pracy. Usilną pracą agitacyjną udało mu się przekonać część robotników, że należy walczyć o ograniczenie ilości wypijanego piwa: pierwszym krokiem było żądanie, by robotnik miał prawo wypijać tylko 7–8 litrów; następnym, by wolno było niewypite piwo brać do domu, ostatnim, by browar płacił robotnikom za niewypite przez nich, a stojące do ich dyspozycji piwo. Walka ta rozpoczęła się w 1902 r., a dziś posiada już 20 tysięcy browarowych robotników prawo zamiany wolnego piwa na dodatek do płacy roboczej.

g h.

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY
ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION
455 FIFTH AVENUE
NEW YORK

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY
ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION
455 FIFTH AVENUE
NEW YORK

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY
ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION
455 FIFTH AVENUE
NEW YORK